

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwudziesty drugi.



PAMIĘTNIKI NIEZNAJOMEGO

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Człowiek urodzony z niewiały, żywiąc przez czae krótki,
napętuion bywa wielą nędz.

Który wychodzi jako kwiat, i ekruszony bywa, a ucieka
jako cień, i nigdy nie trwa w tymże stanie.

Keięgi Job. R. XIV, w. 1. 2.

Człowiek podobny stał się marności, dni jego jako cień
przemijają.

Księgi Pealmów, Pealm CXLIII, w. 4.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Antora.

TOM PIERWSZY.

L W Ó W.

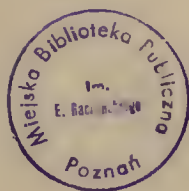
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 43.

1872.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.

Krasz. 1469



Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1986 D 26

18... dnia 20. Kwietnia.

Wielka i uroczysta tajemnica — życie. Kto mi z was powie słowo tej zagadki, o którą od wieków pytają milczące Sfinksy i piramidy w piaszczystych pustyniach i zielone mórz głębie i szumiące lasy nasze?... Wszystko żyje, a nikt nie wie, co życie. Każdy je tłumaczy ze swojego stanowiska, a zgodzić się dwóch nie może na jedno. Co to życie? co to życie?

A! ja bym wam odpowiedział z głębi mojego serca, z wnętrzości duszy mojej... Cóż, kiedy odpowiedź młoda, ledwieby do młodszych serc zakołatała i z niemi jednogłośnie zabrzmiała; w dalszych tonach żywota ludzkiego odzywałby się ten głos pojedynczy dziwnie piszcząco, niepojęcie dyzharmonijnie.

Życie... to wielki hymn stworzenia dla Stwórcy, to wielki widok na ludzkość, na wieki, na ludy, na światy; z wierzchołka duchowej Himalai, życie... to cudowny, słodki sen między zapomnianą przeszłością, a przyszłością do której serce bije i wzdyma się.

Czemuż, powiecie, zło i fałsz wnięszwały się do tego hymnu, kontemplacji i szczęśliwego snu? Czemu?

A! bośmy ciałem i ułomnością, bo... bo... (odpowiedź dostateczniejszą później napiszę).

Cudny wieczór wiosenny wyzywa mnie, wywołuje, rzucam pióro; któżby śmiał pisać i nad zimną szmatą papieru łamać sobie głowę, gdy może całą piersią oddychać powietrzem młodej roku pory, całem młodem sercem marzyć?

... O Boże mój, co się z tymi ludźmi dzieje? Szaleni? opętani? czy niepocziwi tylko kłamcy, co świat chcą podwieść i oszukać? Gdzież oni widzieli zło? z kąd do-
byli rozpacz swoją? z czego się rodzi głęboki ich smutek, dzikie odczarowanie i ten uśmiech gorzki, którym witają piękny świat Boży, ludzi swych braci?... życie nareszcie... ten dar nieoceniony, tę złotą czarę pełną nektaru...

Wątpliwość podnosi przezroczystą zasłonę, w której śpie szczęśliwy i zagląda płowemi tygrysiemi oczyma swemi. Wątpliwość! Ale godziż się wątpić póki gorąco bije serce? A jednak już ja wątpię, już mi smutno trochę, patrząc na te tłumy, co się zowią nieszczęśliwemi. Jestli to już przeczucie przyszłości? Już mnie ten widok drażni, przynęca, kusi, gdy dawniej nie chciały, nie umiały go widzieć oczy moje.

Ale precz, stokroć precz z tą niepocziwą i bezbożną myślą... Nie! nie! świat nasz cudowny, ludzie anioły, nam tu tak dobrze, i tak niebieskie widać horyzonty przed nami!... Czegóż rozpaczać, smucić się i wątpić?

Ci nieszczęśliwi, smutni, utyskujący, odczarowani, to biedni szaleńcy, to biedacy chorzy na umyśle, chorzy może na ciele. Ich powłoka cielesna uciska nieśmiertelnego ducha i skrzydeł platonowskich rozwinąć im nie

daje, by wzlecieli w ten kraj, z którego widać niebieską ojczyznę i jasne światła... empireum.

Ci biedni są chyba obłąkani i chorzy; bo jestże widok cudniej wspaniały, większy, piękniejszy, bardziej rozkoszą napełniający duszę, nad widok świata Bożego! A! jedno spojrzenie na niebiosy, na gwiazdy zdaleka nam mrugające, na zielone pola, na kwiaty, na drzewa i cały ród nasz ludzki... tę wielką rodzinę serdeczną, nie dająż już szczęścia?... Bóg wszędzie! Mógłże on nas stworzyć i posadzić w tym rajy tak strojnym, tak lśniącem, tak uroczym... na nieszczęścia, cierpienia i zawody? Nie... nie, to są dzikie, chorobliwe wymysły.

Mnie tak lubo, tak rozkosznie na świecie! W sercu mojem tak pogodnie, przeszłość moja tak pewna, tak jasna; a do koła leżą, jak w ziemi bajek czarownej, skarby, skarby nieprzeliczone, tylko się schyl po nie.

Wszystkie cuda stworzenia, nie sąż to miny złote dla człowieka? Od proszku pod jego stopą, do tego drugiego świecącego prochu rozsyanego w ciemnych szafirach nocy, do barwistego motyla, do zielonego przetykanego przezroczystymi żyłki listka trawy... nie sąż to bogactwa nasze? bogactwa dla myśli i serca? A sztuki, a bozka muzyka, a ludzie bracia, a serca kobiece, a my sobie sami. Wieki by można w szczęśliwości zapatrywania się na to wszystko przepędzić. O! krótkie nasze życie, na użycie tego wszystkiego co nam Bóg dał.

Widzę, że plotę i rzucam bez porządku przedmioty różnej i wcale nierównej wagi. Kobietę, kobietę... to arcydzieło stworzenia, winienem był położyć na początku. Tysiące poetów porównywało ją do gwiazdy życiu naszemu świecącej... Przekłęci poeci! ukradli mi bardzo szczęśliwe porównanie.

Gdybym też ja kiedy ochłódł, zesmutniał, zawiódł się i odmienił? Byćże to może? Nie, nigdy!... Zapewne, trochę, troszeczkę, odrobinę ostygnąć, podobno jest koniecznością... Ale ci tylko stygną zupełnie, co nienaturalnym płomieniem się ogniem. Ja... nie; moje myśli i uczucia płyną dziś rozlanem morzem wiosennej powodzi, popłyną później węższem korytem lata, ale to będą też same myśli i uczucia, może silniejsze; bo zebrane w siebie, bo skupione.

Nie powinienbym i nie mogę ostygnąć: marzę ja piękny, piękny wiek siły i dojrzałości i pogodną przesłiczną starość. Po niej, jak pogodnego dnia jesieni, suną się jedwabne nici pajęczce, świecą pozłoczone drzew liście, wieje wiatr ciepły i zdrowy.

Dziennik mój będzie mi służył za zwierciadło, w którym się będę przeglądał: zapiszę w nim co pomyślę i uczuję. Jak też to się później wyda? A! uchwaj Boże by te myśli wczorajsze wyglądały mi jak frak mojego dziada, który spostrzegłszy, boki zrywałem od śmiechu.

To rejestrowanie własnej historii przytrudnem być może. Ale człowiek pisze dla siebie swobodnie, bez oglądania się na nic, bez żadnej obawy: pisze, co mu fala myśli jego dziennych przynosi... Na tym brzegu znajdują się wyrzucone i białe piaski i złociste konchy, domy umarłych istotek i rybki drgające i szum i piana biała, i śmiecie.

Odczytuję com napisał. Pokazuje się na ten raz jasno, jak w południe, że jest jedna rzecz na świecie nie dobra. Człowiek gdy najgoręcej czuje, najchłodniej pisze. Tu nie ma ognia mojego, mego życia, nie ma myśli, którą wylać chciałem, którą sądziłem, że wylewam,

jak wulkan leje z piersi swych lawę. Lawa ta zastygła, skostniała i zimna leży teraz przedemną. Możeby potrzeba ręki pracowitej wyrobnika słowa, żeby ją wypolerować i coś z niej zrobić do ludzi.

Jak to opisać, co się dzieje ze mną? To uspokojenie w nadziei, to uszczęśliwienie jednym niczem, tę miłość całego świata, to pobłażanie serdeczne, to politowanie bez granic, to miłosierdzie, tę gotowość ochoczą na ofiary.

Jak opisać moje szalone uwielbienie cudów stworzenia?

Wczoraj chodziłem sam jeden z myślą moją do Zakretu. Wpatrywałem się w pierwsze rozkwitłe, wątłe kwiatki wiosny i z rozkoszy¹ płakałem, poglądając na ich śliczne sukienki, na nietrwałe ich a nieśmiertelne ubranie. Zerwałem com znalazł i cisnąc do piersi, biegłem z nimi pieścić się i cieszyć nad Wilją. Tam widok się uzupełniał. Usiadłem... Co to był za obraz do koła; co za barwy obłoków, różowych, sinych, złocistych i liljowych, piętrzących się ogromnemi masami, to znów rozbijających w drobne bryzgi ogniste, siatką złotą wierzchy niebios opasujące, jaka cisza w powietrzu, przez którą płynęły śpiewy ptasząt świeżo nam zwróconych. U stóp moich rzeka jasna jak niebo! nad głowami chmurki lekkie, zdało się anioły, co leciały nucić hosanna u Bożego tronu; dalej ciemniejące i zieleniejące drzewa. A wonie ich, a barwy obrazu, a dźwięki tej ciszy! O Boże! czemużes człowiekowi nie dał języka na uwielbienie tych tworów, na wylanie z piersi wezbranej wdzięczności, czci, podziwu, rozkoszy!

Jakbym pierwszy raz w życiu je ujrzał, witałem kwiaty, co znowu ziemię odziewać poczynają.

Mój Boże! co to za głupi pedanci ci ludzie, co po-

trzebują, dla pojęcia wielkości Stwórcy, zadzierać nos, patrzeć w gwiazdy, mierząc nieskończone, licząc niezrachowane, i milami swemi obrachowując osie słońce niewidzialnych prawie... Alboż wielkość nie jest cała w ziarnie piasku? Dla mnie Bóg jest największy, najpotężniejszy w drobnostkach, w tych tworach niewidocznych, niedotkniętych, które ożywiają powietrze, ziemię, wody, krew naszą; które żyją gdziekolwiek jest miejsceczko. A ileż to milionów milionów niewidocznych jeszcze dla nas? Bóg, natura... zawsze *maxima miranda in minimis*.

Któż mi dowiedzie, że każde ziarno piasku nie jest takim światkiem jak ziemia; że na nim nie ma całego szeregu stworzeń. Doprawdy szaleję... Ależ bo zapatrzysz się na świat oszaleć łatwo... tyle cudów...

Chciałbym być razem poetą, malarzem, muzykiem, snycerzem... o! i nie wiem już kim i czym, żeby wszystkimi temi języki głosić chwałę Bożą i piękność, cudowność stworzenia... A! i tych języków byłoby za mało. Zimne to wszystko przy tem co czuję; zimne, jak lód wyciosany w kształt płomienia.

Nigdy nie zapomnę przechadzki wczorajszej i uczuć, które jej towarzyszyły, któremi pierś moja aż do łez wezbrała. Łzy te były modlitwą dziękczynną za wszystkie dobrodziejstwa Boga.

Mógłbym być szczęśliwym? Nie pojmuję stanu wyższego i nie zazdroszczę aniołom; jestem człowiek, jestem młody, nie śmiecie się ze mnie, że nie wyobrażam sobie szczęścia nad szczęście ludzkiej młodości. Młodość widzi jedną najcudniejszą stronę *prawdy*... widzi *piękno*. Dla niej wszystko harmonją i pięknnością: pojmujecież wyższe szczęście? We mnie skarby, przedemną świat cudny,

jasny, szeroki, rozmaity, kraina złota i drogich kamieni: nie schylaj się nawet; niepotrzeba! Masz je w sobie, około siebie, stąpasz po nich, gną ci się z gałęzmi do ręki i ust owoce: zbytek cię oślepia, oszala.

A spójrzę-li na przeszłość moją; — i za nią dziękuję Bogu. Śliczna i ta moja przeszłość... zagasła gwiazda, świecąca wspomnieniem, jak czarodziejski kraj roztacza się za mną.

Jak zapamiętam... dawno, w wysokich izbach czarnych starością, nad których dachem ogromnych drzew zwieszały się konary, stała kołyska dziecinna, a nad nią dwie opiekuńcze twarze: z siwym włosem u skroni łagodne oblicze babki; z złotemi sploty, niebieskimi oczy, uśmiechająca się twarz matki. I szumią odwieczne drzewa kołysząc mnie do snu, śpiewają ptaki na kasztanach i świrkach, kwitną kwiaty na szerokich murawach.

Pamiętam wiosny, pomnę lata i jesienie; długie pasmo różnobarwne wite z zielonych, złocistych, purpurowych i białych nici; moje zabawki dziecinne, moją ciekawość chciwą, co się tak właśnie ku światu rzucała umysłem, jak inne dzieci na księżyc rękoma. Wieleż to rzeczy wówczas mi pobożnie tłumaczonych, do dziś dnia jeszcze pozostało dla serca pragnieniem, dla głowy zagadką! Ale w dzieciństwie żyło się więcej ciałem, ciałem prawie wyłącznie, a rozkoszne było i to życie moje. Bo czegożem zażądał, żebym nie otrzymał? czego poprosił, bym nie dostał? o czem zda się pomyślał, by Anioł-Stróż nie wyszeptał marzenia i nie przyniósł złotego jabłka życzeń? A zawsze te dwie twarze uśmiechały się mi, moim zabawom, moim pytaniom, mojemu podziwieniu, niedoświadczeniu; zawsze one bolały smutkom i tuliły łzy moje. Jasno... jasno nad głową: a

jeżeli przeleci wędrowną chmurka, to złocista, to malfika, to urwana, koniec jej widać i wierzchy się iskrzą słonecznymi blaski niedalekiej pogody.

Jam wówczas nawet nie pojmował śmierci, nie wierzył w nią; a było to nie dziecinna nieświadomość, ale przecucie nieśmiertelności. Nie pojmuję dla czego żaden jeszcze filozof nie wziął za argument dowodzący wiecznego życia duszy, tego faktu psychologicznego niezmiernej wagi. Może jednak wspólne to nam ze zwierzęty? więc mniejsza; bo mi wcale o argumenta i dowodzenia do żadnego systemu nie chodzi, ja opowiadam po prostu. Ta nieświadomość śmierci, ta pełność życia, była jasną aureolą mojego dzieciństwa. Słyszałem o wychowaniu Montagn'a, którego dźwiękiem wyszukanej muzyki kołysano; mnie było pewnie rozkoszniej, milej, lepiej, dwa moje tylko kochane słysząc głosy, dwa dźwięki rajskie... głos babki i matki.

Ale jeden z nich ucichł wprędce. Było to dla mnie wielkie, pierwsze objawienie... objawienie smutku. Matka pokazała mi niebo i kazała tam szukać zmarłej. Jam się naiwnie pocieszył, czując, że jej tam dobrze być musi.

Pamiętam każdą ważniejszą chwilę dzieciństwa, złote pasmo cudów. Możeż narzekać kto ma matkę? Jej to winienem wszystko, i to uwielbienie moje dla dzieł Stwórcy i łatwe szczęście zapewne, które widzę wszędzie. Ona to nauczyła mnie widzieć wszystko tak jasno, widzieć sercem, kochać.

Drudzy się nudzą młodością swoją; ja się w nią stroję, jak w świąteczną suknię chłopek, ja się cieszę, czuję ją jako skrzydła bark moich; jam nią nienasy-

cony. Tyle mi potrzeba uczyć się jeszcze, tyle zrozumieć, tyle widzieć, uczuć i uwielbić.

Otóżem się zapisał... a tu długi wieczór wiosenny znów zagląda przez okno otwarte. Potrzeba być studentem na to, żeby pióro trzymać w ręku, gdy otwartem oknem wpada taki widok nęcący. Precz z piórem i kałamarzem, prędzej w świat na przechadzkę, gdzie oczywiście... Wieczór tak świeży, pachnący, piękny; w drogę prędzej, w drogę!

O północy.

Zmęczony jestem, zbity przechadzką; ale nie mogę wymódl na sobie, abym się jeszcze położył, gdy z bliższego ogródka w zawody śpiewające odzywają mi się w uszy słowiki; gdy księżyc taki śliczny, gwiazdy tak jasne, niebo tak przejrzyste i gałęzie rozkwitłych drzew coś mi wonią i szmerem do duszy mówią.

Przechadzka moja była idealną! Wystawmy sobie rzekę, góry, lasy, miasto pełne pamiątek, lud wesoły i gwarzący, kobiety, młodzież... takie rzeczy ani się malują, ani opisują. Szalony chyba wziąłby pióro do ręki, z zuchwałym pomysłem zrobienia z tego obrazu. Ja mam go w sercu.

Wdrapałem się na stromą górę, na której sterczą czerwone ruiny górnego zamku. Trochę mnie zasmuciły rudera i zniszczenie, ale pocieszył się prędko. Przyszłość jest szczeblem dla przyszłości, posłaniem jutra. Na zwaliskach wykwitają nowe budowy rąk ludzkich, lub różnobarwne twory Boże. Wczoraj jest wielką nauką. Nareszcie pamiętać nie jestże bytem dla tego, co

się spełniło? Co było, to jest i będzie zawsze... nie smućmy się.

Wszystko co wielkie, co wieczne, pogodne jest i wesołego oblicza; znikomość i doczesność cuchnie padłem i gnije; co z ducha było, nie umrze; co suknią ducha, opada jako szata. Ziemia nie płacze ludzkim pogrzebom; bo w tejże chwili obchodzi czyjeś narodziny. Śmierć i życie mieniają się jako pogoda i chmury. Spełnione przeszłości są złamaną orzechą zjedzonego łupiną.

Pamiętajmy, uczmy się, uwielbiajmy, ale nie płaczmy; bo łzy nie posuną nas ani o włos dalej. .

Kłękłem na ruinach i pomodliłem się wielkości Boga, nicości nieśmiertelnej człowieka; niezbadanym wyrokom losów ludzkości... Ruiny i kolebki... Co się stało, było potrzebnem i koniecznem; co koniecznem, jest dobrem.

Wolałem więc, niżeli się smucić, wejrzeć z nową radością na nieśmiertelny świat Boży, rzekę, niebiosą, księżyc i całą piersią pociągnąć czystego wieczornego powietrza.

Co za szczęście! co za szczęście! Widok świata, uczucie miłości nieopisanej, uwielbienia, wdzięczności. I znowu miałem łzy moje na oczach, ale nie smutne łzy po przeszłości, łzy rozrzewnienia... ten najostateczniejszy wyraz uczuć nie mogących się już wylać inaczej, ani słowy, ani wejrzaniem, tylko łzami!

Jakże ona była piękną!

Stała o krok tylko odemnie, tuż blisko. Jakby namyślnie los ją tam postawił (nie wiem, czemu go uparcie zowią ślepym!) tuż, pod oczyma mojemu, by mi nie w tej chwili do szczęścia nie brakło. Ona także patrzyła, dziwiła się, nasyciała, ale jakoś smutnie.

Byliśmy połączeni braterstwem uczuć pokrewnych...

choć widocznie nie jednakich; księżyc oświecał twarz jej bladą, pięknych regularnych rysów, otoczoną czarnemi włosy, płonącą dwojgiem oczu czarnych, przysłonionych długimi rzęsami. Miała na sobie suknię białą i długi szal ciemny; w ręku kilka kwiatów wiosennych. Spoglądała z góry smutnie, tęskno, zadumano... Nie wiem, czy dla przyzwoitości przybrała tę minę smutną na ruinach; czy w istocie ten wieczór tak rozkoszny, dla jej młodego serca był smutnym.

Po chwili spojrzała na mnie; jam dawno patrzył już na nią... Myślę, że mnie pojąć i zrozumieć musiała, jak ja ją może rozumiałem.

Kto wie, czyśmy się nie omylili oboje! Gdym się obudził z marzenia, znikła; ałem ją spotkał jeszcze nad Wilją, przechadzającą się powoli, zamyśloną, samą jedną. Kto ona? nie wiem. Dla czego z tylu widzianych kobiet jej blada twarz i oczy czarne najgłębiej do duszy mi zaszły?

Dla czego jedno kwiaty kwitną niebiesko, drugie białe? Bóg to wie.

— 21. *Kwietnia.*

Zawsze dzień każdy równo modlitwą i tem srogiem dla mnie zaczyna się pytaniem: — Co to życie? Co znaczą niezliczone sprzeczności w niem spotykane? do czego wiedzie nieustanna walka, walka żywiołów, sił, ludzi, charakterów? Tą wojną jest życie; wojna miałażby być elementem żywota wszelkiego? Dla czegoż z głębi serca odzywa się uczucie miłości, pragnienie pokoju? Nowa sprzeczność.

Dwojakie więc życie... Gdzie duch tam cisza, spokój i niezmiennosc; gdzie ciało, tam bój wiekuisty, tam sprzeczności ciągle, rozwijające się jedno z drugich.

Już boski Plato, którego nam stary nasz pocziwy profesor uniwersytecki wyklada ze ścisłością filologa, ale bez względu na filozoficzną jego wielkość, chciał ująć wszelkie sprzeczności w jedną formułę pojętną; już za jego czasów walczyły *Różność* i *Jedność*. On pierwszy wyrzekł, że w pośrodku sprzeczności jest prawda i życie; ale długie wieki nie zrozumiano go. Czy rozumieją dziś lepiej? Czy wyjaśniło się pytanie? Wątpię... leniwo idzie podobno ludzkość po tej drodze osłonionej tajemnicą dla jej dobra.

Ja także co dzień się chwytam na walce ze światem, na sprzeczności z tem, co mnie otacza i dotyka. Mój zapal brzmi im w uszach fałszywo, nieznosnie, dziwnie. Gdzież prawda, czy w moim optymizmie, czy w ich pesymizmie skeptycznym? W moim ogniu, czy ich chłodzie?

Mierząc sobą cały świat, nawet rówieśników moich znajduję chłodnymi... Czy ciągle dotykam się, ocieranie o zimno i mnie nie oziębi? O! nie... Straciłbym moją szczęśliwość, mój sposób widzenia świata, moje jasne wejrzenie na wszystko co jest... Strzeżmy się! strzeżmy! chłód to zwiastun śmierci.

Znowu spotkałem się z nią... Jeszcze nie wiem kto ona. Wiosna rozwinęła skrzydła jak motyl, co się ze snu długiego budzi i nagle podleciała do góry, ku słońcu; drzewa się rozwijają, powietrze wonne; jak usiedzieć na miejscu, chociażby studjując Platona?... Wieczorem pobiegłem na Antokol, szukając wszędzie tej wiosny, którą mam w duszy: po drodze spotykałem

tłumy, ale w Sapieżyńskim ogrodzie było pusto. Stare fontanny, co były może w oczy bohaterom olkienickich bojów, lub smutnym ich następcom, teraz... milczały. Dwie czy trzy pary, milczące jak one, przesuwały się między drzewy, wpół dopiero liściem okrytemi. Usiadłem na ławce i wpatrywałem się w blaski zachodzącego słońca. Z za pokrzyżowanych gałęzi i gałązek drzew rumieniło się niebo złotymi poprzecinane pasami. Ku górze łony złociste, różowe, lila, zlewały się niepostrzeżenie, cudnie w błady lazur, a dalej ciemne szafiry... Ten widok powszedni, na który już nikt nie pogląda, który nikogo nie zastanawia, jak wszakże uroczy, jak wspaniały. Cóż kiedy powszedni? Człowiek nawykł do niego, jak do wszystkiego, co go otacza i zimny nań. Musiałem się wydać śmieszny przechodzącym, gdy z otwartymi usty, jakbym się dopiero na świat narodził, z zachwytem wlepiałem oczy w zjawisko tak pospolite. Niektórzy przechodnie, sądząc zapewne, że na niebie coś niepospolitego i dziwnego upatrzył, drugi księżyc, lub kometę; zwrócili także oczy na zachód, patrzali ze mną i ruszywszy ramiony, odeszli.

Są ludzie, którym jak dzieciom ciągle coś nowego potrzeba, aby ich uwagę ośpałą zwrócić i na chwilę przynajmniej zatrzymać.

Anim spostrzegł, jak dwie osoby usiadły przy mnie na ławce. Gasnące blaski zachodnie całego mnie zajmowały; pęłży chmury i smutne na mnie wrażenie czyniły; bom się pytał w duszy siebie, czy nie wszystko tak pęłźnie na świecie? czy nie tak pęłzną blaski młodości z serca? czy nie tak gasną jasne marzenia dni ludzkiej wiosny? Przed chwilą zaogniony różowo obłok stawał się siwy, zimny, ciemny; stopniowo z złocistych

mienił się w czerwone, z czerwonych w lila, z liljowych w sine... Niebo stygło i smutniało.

Znowu tedy sprzeczność! znowu walka stanęła mi na oczach, walka światłości z ciemnością. Ale walka ta wiekuista: i co dziś znikło, jutro się odradza; wszystko więc jest wiecznem; zjawisko tylko trwa chwilę, istota trwa wieki.

Tak myślałem i zwróciłem oczy na sąsiadów mojej ławki.

A! była to wczoraj widziana kobieta, z drugą jakąś. podobno starą, bo kaszlącą i odchrząkującą co chwila. Taż sama. Dawno już musiała mi się przypatrywać, jak się naturaliści wpatrują w owad ciekawy: bom spotkał czarne jej oczy utkwione we mnie, z jakimś wyrazem. ledwie nie powiem politowania.

— Cudny wieczór — odezwałem się pomieszany, przychodząc do siebie.

Kobieta uśmiechnęła się smętnie i odpowiedziała cichutko.

— Jak co rok wiosenne wieczory bywają.

— Ja ich tak mało widziałem, że mi się zawsze zdaje, jakbym pierwszy raz na te cuda spoglądał.

— Bardzoś pan szczęśliwy!

W tem prostem słówku, może mimowolnie z ust wybiegłem, było dla mnie wiele tajemnic. Kto się dziwi szczęściu cudzemu, nie mogąc go już sam kosztować. choć je ma w swoim ręku, ten przeżył młodość podobną mojej, wiek prawdy i zachwycenia; ten już wejść musiał w zwątpienie i chłody jesienne.

Uważniej teraz przypatrywałem się mojej nieznajomej... Na jej twarzy widać było ślady cierpień; piękna

jeszcze; już nie była ową piętnastoletnią pięknoscia, której serce do wszystkiego bije.

Piękne, czarne, ogromne jej oczy, osłonięte długimi rzęsami, przyćmione, opasywał prawie niedojrzany ślad łez i cierpienia. Z twarzy spęzł rumieniec, jak owa chmura pożyłota, przezroczysta zastąpiła go bledność, pod którą sinemi żyłkami grało ostygłe już życie. Usta nie miały tej barwy malinowej dziewczyczych warg, która zdaje się uśmiechać do świata, życia i rozkoszy. Wszakże pomimo znużenia i smutku, twarz ta była jeszcze wielkiej piękności; cierpienie nie zniszczyło jej, tylko ją charakterem swym powlekło... Z pod ostygnięcia przeglądała zaparta, ale nie zgasiła nadzieja i pragnienie... Taką mi się pokazała nieznajoma. Moja w tem drugim na nią spojrzeniu.

Po owem „bardzoś pan szczęśliwy“, nastąpiła chwila milczenia; we mnie tym tęsknym wykrzykiem podbudzone, płomieniło się życie.

— A! — zawołałem — szczęście to nie wyłącznie moje, ale wieku mojego i wszystkich ludzi nawet, co utrzymali się w posiadaniu najdroższego skarbu... młodych uczuć... Młode uczucia są najwłaściwsze młodemu wiekowi; ale nie wyłącznie mu należą. Wielu starców wyniosło ten ogień z sobą w chłodne doliny późniejszych lat; wielu grzeje on do zgonu. Szczęście, które pani mojem nazywasz, nie moje wyłącznie; ma je każdy, kto go potrafi zapragnąć... nie ma, kto w nie nie wierzy tylko. Tu wiara pierwszym dla adepta warunkiem.

Trochę po studencku brzmiała odpowiedź moja; jednak jej nie rozśmieszyła wcale: ciekawie zdawała się słuchać, a gdy skończył, jeszcze (może to przywidzenie) czekała, bym mówił dalej.

— Powtarzam, bardzoś pan szczęśliwy! — dodała — w jego wieku, tak prędko, tak chciwie, można powiedzieć, ludzie ziębną i starzeją, tak pragną się odczarować, że każdy pełen wiary, zapału, ufający swej gwieździe, z przyjaźnem uczuciem witający świat, jest zjawiskiem miłym i dziwnem. Wielu z pańskich rówieśników tak samo czuje, a już się wstydzi swojego zapału i chce udawać oziębłych i starych... Winszuję panu jego młodości.

I uśmiechnęła się. Nie wiem czemu zdawało mi się, że w uśmiechu postrzegł jakiś przycień politowania.

— Dziwię się tym, którzy mi się dziwią — mówiłem dalej. — Cóż dziwnego, że młodość bogata jest w wiarę, zapał; że wszystko widzi dobrem i pięknem, że nie pojmuje nienawiści, a ledwie zdobyć się może na wzgardę? Co dziwnego, że młodzi są młodymi?

— Nie wszyscy pańscy towarzysze i rówieśnicy jak on myślą; dlatego podwójnie winszuję mu i słucham z upodobaniem tej pieśni wesela. Tak mało go na świecie.

— Dla mnie — odrzekłem — wesele jest wszędzie. Smutek, jak złe, jest fałszem i jest przemijającym czemś, co biernie dopomaga, jak ciemność do pojęcia jasności... Cały świat nie jest-że cudną harmonijną wesela pieśnią, hymnem potężnym, w którym grają jak tony potrzebne i śpiewy ptastwa i gromy burz i fale morza bijące zgruchotanemi okrętami o skały. Pieśń tę trzeba duszą posłyszeć całą, aby ją pojąć; oddzielne jej tony dziwne się wydawać mogą. Tu smutek, boleść, bój, jęk, są przemijającemi, są pozorami. Wieczną rolę natury: życie, szczęście, wesele.

— Jakże to piękne co pan mówisz — odezwała się

z westchnieniem, które przytłumić chciała napróżno. — Jakże to piękne!... Powiedz mi pan — dodała — nigdyż w życiu nie natrafił na nic, co by jego wiarę w szczęście zachwiać mogło?

— Nigdy — odpowiedziałem. — Z wysokości, na które mnie skrzydła młodości uniosły, wielkie plamy życia wydają się proszki drobnemi... Jednem i jedynem złem, w które wierzę, nad którem boleję, jest brak wiary i zepsucie moralne. Ale i to złe nie jest na ziemi nigdy tak absolutnem, aby się prawdziwem nazwać mogło... Nie ma człowieka całkowicie zepsutego, nie ma życia, co by całe utonęło w niewiarze i zgniliźnie. Są chwile jasne wśród tych nocy; a często w momencie rozstania z ciałem, dusza odzyskuje swoje niebiańskie skrzydła i przypomina niebo, które miała w sobie za młodu... Ten moment żalu, skruchy, zwrotu, jest chwilą ocalenia.

Jam tak zapalony perorował i mówił; ona słuchała mnie cierpliwie, milcząc, sparta na rękę, oddychając tak temi słowy pociechy, jak ja oddychałem wiosną.

Mrok coraz gęstszy padać zaczął; przechadzający nikli z ogrodu; cisza głucha rozlała się uroczyście, przerywana tylko dalekim miejskich dzwonów głosem.

Nieznamoma wstała, spoglądając na staruszkę obok siedzącą, która otuliwszy się chustką, podniosła się także; pożegnała mnie skinieniem głowy milczącym i odeszła powolnie. Kilka razy (zdawałoż mi się) obejrzała się na mnie.

Wstałem i ja i szedłem ku wrotom ogrodowym. Tu jeden tylko stał powóz, czarny, skromny, ale wytworny; ludzie ciemno ubrani, konie bez błyszczących świecideł... Dwie kobiety siadły wewnątrz i pojechały; przeprowadziłem

je wzrokiem... powoli i nasycając się wracałem do miasta... Droga już była prawie pusta.

Z Tivoli i Chin kilku przypóźnionych graczy bilar-dowych i przyjaciół kieliszka, głośno rozprawiając, siadali na oczekujące drażki. Mój Boże! godziź się tak trawić życie? tegom jeszcze nigdy pojąć nie umiał, jak w jednym gwarze ogłupiającym, w jadłe i napoju można przeżyć całe życie i nie tęsknić za czemś lepszym?

Przed nimi wszystko, co napawa umysł, co otwiera duszę, widoki rozwijające myśl, wstrząsające sercem rozkosznie; tysiące przedmiotów, których badanie ucznia człowieka; zimno, bydlęco oni mijają to wszystko, idą jak zwierze pić i jeść, a potem spoczywać; dziwni ludzie! niepojęte stworzenia, tak w sobie nieśmiertelną usypiają duszę, jak drudzy ją budzą. Gdy się z niej głos jaki późny odezwie, to go głośną gwarem... Szkoda że się narodzili... i po co się narodzili; Horacjusz tam kędyś odpowiedział na to, a my go często powtarzamy i powtarzamy, patrząc na większą połowę ludzi.

Wchodzę w miasto i znowu marzę... Ale pocóż spisywać te marzenia, podobne chmurom na niebiosach, stutysięcznych kształtów i barw, a zawsze przecie też same.

A! otóż i moja miluchna izdebka. Gdybym był malarzem, odmalowałbym ją dla wiekuistej pamięci; teraz ją przynajmniej opiszę, jeśli nie dla siebie, to dla ciebie, kochana mateczko, co to czytać będziesz, gdy się zobaczym.

Mógłbym się umieścić gdzieś w izdebce ciasnej, ciemnej, bez powietrza i widoku, wychodzącej w brudne dziedzińce, z perspektywą na bieliznę schnącą i kapiącą

rynny? O nie! taki widok zabija i dusi... wołałem njać sobie w czem innem, bylebym oddychał powietrzem czystem i patrzył na życie. Chciałem się, mateczko moja, przenieść za Ostrą-bramę, gdzie był wynalazł dom w ogródku, samotny, śliczny; ale to tak daleko od naszych uniwersyteckich murów, od biblioteki, od towarzyszów, żem się prędko wyrzec musiał rozkosznej nadziei przypomnień wioski pośród miasta... Umieściłem się więc pod bokiem jezuickiego kościoła i uniwersytetu, naprzeciw święto-jańskiej wieży, wprost długiej ulicy i placu pełnych ruchu i gwaru. Nie ma tu zieleności drzew, gór, ale mam kawałek nieba i dużo ludzi. Ludzie czasem warczą sę drzew, a pewnie dłużej przedmiotów do myślenia dostarczają. Z wysokości więc poglądam na nich, i próżnuję całe godziny, przypatrując się dziewczętom biegącym po wodę, woźnicom wabiącym przechodniów, pobożnym tłumom idącym do kościoła, gwarliwym sznurom mojej rówieśniczej młodzieży. Ile tu spostrzeżeń z wierzchołka mojego obserwatorium uczynić można! A nieoszacowani sąsiedzi! Na lewo mam pocziwego młodzieńca, który używa życia, nie troszcząc się o jego znaczenie... Pospolicie nazywają go i znają za gracza... Jeden to z familji tych dziwnych ludzi, których ja nie pojmuję. Słyszę go często wracającego po północy lub nadedniem; czasem świszczącego wesoło, częściej smutnie burczącego na sługę... Całe wieczory niekiedy grzmi gra w jego mieszkaniu, wszystkiemi swemi głosy, głosy wesela, szyderstwa i rozpaczy. Dziwny to, ale nie zły człowiek... próżniak, bezmyślny, ale ma swoje dobre: widziałem go śpiącego suto jałmużny. Nie ma bo całkiem złych ludzi na świecie.

Drugi mój sąsiad grubym odemnie oddzielony murem;

słyszę tylko ztamtąd wesołe głoski dziecinne; urzędnik podobno z Radziwiłłowskiej komisji... Na dole podemną kawiarnia... przytulisko próżniaków i pseudo-literatów.

Mam dwa pokoje na drugim piętrze... pierwszy wygląda prawie na salę, tak wielki, przestronny i wysoki; ale brak przedpokoju czyni go razem salą, sienią, jadalnią i garderobą. Za starym (kwiecistym papierem pokaleczonym) pokrytym parawanem, tuli się mój pocciwy sługa i wszelki sprzęt unikający oczu ludzkich. Tam zbiegowisko tych potrzebnych nieodzownie, a skromnych życia pomocników: naczyń, ruchomości, których fizjognomja piękna jest tylko na flamandzkiej rycinie. Patrzcie jakie dobrodziejstwo tego szarego parawanu, co ogromnemi skrzydły tuli resztę zapartych i zawstydzających swą przytomnością rzeczy razem z łóżkiem Macieja... Kątek użyteczny, mało co ujmuje rozległemu salonowi: przy ścianach jego nigdy sinych, dziś szarych, tulą się zbierane meble różnych wieków, różnych kształtów. Ile to myśli w jednym starem krzeselku! począwszy od gotyckiego fotelu, do trzcina wyplatane lekkiego naszych izb jadalnych siedzenia!

W głębi, z drzwiami, komin zimny i nieużyteczny, tuż piec potężny... W ścianie na placyk wychodzącej dwa duże okna, osłonięte firankami... niestety! nie dziewiczniej już czystości.

Przed ogromną, olbrzymem... kanapą, mój stolik zarzucony papierami, książkami, pióry, nótami i rysunkami. Naprzeciw fortepian najęty, pocciwy rozbity instrument, który mi przecie służy jako może i nie raz z serca wywoła jasną harmonijną nutę. Nad nim jedyna rycina, u której nieraz spędziłem dumając chwilę rozkoszną. Sztych to natchniony kilką wierszami Milтона zapisa-

nemi u spodu, wyobrażający Adama przebudzającego się ze snu i spoglądającego na Ewę. Rajskie przebudzenie! Dokoła natura w pełni życia, w rozkoszy żywota, natura bez skazy, w szatach dzieciństwa nieśmiertelnego; człowiek i u boku jego druga połowa serca, dopełnienie stworzenia, ostatni utwór boży, z obliczem anielskiem, uśmiechem dziecinny... Ale któren-że malarz wyrazi, co wyrażać powinna twarz Adama? Podziwienie, upojenie, niepokój i radość.

Naszemu rytownikowi wcale się to nie udało. Natomiast kilka wierszy Milтона podpisanych u spodu, wwożą nas lepiej w czarodziejski ów raj.

Dla czego wszystkie ludy, nawet dzicy mieszkańcy Kolumbii, mają mgliste podanie o upadku człowieka, o pierwotnym jakimś stanie jego szczęśliwszym? dla czego w głębi nas odzywa się dotąd żal jakiś po tej przeszłości rajskiej na ziemi, ku której także pędzimy ideałami i utopjami co chwila?

Minawszy fortepian, wchodzimy do drugiego pokoju, na którym kończy się moja posiadłość. Małeńki, przyziemny, miły jest wszakże. Tu widocznie przyjmujemy gości; bo nie ma ani rozrzuconych papierów, ani połamanych piór, ani literacko-studenckich owych śmieci, w które obfituje moja pocziwa sala. Natomiast jednostajne krzeselka, mahoniowa kanapka, stolik, wielkie tremo w kąci, historia Pawła i Wirginji na ścianach. I po wszystkim.

Otóż odszkicowany z większych rysów obrazek mego mieszkania; ale ileż to drobnych poświęcić się musiało. Zapomniałem, na przykład, wielce charakteryzujących salę, pajaka szklanego złocistego, grubo zapyłonego,

zwieszającego się od sufitu; i ekran u komina, który wyobraża dwa całujące się gołębie... mocno spłowiące w tym nieskończonym całusie.

22. *Kwietnia.*

Dziennik mój będzie ciągle powtarzaniem jednej pieśni; bo dziś gra mi w duszy toż co wczoraj i leje się mimowolnie na papier.

Jakże na świecie pięknie, wesoło, radośnie; jak śliczny, różowy twój świat o Boże! Biedni, co go nie widzą, albo nań patrzeć nie umieją, albo rozumieć go nie chcą! Jak tu pojąć smutek, zwątpienie w obliczu takiego cudownego świata, tylu rozkoszy, któremi jak różami stwórca usypał nam drogę. Gdzie się obejrzysz, wszystko ci się śmieje, piękne, zachwycające, rozkoszne. Młodość to kwiat życia, jesień to owoc dojrzały, starość to cudna pamiątka, przed którą klęknąć potrzeba, by ją czcić jak relikwję.

Młodość tak dobra, serdeczna; starzy tacy pocziwi, tak kochający, poważni i szacunku godni; natura tak tajemniczo piękna, tak co dzień inna a zawsze równie zadziwiająca! Tajemnice, cuda, wdzięki, rozkosze, wszystko rozsypane po świecie, by uszczęśliwić człowieka. A życie tak krótkie! Gdybym miał życia dziesięcioro, mało by mi ich było jeszcze. Jak pojąć samobójstwo? Cóż to cierpienie? Walka z niem, to uroczysty bój; możnaż od niego uciekać? Godziż się rzucić po tchórzowsku pobojowisko, nie czekając końca?... Żaden myślący człowiek nie skrócił sobie życia, krom w szale pomieszania; żaden pragnący uczyć się i badać, dla

marnego bólu nie przeniósł zasłonionej przyszłości nad to, co mu dane.

A są przecież ludzie, którym na świecie nie dobrze! Nie dobrze, gdy ich otacza wiosna, młodość, nadzieje i pola niezmierzone dla doświadczeń, badania, nauki... Biedny to czasem ten człowiek; zresztą trzeba mu wiele wybaczyć. Wszystko się psuje i mieni; woda w naczyniu stojąc zatechnie, chleb pleśnieje, kwiat więdnie, a człowiek miałby na starość trochę się nie napsuć, nie zatechnąć? Trudno... Grunt jego serca pocziwy, ale ciało schorzałe gniecie mu duszę: w miarę jak mniej widzi i pojmuje świat i siebie, smutno mu jakoś na sercu! wybaczymy! kto wie, co będzie i z nami...

Kiedy to czytać będziesz, kochana mateczko, domyślisz się, że pisząc o starych, nieraz miałem na myśli szanownego naszego, ale niemniej niepojętego dla mnie, pana Wrzoska; i przyjdzie ci na myśl zapewne ten nasz kochany oryginał. Przypomnisz sobie jego maleńką, chudą figurkę, bladą i suchą twarz z uśmiechem tak lubym, choć litościwie... szyderskim; i grubą trzcinę, którą się podpiera, i palone buty, w których chodzi, na przekór modzie, i nieznoszone owe szaraczkowe suknie od powszednia i święta. W mieście zowią go *szarakiem*, jak zająca, i znają dobrze, zwłaszcza ubodzy, których nietylko po swojemu buruje, wspiera, ale się niemi szczerze zajmuje.

Znając najlepsze serce Wrzoska, poleciłaś mnie jemu; widuję też go często, co dzień prawie, zajmuje się mną jak dzieckiem własnem; ale się z nim zgodzić nie możemy. Stary pan Tadeusz nasz zimny jest, lub przynajmniej udaje zimnego, ja... płomieniem i ogniem. Syczym też ile razy się spotkamy. Nie bój się jednak matuniu,

nigdy się nie pokłócim doprawdy. Na próbkę dam ci naszą dzisiejszą rozmowę poranną.

Wiesz jak nasz pan Tadeusz zwykle wchodzi, gdyby się był uczył z komedji *le Bourru bienfaisant*, nie umiałby lepiej udawać srogo zgniewanego, poburzonego, rozdasanego; laska na ramieniu, kapelusz na oczach, wzrok obwisły brwiami i spuszczone w dół, usta jakby nabrzmiałe.... Otwiera drzwi i już burczy, gderze za rzecz każdą, wszystko mu się niepodoba... Tak właśnie wszedł dzisiaj rano i zastał mnie nad książką, na kanapie z podwinionemi nogami, w postawie zdeterminowanego na próżnowanie człowieka. Trzeba wiedzieć, że mi żadna moja lekcja nie przypadała z rana: mogłem więc sumiennie przedumać ranek nad książką.

— Nie ubrany waść! nie ubrany! wyleguje się dotąd! — zawołał we drzwiach. — Złapałem waści na uczynku... Matka tam myśli, że schniesz nad lekcjami, aby z drogiego czasu korzystać, a tu jegomość próbuje sił na słodkiem *far niente*.

Uśmiechnąłem się na to.

— Śmiej się waść, śmiej — rzekł siadając na krześku naprzeciw mnie — a ja do matuni napiszę.

— Dobry mój przyjacielu — odezwałem się — cóż tak bardzo przewiniłem? Lekcji dziś nie mam zrana, wczoraj do późna przechadzałem się.

— Otóż to! — rzekł — otóż to! Żle żem się przechadzał! — I pogroził mi palcem.

— Dla czego?

— Bo przechadzka jest to tylko inny sposób próżnowania.

— A! mój drogi przyjacielu, chciałżebyś bym jak

mól zaszył się w książce, gdy mnie serce ciągnie patrzeć na cuda stworzenia i oddychać wiosną.

Wzruszył ramionami i mrugnął nosem jak ma zwyczaj, gdy co nie pomyśli posłysz.

— Do diabła, mości panie, nie wyjeżdżajże mi z cudami stworzenia i powietrzem wiosennem, boś mię niemi już i tak przekarmił, a wiesz, że natury cierpieć nie mogę.

— Kochany panie Tadeuszu — odpowiedziałem łagodnie — wszakżem cię raz złapał płaczącego nad...

— Otóż jest! — zakrzyczał — wyjeżdża ze swoim. Gdzie? kiedy? Nie mogłeś mnie waść widzieć, nie widziałeś, nieprawda! Jeśliś mnie widział płaczącego (co być nie może, bo nigdy nie płaczę)... to zkad wiesz nad czem? Łzy płyną ze środka nas, nie z tego co nas otacza.

— Różnie to bywa.

— Nieprawda! nieprawda!... Wróćmy do waćpana. To nie dość że próżnujesz, ale gdzie właści prowadzą przechadzki? he?

— Nie mam tajemnic, powiem.

— Wczoraj? na przykład.

— Byłem w Sapieżyńskim ogrodzie.

— Dobrze! ślicznie! i po nocy wracałem sam jeden, po chłodzie, wyśmienicie, mogłem fluksji dostać!

Rozśmiałem się w głos.

— A było i coś groźniejszego od fluksji — dodał grożąc palcem znowu — przyznaj się.

— Cóż takiego? cóż takiego?

— Patrzcie! udaje że nie wie! Gra ze mną komedję! Ha! Z kim to się siedziało... rozmawiało... wzdychało?

— Pzynajmniej nie powiesz, że kłamie i taję się.

Siedziałem przy nieznajomej kobiecie, przemówiliśmy do siebie słów kilka.

— Słów kilka, a gadali z sobą po cichu pół godziny! Z nieznajomą! — I potrząsł głową niedowierzając.

— Jak matkę kocham, z nieznajomą — powtórzyłem. Spojrzał mi w oczy.

— Znajoma, nieznajoma — rzekł — a nie życzę ci się ani spotykać z nią, ani bardzo do niej przybliżyć.

— Kochany przyjacielu, zastraszasz mnie doprawdy? Znasz więc tę kobietę? Na Boga, powiedz-że mi.

— Hola! hola — zrywając się z krzesła odburknął — nie ci nie powiem, dalipan nie ci nie powiem! Łaska Pana Boga, że jej nie znasz! A musisz mi jeszcze dać słowo honoru, że się starać nie będziesz nawet zbliżyć do niej... Inaczej do matki napiszę, a wiesz, że jak ją nastraszę to się zmartwi.

— Tego nie uczynisz.

— Wać mnie nie znasz! — zawołał perzając się — napiszę. do kroćset, napiszę... jeśli mi nie dasz słowa.

— Tego ani wymagaj nawet!

— Otóż jest! Jasny dowód, toś zaszłapał! zaszłapał!

Chwilę chodził po pokoju, wywijając łaską na wszystkie strony.

— Napróżno młodym gadać, wara od ognia! napróżno! Nie uwierzy aż się sparzy, a czasem na całe życie opali... Ja wiem co to się w waćcinem sercu kołacze... kobiety anioły, miłość i t. d. Tere fere mości panie... Waćpan tak znasz kobiety, jak astronomowie księżyc; gotowi mapę jego odrysować, a spytaj ich, czy ma atmosferę czy nie?... bę? ani prztyk! Waćpanu się kobiety świecą gdyby próchno w nocy, co na djamenty wygląda, a po dniu... zgnilizna! Zobaczysz! doświadczysz!

— Mój drogi kochany panie — przerwałem — za cóż tak gorzkie zdanie o ludziach, o droższej i piękniejszej, o szlachetniejszej połowie ludzkości!

— Droższej, piękniejszej, szlachetniejszej połowie! Ha! ha! wyśmienity! Cała ta połowa szeląga nie warta...

— A druga?

— Mniej jeszcze.

— Przestraszasz mnie! zmiłuj się, toż to nieodwołane twe zdanie o ludzkości?

— Nieodwołane.

— Więc nie kochasz nikogo?

— Niech mnie Bóg broni! — I ramionami ruszył. — A mnie to na co?

— Dla czegoż zajmujesz się naprzykład mną, matką moją?

— Tak sobie... co waści do tego. A że i was nie kocham, to nie. Kto wierzy w ludzi i kocha ich, zginiony! Dlatego z góry widzę, żeś przepadł, mój drogi. Połowę życia będziesz się marnie spodziewał, drugą połowę na zawiedzione nadzieje kawęczał.

Tu spostrzegłszy mój uśmiech, odskoczył.

— Nie wierzy! nie wierzy! Tak jak wszyscy! słowo w słowo! Giń-że sobie kiedy chcesz i gęby już nie otworzę. — To mówiąc, zamknął drzwi silnie za sobą, odemknął je potem równie szybko i dodał uchodząc:

— A chodząc wieczorami, przynajmniej gardło zawiązuj i kładź kalosze.

Nadto jestem przywykły do gderania pocziwego starego, by na mnie rozmowa ta uczynić miała wrażenie; to tylko z niej zauważałem, że zna tę kobietę i za niebezpieczną ją uważa. Ma więc niedobrą sławę. Biedna, jakże mi jej żał, co ona przecierpieć musiała!

26. *Kwietnia t. r.*

Przez kilka dni nawet zapisać słów nie miałem czasu... Im człowiek czuje więcej, tem bardziej rozpacza, by mógł uczucie swe wyrazić słowy. Język jest językiem myśli; językiem właściwym uczucia musi być coś innego. Muzyka? Któż wie?

Nie jedna Sonata Beethovena lepiejby wyraziła smętek rozkoszny mojej duszy, niż słów mnóstwo. A jednak... i w tej muzyce każdyby jeszcze czytał lepiej swoje własne uczucie, niż moje... Uczucie jest niewyrażone i czyn najlepiej jego miarę daje... Dla tego wszelkie uczucie skłonni jesteśmy mierzyć uczynkiem; boć to jego miara najwłaściwsza... wypowiedzieć się nie daje, trzeba je wydać na świat czynem.

Nie wierzę w ślepy traf bo ślepy traf, nie może się tyczyć rozumnych istot; jak skoro mamy pojęcie ślepego trafu, już przez to podlegać mu nie możemy... Ale byłoby to, co zowią... przeznaczeniem? Wszędzie spotykam tę kobietę.

Nie jest to przeznaczenie; inni ją spotykają także, równie często ze mną, a ona na nich tego co na mnie nie czyni wrażenia?... Jest więc sympatja, co nas łączy?

Błogosławię jej, jak wszystkiemu, co mnie w życiu spotyka... Nie widziałem, nie marzyłem idealniejszej istoty. Cała okryta tajemnicą, jak bohaterowie Ossjana mgłami; piękna jak Madona Rafaela lub Murilla; poetyczna jak Korynna... i cierpiąca i politowanie wyzywająca, oprócz innego uczucia... Kilka razy spotkał się znowu; nic przecie nie wiem o niej, choć ją znam dobrze, choć powiedzieć mogę, że z nią prawie po-

ufały. Nie wiem nawet, czy jest panną, czy zamężną, czy wdową. Zdaje mi się, że musiała być czyjaś, że przeszła przez srogą jakąś próbę pożycia dręczącego. Ale dla czegoż stary pan Tadeusz zawsze mi nią grozi, jakby coś o niej wiedział, jakby za niebezpieczną dla mnie uważał? Wszakże ona wcale podobać się nie stara, spotkania nie szuka, zimna jest nawet dla mnie, i zdaje się poddawać na chwilę jakiemuś wewnętrznemu popędowi, gdy poufalej mówi ze mną. Ledwie skorzystam z tej poufałości najniewinniej, gdy już chłodna odpycha mnie surowym wejrzeniem.

Nasze rozmowy dotychczas były obojętne, o świecie, o ludziach, nigdy o sobie... ona mnie, ja jej nie pytałem o nic.

I cóżbym się dowiedział? pewnie czegoś rozczerwującego; mnie zaś trzeba ideałów, abym kochał... Tajemnica otacza ją idealnością, dodaje jej blasku... Gdyby była stokroć powabniejszą, piękniejszą, wdzięczniejszą w sukience wiejskiej dziewczyny, nad powszedniem zatrudnieniem, nie wiem czyby mi ku niej serce zadrżało.

Pomimo jej wstrzemięźliwości w mowie, pomimo tajemnicy, którą się otacza, widzę, że przecierpiała wiele, że w nic nie wierzy, że szczęścia się nie spodziewa. Ja apostołuję za mojem przekonaniem, ona lubi mnie słuchać.

Wczoraj mówiła mi:

— Gdybym była pewna, że pan tego za złe z mej strony nie weźmiesz, że mnie nie posądzisz o płochość, że jak wszyscy młodzi, nie wzbijesz się w dumę... powiedziałabym panu, jak miło mi słuchać go, gdy mówisz o szczęściu. Rzadko się słyszy coś podobnego.

Nasz cały świat gra obojętnością, lub jest obojętnym i zimnym... Pan głęboko wierzysz w Boga, w ludzkość,

w dobro i szczęście. Jestem przekonana, że się mylisz, ale zazdroszczę ci błędu.

Ostatnich słów nie zrozumiałem prawie, takem zapłonął od tego poufalego *ci*, które *pana*, zastąpiło może przypadkiem. Pierwszy to raz w życiu obca kobieta powiedziała do mnie, jak się mówi do... kochanka!...

Potoczyłem się kędyś z marzeniami daleko, a ona uszła tymczasem... Jeśli ty to czytać będziesz, droga moja matuniu, nie lękaj się o syna, i nie myśl, że nowe jakieś przywiązanie przyszło umniejszyć to, które mam dla ciebie. Ty wiesz jak cię kocham... po Bogu pierwszą... a miłość Boga i ta druga zlały się w jedno... Przywiązanie, które czuję, które czuć mogę dla tej kobiety, z innej serca komórki wychodzi i wzmacnia wszelką miłość, a żadnej nie osłabia. Ono mnie podnosi, uzupełnia; ono jest nową siłą. Jeszcze jaśniej maluje mi się przed oczyma świat... dziękuję Bogu, że mi dał życie.

1. Maja.

Tyle razy wspominano tę sławną Platoniczną miłość, żem nakoniec ciekawy był dowiedzieć się co o niej napisał sam nieśmiertelny filozof. Szukałem jej jak w lesie, po całej Bipontyńskiej edycji dzieł Platona i znalazłem.

Ktoby się spodziewał! Wszakci to może wymówka tylko i apologja Sokratesowych obyczajów. Gdyby nie pomawiano o szkaradę Alcybiadesa i jego, czyby był o tem pisał Plato??

W tych kilku stronicach z okoliczności napisanych,

co wielkich, poetycznych bardziej jeszcze niż filozoficznych prawd, co myśli głębokich? Jakie uczucie piękności mieli Grecy? Jak cudnie miłość pojmował Plato?... Dla czegoż tak zniżyli kobietę? Jedną tylko znalazł Diotyne, idealną; ale ta jest Sybillą prawie i już wyszła z rzędu pospolitych kobiet. Niepojmując co natura kobiety ma w sobie poetyczności, wdzięku, szlachetności, zniżyli ją na narzędzie, na sługę.

Idealniejsze tylko są u Greków postacie bóstw kobiecych, wieszczek i... zalotnic.

Moja miłość (jeśli to miłość?) prawnie się Platoniczną nazwać może... Smutek ją zaprawia; ale smutek rozkoszny... Znowuśmy się z nią spotkali. Zawsze też sama rozmowa. Ja ją nawracam ku ludziom, ja chcę jej zwrócić wiarę, którą postradała. Szczególniejsze położenie apostoła dwudziestu lat nie mającego, przy trzydziestoletniej (może) kobiecie. Dobra to jakaś staruszka, co jej towarzyszyć zwykła; chodzi, rusza się, patrzy, kaszle, tabakę zażywa, ale zresztą znaku wewnętrznego życia nie daje. Ona nie uważa wcale na nią, ja także; można przy niej mówić co się podoba... Miałażby być głucha? może niema? bo nigdy jeszcze nie słyszał ją mówiącą. Jakby naumyślnie stworzona do swojego stanu; wyśmienie towarzyszy, a nie cięży nikomu; jest... jakby jej nie było.

Dziś była trochę weselsza, starała się mnie rozpytać o rodziców, położenie towarzyskie itp., ale wet za wet nie dowiedziała się wiele.

2 — Ja nic nie wiem o pani; nie dopytuję się jej nazwiska, stanu, przeszłości; nic więc także nie powiem jej o sobie... Prędko zwróciła rozmowę na co innego.

Mówiliśmy o kobietach, wymówiłem z czułością imię matki.

— Pan masz matkę! — zawołała z jakąś niespokojnością. — O! jakże mu tego zazdroszczę, ja mojej nie znałam.

I posmutniawszy, nagle oddaliła się odemnie.

2. Maja.

Przecież istnym przypadkiem dowiedziałem się coś o niej! Ale to fałsze zapewne, to są fałsze! Ja temu nie wierzę. Feliks Tarsza widział mnie z nią rozmawiającego, i szydersko u bramy ogrodu powitał.

— Winszuję ci znajomości!

— Z kim?

— Z panią generałową.

— Z jaką?

— Przecież nie udawaj; bom cię widział z nią długo coś rozprawiającego na ławce; a w rękę trzymałeś po-ufale jej rękawiczkę... Zda mi się, że to są niezbite dowody znajomości.

— Tak dalece znajomość moja dziwna i nie bliska wcale, że ci słowo daję, iż nazwiska jej pierwszy raz od ciebie się dowiedziałem.

— Niech temu wierzy kto chce.

— Feliksie, dałem słowo, a słowu memu potrzeba wierzyć.

— Więc ci wierzę.

— Powiedz mi, znasz ty ją?

— Nie.

— Wiesz o niej?

— Co wiem to ci powiem; wiem co wszyscy, każdy ci toż samo powtórzy. I tu powtórzył mi historję, historję dziwną, pewien jestem fałszywą; jedną z tych bajek, w które tłum stroi tych, których pojąć nie może. Tłumaczenie człowieka jak przekład dzieła, najczęściej się nie udaje. Na tkance kilku faktów, każdy czepia swój pragmatyczny wykład, a każdy inaczej... Bezmyślni łapią to wszystko i mieszają razem, a potem roznoszą po mieście jak gorące paszteciki. Biedne ludziska! Ma ona prawo być smutną, bo ją szkaradnie okłamali; a ludzie w każdym fałszu czują odrobinę prawdy i najczęściej zamiast jej poszukać, cały fałsz przez lenistwo przyjmują.

3. *Maja.*

Młodość jest wiekiem uczucia piękności. My ją może najmniej rozumiemy, a pewnie czujem najlepiej. Co więcej: we wszystkim co nas otacza, widzimy tę jedną tylko stronę prawdy. Wszystko dla nas jest tylko pięknem... Nie szukamy w piękności ani pożytku, ani rozkoszy cielesnej, ani nawet myśli nieśmiertelnej którą wyraża; ale jedynie jej samej.

A we wszystkim ona jest! Biedny, kto jej już dojrzeć nie może.

Przy całej niepoliczonej różnaitości tworów bożych, każde napiętnowane jest sobie właściwą, wyłączną pięknoscią... Są to znowu tysiączne strony jednej piękności nieśmiertelnej. Surowe, straszne rysy skał, i ścian przepaście, ich smętny koloryt, ich kształty ostre, składają całość harmonijną i wielkiego charakteru. Na szczycie

ich, na odrobinie ziemi naniesionej wiatrami, porasta zielona trawa, a między nią kwitną alpejskie wonne, niskie kwiaty... Spójrzysz w te żółtą zielone, w ich zgięcia, w ich smukłe rysy, w wyrost pręta kwiatowego, w krój kwiatu, a ujrzysz tam znowu tę piękność, którą podziwiałeś w skalnych obrywach, piśmie tysiąc-wiekowym, świadczącym o katastrofach stworzenia, tylko innemi wypisaną głoskami. Na dnie zielonego morza kręcące się algi i nieforemne zda się narosty koralu i liczne konchy obdzielone zostały częścią tej piękności, której niczemu nie braknie.

Lecz jak piękność jest tylko jedną prawdy stroną, tak i ona ma różne strony swoje. Jeden miłuje tylko piękność surową i smutną; drugi ochoczą a wesołą; trzeci smętną i zagadkową, pośrednią, boć ich tysiące rozwijają się na polu świata, od gwiazd do ziarna piasku... A każdy kocha tę piękność, która bliższa jest jemu, i budzi go zgodnością form z nim samym, albo form kontrastem, albo niedocieczonym ich związkiem... Dlaczegożbyśmy nie mogli uczuć i kochać wszystkich stron piękności? Może dla tego, żeśmy my, biedne istoty skończone, niedoskonałe i w jedną stronę ze szkodą innych rozwinięte.

Tyle to jest na świecie, w czym jeszcze ani umiemy dojrzeć piękna, ani się nawet domysleć.

A gdybyśmy się starali w wieku uczucia piękności, w tej uprzywilejowanej młodości naszej, rozwinać w sobie uczucie i szeroko je rozlać, tak aby objęło, czego tylko umysł dotknąć nam pozwala??

O! cóż za rozmaitość wdzięków na tym świecie! Wiedziałem dziś jeden z tych tworców cudownych, jakie się rzadko spotykają, i żyć potrzeba w szczęśnej chwili ich

objawienia się na świat, aby je podziwiać; a to nie każdemu dano... Któżby nie zgadł, że widział kobietę — kobietę, mało powiedzieć... aniołka. Dotąd śliczna twarzyczka blada mojej nieznajomej zdawała mi się ideałem; dziś dopiero postrzegłem, że za mgłami, za cieniami, które coś tajemniczego z niej tworzą, kryje się wiele ziemskiego: przez tę szatę melancholji widać popioły zagasłych namietności. Wszystkiego nabywamy przez porównanie. Obie piękne, ale jakże różne; a gdyby je obok siebie postawić, jak ziemską wydałaby się moja pierwsza nieznajoma.

Szedłem znowu na Antokol... Od niejakiemu czasu polubiłem Sapieżyński ogród. W jednej z ulic wiodących od mego mieszkania ku niemu, w altanie nad murem ogrodowym zawieszonej, którą osłaniały dwie kwitnące, wonne jabłonie, postrzegam kobietą postać. Bokiem ku mnie i pusteż zwrócona uliczce, stała sparta o balustradę belwederku i bawiła się złamaną gałęzią jabłoni. Był to prawdziwy obraz młodości, co łamie kwiaty dla woni choćby miała postradać owoce. Dokoła jasnej, białej, przezroczystej a zarumienionej przecie rumieńcem nie-naśladowanym, owalu prześlicznego twarzyczki... uwijały się puszczone bez myśli dwa złociste pukielki... Białe, gładkie czoło, jak u greckich posągów, zrastało się z noskiem, jakby z marmuru odciętym, którego różowy kończyk tak kraśniał zdrowiem i życiem, jak uszka i policzki młodej swawolnicy, co dopiero zapewne po żwawej przechadzce, skoczyła popatrzeć z belwederu w pustą uliczkę. Usteczka śmiały się życia i nadziei uśmiechem właściwym młodości, wiecznym towarzyszem lat złotych, nieodzyskanym już nigdy, anielskim wiary w świat i siebie uśmiechem... W malutkiej rączce wy-

wijała gałązką muszcząc nią szyjkę, to znów pojąc się wonią chciwie. Na niej biała sukieneczka, niebieska chustka na szyi... A! jakaż była piękna, jak była piękna. Malarzby zapłacił za tę ideę niewinności i młodości, co mi się tak nagle objawiła nad głową. Greuze żywy! z całym wdziękiem jego pęzła, a bez jego wymuszonej manjery. Nie potrafię wyrazić, com uczuł na ten widok. Stałem nie wiem czy ukląknę przed nią, i patrzałem... patrzałem.... patrzałem chcąc obraz jej w pamięci zatrzymać. Ale... postrzegła mnie, zaśmiała się i rzuciwszy nie wiem już jakiej myśli spojrzenie na zapaleńca, co wśród ulicy... zatrzymał się... wielbiąc ją... uciekła.

Za mną znany głos pana Tadeusza dał się słyszeć, ze śmiechem przymuszonym... Obróciłem się dla powitania go. Szedł z szydersko zmrużonemi oczyma ku mnie.

— Druga nota na waści.

— Zmiłuj się, takich bez liku.

— Niestety, widzę to aż nadto?!

— Chcesz, żebym nie czuł, bym nie patrzył...

— Chciałbym nadewszystko, abyś myślał.

— Spodziewam się, że i to przyjdzie mi z wiekiem, odpowiedziałem. Nie chcę być starym zawczasie.

— A starość, — dodał pan Wrzosek, — to wiek odarty ze złudzeń, powiesz, zima mroźna etc. etc. Znajome! Znajome! Starość mości panie, to... wiek rozumu i prawdy.

— Prawdy? myślicie? — spytałem. — Maż to być wiek prawdy dopiero, gdy w nic nie wierzym i niczego się nie spodziewamy?

— I na niczem się nie oszukujemy.

— Bo do niczego się już nie bierzem. — Wrzosek głową pokiwał, łaskę założył na ramię, dobył tabakierki z portretem Stanisława Augusta, podał mi ją machinalnie i schowawszy do kieszeni szaraczkowego fraka, mówił idąc dalej powoli.

— Widziałem jak adorowałaś piękne dziecko, które tylko co ukazało ci się z nad muru. Co w niem widziałeś, powiedz mi? Same fałsze! piękność jej jest chwilowa, jest więc fałszem; bo co prawdziwe, to wieczne.

— Za pozwoleniem, *piękności* są znikome, a *piękność* jest wieczna.

— *Tere fere*, moci panie, to co się składa ze znikomości nie może być wiecznem.

— Ono się nie składa, ale je tworzy.

— Wpadasz waść w absurda... I ja patrzyłem z waćpanem razem, i ja mam dwoje dobrych, zdrowych oczu we łbie... Powiem ci, co widziałem. Oto szatanka kusiciela, co się z wysokości uśmiechał anielsko na twoją zgubę. A we wzroku jego i uśmiechu czytałem zimne roztrzepane dumki... Jam ładna! jam ładna! kochajcie, ja was zwodzić będę! A pod rysy świeżemi dopatrzyłem się rysów które dopisze tam starość, pierwszy poród dziecięcia, pierwszy gniew na męża, pierwsza fantazja niezaspokojona; i odzierałem głowę z włosów jasnych, kładąc na nią siwe; napisałem marszczki na czole i w koło ust, zgasilem oczy, zmazałem uśmiech; ujrzałem ją jaką będzie prawdziwą. Tyś marę widział i fałsz, ja istotę. Tyś widział co ci przez oczy dusza podała, odbicie własnej młodości uczuć, ja naturę.

— Przyznam się panu, że nie zazdroszczę mu jego prawdy, jeśli ją tak koniecznie nazywać każesz. Ja nawet kiedy na starość, gdy na brzydotę patrzę, szukam

w nich śladów młodości i wdzięku. Ten ślad pozostały jest dla mnie prawdą jedyną.

— Tere fere, moci panie, marzenia.

— Powiedz mi pan, byłeś kiedy młodym i miałeś tę co ja wiarę?

Podęjrziwem wejrzeniem rzucił ku mnie pan Wrzosek, jakby wybadać chciał, jaki użytek zrobię z jego odpowiedzi.

— Na co ci to? — mruknął. — Właśnie żem był młodym i że wiem, co kosztuje utrata późna owych złudzeń i marzeń, które się zowią prawdą przez kilka godzin życia, dla tego chcę wcześniej przygotować cię i oswoić z przyszłością; dla tego chcę te złudzenia rozbić.

— Darujcie mi, ależ ja także marzenia i złudzenia widzę w myślach i pojęciach waszych. Trudno się nam przełamać wzajemnie, bo się nie schodzimy na żadnym punkcie, z którego byśmy razem iść mogli. Ja wszystko mniemam pięknem, dobrem, i wierzę w szczęście, bo wierzę w Boga i sprawiedliwość Jego; wy wszystko zwiecie zepsuciem, złem, straszycie nieszczęściem, bo nie wierzycie chyba w Boga.

Pan Wrzosek ruszył ramionami z politowaniem.

— Juściż moci panie, wierzę przecie w Boga, ale nie sądzę, aby się miał zajmować każdym z osobna szaleńcem, i kierować losami wszystkich podobnych mu.

— Wierzycie w Boga, a przypisujecie mu stworzenie zła, a czynicie go niesprawiedliwym.

— Wielkie zagadki, do których rozwiązania wać jesteście za młody, ja za stary. Masz rację, że się przekonać nie możemy nigdy, dajmyż pokój rozprawom. Ale rady posłuchaj! Staraj się pozbyć egzaltacji i dziwnego sposobu zapatrywania się na rzeczy... Nie wierz nikomu

i niczemu, a najbardziej sobie. Nie ufaj ludziom, nie ufaj oczom własnym; nie rzucaj się tak w życie, jakbyś na posłanie z róż leciał, boć więcej na tem łożu kółców, niżeli kwiatów.

Wzruszyłem ramionami w milczeniu.

— Twoja nieznajoma jest starą zalotnicą, której smakuje młoda ofiara, jak innym smakują młode i kruche kurczęta. To dziecko wdzięczne, przed którym stałeś oczarowany, jest już zwodnicą początkującą, bez czucia w piersi i prawdy w ustach. Twoje rojenia i marzenia są czczemi marami, które nagania nie zaspokojona jeszcze żądza i niczem nie gaszone pragnienie; twoja wiara jest zuchwalstwem niedoświadczonego, co rzuca się oślep w przepaść, mniemając, że na jej dnie miękka go czeka murawa.

— Gdybym się na tem wszystkim zawiódł, — odpowiedziałem — pozwól mi nie rozpaczać jeszcze. Pozostanie mi nauka, która interes życiu daje; badania, co seciny lat próżnych zapełnić potrafią, i ta nigdy nie zaspokojona, a zatem nie wiodąca za sobą odczarowania i przesyty żądza wiadomości, która jest najpiękniejszym darem danym ludzkości na zgojenie jej ran, które sama sobie dobrowolnie zadaje.

— Tere fere!... Studentowi nie sposób, abym naukę spotwarzał i zniechęcał do niej, — odrzekł pan Wrzosek. — Ale między nami mówiąc, myślisz więc wać, że ją więcej ważę od tego, o czem wprzód była mowa! Bańka mydlana! Nauka mamidłem jest panie, uczy wiedzieć że nic nie wiemy... W nauce wszystko jest hipotezą, niepewnością... Jedna nauka wywraca drugę, jedna teoria łamie sto poprzedzających, im dalej w las tem więcej drow; im dalej idziemy, tem więcej gruzów

do koła gromadzim. W dzieciństwie człowiek się bawi pałacami z kart, na starość teorjami naukowemi. Jedno warto drugiego... Powtarzam waści, uczymy się nic nie wiedzieć... i o wszystkim wątpić.

— Właśnie, — odparłem — wątpliwość jest wielkim bodźcem do pracy.

— Albo zniechęceniem od niej.

— Daremniebyśmy chcieli się porozumieć.

— Przecież są rzeczy, na którebyśmy się zgodzić powinni.

— Tak sądzisz pan? — naprzykład?

— Nie wiem; poszukaj sam lepiej.

Zbliżyliśmy się ku smętarzowi bernardyńskiemu, w tej chwili pustemu. Po nad mur jego wybiegały wysoko smukłe czerwone słupki i łuki facjaty św. Anny, tego arcy-dzieła architektury gotyckiej u nas... na wieżycach jej posiadały czarne kawki trzepocząc skrzydłami i rozmawiając między sobą... Obok na większej facjacie bernardyńskiego kościoła rozpięty Chrystus na krzyżu, zdawał się skrwawione ręce wyciągać nad miastem Gedyminowem, chcąc je przytulić ku sobie i zgarnąć pod skrzydła swej łaski.

Ze smętarza dawał się słyszeć głos cichy, urywany; łkanie i jęk; nie owe na pokaz do uszu ludzkich wyrobione umyślnie, ale mimowolnie wyrrywające się z piersi Pan Wrzosek pierwszy je pochwycił.

— Słyszysz Waćpan? — spytał prostując się.

— Słyszę, to płacz.

— Na smętarzu?

— Tak się zdaje.

— Chodźmy więc.

Poszliśmy; tuż za furta siedziała uboga kobieta, nie

stara jeszcze ; łachmanem zatuliła twarz bladą i płakała. Wrzosek wpatrywał się w nią chwilę jakąś uważnie. Na kolanach trzymała coś zawiniętego w szare i zbrukane płótno, podobne barwą do odzienia, którem była okryta.

— Znam ją, to Janowa, uboga tutejsza — pytał cicho. Ale czegoż tak płacze ?

Zbliżył się dobywając trzy groszniaka z kieski, ja miałem już na pogotowiu złotówkę. Nimeśmy doszli do płaczącej, postrzegł mój biały pieniądz, i ukazując mi trzy groszniak, rzekł : waćpan dajesz rzadko i sypiesz po pańsku, ja codziennie i dla tego niewiele. — Dawaj miedzią, a dawaj zawsze. Zarumieniłem się mimowolnie.

— Zkąd wiesz, że daję rzadko ?

— Inaczej nie dałbyś złotówki, panie akademiku.

Uboga posłyszawszy głosy, podniosła głowę. Dziwny był na niej wyraz obłąkanej rozpacz. Chude policzki, do których przylepły włosy mokre, czerwieniły się na wydatnych kościach, oczy można rzec wypłakane były, i z siwych w białe prawie przeszły, białka zaś żółtkły jak skóra twarzy; usta nie miały żadnej barwy... Naga szyja była tylko skórą a kośćmi...

Kobieta ta nigdy piękną nie była, przecież mogła w piętnastu leciech, z uśmiechem na ustach, różowemi pełnemi policzki i niebieskiemi oczu, być typem pewnego rodzaju wdzięku, jakim rozkwitają na chwilę te córki ludu, które prędko potem stradają odrobinę piękności, od łez i pracy, lub zepsucia i rozpusty.

— Co ci to Janowa ? — pytał pan Tadeusz.

Uboga nic nie odpowiedziała, odwróciła się twarzą ku Zbawicielowi na froncie odmalowanemu, poczęła szlochać; a potem konwulsyjnie przytuliwszy do ust owe

zawiniątko leżące na kolanach, ukrywała w niem łzy swoje.

— Co ci to Janowa? — powtórzył Wrzosek. — Ona nie umiała odpowiedzieć jeszcze.

— Musiało jej dziecię umrzeć! — szepnąłem cicho. — Chodźmy, są boleści które szanować należy, o które pytać się nawet nie godzi. Złożyliśmy jałmużnę na kolanach wdowy, która zdawała się jej nawet nie widzieć i zadumani odeszliśmy w ponurem milczeniu. Po niejakej chwili rzekł żegnając mnie stary.

— Widzisz mości panie, że się na coś zgodzić możemy... na to, że cierpiącym ulgę przynosić należy, że to jest słodkim i pierwszym obowiązkiem, pomyśl o tem.

4. *Maja.*

Myślałem nad słowami pana Wrzoska.

Zgadzamy się na jedno... Na cnotę, na obowiązki, jednym słowem na moralność chrześcijańską, czemuż się wreszcie tak szeroko rozchodzimy? Mielibyśmy przesadzać oba? miałażby prawda być w pośrodku nas?

Nie... prawda jest ze mną. Wszelkie przeczenie i niewiara jest i musi być fałszem; one reprezentują ciemności w świecie moralnym, które są tylko odjęciem światła... Pan Wrzosek widzi świat w stosunku ciągłym do swego *Ja*, do siebie; nigdy nań nie spojrzał z wyższego, całość ogarniającego punktu, z którego indywidua nikną, ogół powstaje. Aby świat pojąć i pokochać, trzeba nań spojrzeć z wysokości, z kądem wzrok płonących chat, ani wyróconych miast, ani kośćmi zasłanych polojowisk krwawych nie dojrzy, tylko piętrzące się góry,

zielone doliny i niebieskie wód przestrzenie i wielkie linje rosnących grodów i zasiane pola złociste... Nigdy ze stanowiska osobistości, jakim jest mizantropja, nie dojrzy się nic wielkiego, nic prawdziwego, tylko szczególności, które przez się wzięte są fałszami; bo mają znaczenie tylko w całości potężnej, której są nierozdzieloną częścią.

Jeszcze raz i stokroć razy niech Bogu podziękuję za życie i młodość.

Jak jasne horyzonty przedemną! Przyszłość roztacza się kręgiem złocistym... Sława, wielkie imię, cześć i wdzięczność ludzi, serce kobiety, złoto, wszystko jest przedemną do zdobycia. Gdzie oczy duszy podnieść mogę, wszędzie sięgnąć mi wolno, skoro w sercu ku temu czuję odwagę. Nie ma laurów którychby mi marzyć nie dozwalała młodość, nie ma niedobytych twierdz... Czegoż niepokona praca, wytrwałość, silna wola i wiara w pomysłość! Życie roztwiera się jak kielich emblematycznego lotusu, na którym siada bóstwo Egiptu... Wszystko dla mnie, wszystko moje... Dla mnie ten świat z czarodziejską rozmaitością swoją, dla mnie doświadczenie i mądrość wieków, dumanie filozofów i pieśni poetów, dla mnie świecą oczy czarne i niebieskie ziemskich aniołów, dla mnie stanowiska nie zajęte, z których użytecznym, na których sławnym być można.

O! sława! sława... to piękna i święta jest rzecz! Żyć w pamięci ludów, w błogosławieństwie pokoleń, najwyższa to nagroda życia, warta poświęceń i znojów... Sława, powiadają fałszem, marnością, czeczym dymem... nieprawda! Znamię to uroczyste, którem ludy piętnują wybranych, a głosy ludów... głosem Boga. Sława jest uznaniem człowieka przez braci... sława nie dymem czeczym, ale

rzeczywistą i najwyższą płacą... płacą ducha duchowi...
Ja chcę, ja muszę być, ja będę sławnym.

Źle czynią ci, co synów chowają doma, na rodzinnem gnieździe, nie dając im w wieku młodszym wyrzeć na ten związek świata i towarzystwa, który się zowie młodzią uczącą. Co tu przedmiotów do myślenia pobudzających, ile charakterów dobitnych, ileż stron jednego charakteru ludzkiego odbijających oddzielnie i wyraźnie... Począwszy od spragnionego chleba i bytu lepszego sieroty, co buty współtowarzyszowi czyści, a w przyszłości stanie może wyżej tego, któremu służy, pracą i talentem; aż do utrefionego młodzika z panem guwernerem Francuzem, z koźmi wierzchowemi i kucharzem przyjeżdżającego do uniwersytetu... już w tych twarzach młodości ujrzysz wszystkie typy rozwinać się mające późniejszym życiem... Na powleczonej młodością twarzach widać wszystkie jednostronne pasje ludzkie, znamionujące tłum, i dzielące go na kategorie dwie naprzód, głupców i rozumnych, samolubów i bliźnich, (boć bliźnim nie jest, kto drugich za bliźnich nie uznaje).

Z tych dwu klas stojących na krańcach, nieznacznemi mieszaninami kształtuje się ogół i rozróżnia. Oto dziesięć twarzy jednego typu, dziesięciu ludzi w jednej prawie formie odlanych; każdy przecie inny. Tego zafarbowwała inna, tego inna panująca namiętność; tamtemu braknie, czego drugi ma do zbytku... Młodzi już nie za jednym gonią. Na ławie szkolnej ten czyta Rinalda Rinaldini, ten Goethego, ten Euklidesa, inny poezje Lamartina, inny szkaradne priapeje Voltaira. A w wyborze tych ksiąg i ich upodobaniu często cała przyszłość leży... Jeden zapisuje słowa nauczyciela, inny ich nawet nie słucha, ten im wierzy ślepo, ów przeczy szydersko, inny

pracuje, by je objaśnił i sprawdził... życie objawia się wszystkimi swemi stronami; a najprzeciwniejsze skutki często z najbliższych przyczyn płyną: bo sprzeczności wynikają z zapatrzenia się w jedną stronę. Wczoraj mnie Ludwik do siebie na wieczór zaprosił. Był to prawdziwy akademicki wieczór. Dwie izdebki, w których mieszka z Ferdynandem i Feliksem, nie potrzebowały wyporządzenia i przygotowań na tę ucztę, którą składały sucharki, herbata w różnej wielkości szklankach i fajki.

Zeszliśmy się gromadnie, bo wszyscy kochamy Ludwika... Chłopiec to szlachetny aż do przesady, jeśli szlachetnością przesadzić można; co mi się zdaje. Ma wszystkie wady ludzi swego charakteru; rozrzutność nierozważną i niepamiętną jutra, obraźliwość na najmniejszy zarzut sobie lub komu z przyjaciół uczyniony, odwagę nieustraszoną i zbyt nie może zamięłowanie towarzystwa, przyjemności życia pospolitych, łatwość do za-kochania i t. d. Chwilami wesoły do zbytku, ma potem godziny znużenia i wyczerpania. Jest to koniecznością charakteru, który w niczem miary znać nie chce i pije do przesytu, nie umiejąc się zatrzymać. Worek Ludwika, serce, dłoń, otwarte dla wszystkich, sam nie umie pro-sić, nie potrafi usługi wzajemnej zażądać. Korzystają z niego jak chcą.

Rodziców zamożnych, ale wcale nie bogatych, traci zawsze więcej niżby powinien, i ztąd niewyczerpane zmartwienia. Uczy się prawa, ale nauki tej nie lubi; ojciec mu kazał, słucha go jak może; ale zamiast na lekcje, uczęszcza na bilard i na kawę, pod której pretekstem długie i żywe wiodą się gawędki w tej stan-cyjce ciasnej, obok murów św. Jana, gdzie się schodzić musimy, nie mogąc bywać w miejscach publicznych.

Ferdynand, współtowarzysz Ludwika i rówieśnik, całkiem do niego niepodobny, metodyczny, wyrachowany, zimny pozornie, na twarzy pełnej zdrowia. krasnej rumieńcem, z oczyma czarnemi, ma wyraz nieprzełamanej woli. Czarne brwi jego schodzą się nad nosem, wierzchnia warga nieco zakłęsła, dolna wystająca, włosy zadarte do góry i postrzeżone krótko. Ubrany co dzień jednostajnie, godziny ma, wydatki i prace porachowane. Nic go z drogi zbić nie potrafi. Przyjemnościom żywota tak wyznacza miejsca, jak na szachownicy ma swój kwadrat laufer i wieża. Młodość nie unosi go nigdy nad zamiar, bo ją trzyma w rękę.

Ten zimny zwany charakter, ma przecie za podstawę ogniste przekonanie o potędze woli własnej; w głębi szlachetny, ale poświęcenie mierzący jednakże, nie wymaga nic od drugich, nie lubi, aby też wymagano od niego, ale sam gotów z ofiarą, gdy się na nią zdobyć warto. Prawy, fałszem się nigdy nie splami; niełatwy do zwierzenia, przeszłość swą, myśli, nadzieje, tajemnice młodzieńcze w piersiach chowa... Wszyscy go szacują, ale nie ma serdecznego przyjaciela.

Feliks Tarsza, ubogi chłopiec, przyjęty na mieszkanie i utrzymywany przez dwóch pierwszych, jest przecie z nimi na stopie zupełnej równości. Wysoki, ciemno-blondyn, rysy ma ludu, wydatne, grube ale proporcjonalne i wdzięczne, zdrowiem jaśniej mu twarz; barczysty, silnych rąk i szerokich ramion, znać z młodu pracą codzienną siły fizyczne wyrobił w sobie... Poznasz po grubych palcach i narobionej skórze, że nie próżnował z dzieciństwa, że przebolewał i przewalczył. Pomimo to najweselszy i najstalej wesoły z nich wszystkich; bieda tylko temu coby jego niższość w jakikolwiek sposób dał

uczuć. Na samo wspomnienie, rośnie, olbrzymieje, dumnieje i z ust jak grad sypią się ostre, nieważone i nieumiarkowane słowa. Pracowity z rachuby; bo całą przyszłość ma w pracy, nie lubi jej wszakże, bo nie wie, że to co mu się ciężkiem być zdaje, rozwija go i życie weń wlewa. Nieposkromiony w mowie, o sobie, na siebie, o swoich, o obcych, odpowiada co słyszał, co się domyślił, co mu się nieledwie przyśniło. W zwadzie trzyma uciśnionych i słabszych; pierwszy jest do szydzenia z bogatszych, z tych, którzy imię noszą znane lub zasłużone. Ci się go boją, ale witają przyjaźnie i ściskają za rękę nawet na ulicy. To ich wszakże przy zdarzonej okoliczności nie ochrania od słówek dotkliwych.

Stancja Ludwika i jego towarzyszków, składająca się z dwóch izdebek i przedpokoju, wychodzi oknami na ulicę; schodki do niej wiodą ciemne, które nieraz przekleli bedele. Na wieczorną pogadankę nie potrzeba nam było przygotowań wiele. Dwie świece łojowe paliły się w dwóch pokoikach, które dym wagsztafu napełniał; Ludwik leżał na łóżku, my siedzieliśmy koło niego na kuferkach, na krzesłach, na komodzie, gdzie kto padł. Roznoszono herbatę z sucharkami, w szklankach różnych kształtów i barwy, z niedostateczną ilością łyżeczek, które szczęśliwym się tylko dostały, reszta mieszała piórami i scyzorykami, lub nie mieszała wcale. Kilka cybuchów z małemi fajeczkami czarnemi, nieustannie napełniały się suchym tytoniem i wypróżniały pod piecem.

Jedni przybyli w szlafrokach, drudzy w narzuconych płaszczach, inni w starych wytartych mundurach. Kilku tylko przeniosło wista w pierwszej izbie, wista, co się nieochybnie sztosem i faraonem miał skończyć, nad

gawędkę. Możecie miarkować, jaka była wrzawa, hałas, ile szczerego śmiechu i wesołości.

Zaczęło się od lekcji i profesorów, a każdy wedle wydziału, do którego należał, swoich chwalił lub przeklinał. Rzadki jednak co złego o nauczycielu wyrzekł, większość kocha ich i słabości nawet tak łatwo łapać się dające, pobłażaniem szacunku okrywa. Anegdota o życiu prywatnem, o żonach profesorów, o zwyczajach ich, o śmiesznostkach, powtarzano po raz tysięczny. Każdy tam swój grosz dorzucić musiał. Układano się o korepetycje, o pożyczanie spisanych lekcyj i książek. Cieszyłem się widząc, ile już samo nabywanie nauki ożywiało nas wszystkich. Walka ze spotykanemi trudnościami wywoływa siły; biedacy tylko na umyśle chorzy, podupadli na odwadze, szukają sposobów jak najłatwiejszego wyuczenia się na pamięć tego, co przyswoić sobie należy.

Ludwik przez cały czas leżał na łóżku z nogami na poręczu i w milczeniu fajkę palił.

— Co ci tam u licha—zapytał Adam zbliżając się—milczysz jak mruk? Czy dajesz nam przez to do zrozumienia, abyśmy sobie poszli.

— Gdybym miał tę myśl, niechybniebym wam ją objawił bez ceremonji; ale widzisz sam, że jestem nie w sztosie.

— Nie masz pieniędzy?

— To najmniejsza, nie mam ich nigdy.

— Zakochałeś się?

— Jestem zakochany zawsze.

— Zgrałeś się?

— Nie gram na kredyt.

— Cisną cię dłużnicy... Szewel za surduty nowy, Opitz

za tytoń i papier, a Malinowski za zaległe w twym żołądku jadło, a w kieszeni miesięczną płacę?

— Oswoiłem się z tem.

— Chory jesteś i...

— Pfe! co za podejrzenie!

— A cóż ci jest u licha?

— Jestem smutny.

— Bez powodu?

— Nie może to być zapewne bez powodu, alebym rad bardzo, żebyś mi go odkrył, bo go nie wiem.

— Daj puls — rzekł Feliks przystępując z komiczną powagą Moljerowskiego doktora. Wszystkie trapiące dusze smutki pochodzą od ciała, w ciele szukać należy przyczyny wszystkiego, bo wszystko jest ciałem.

— Obrzydły materialista! — zakrzyczał Ludwik, Feliks z pewną dumą się uśmiechnął.

— Choroba twoja zowie się *Atonia vaga*. Najedz się dobrze, przejdź się w wesołym towarzystwie i nie nadużywaj niczego; wiesz że *post...* — Tu powiedział dość głupi aksjomat łaciński. *Certe in omne animi...*

— Pójdź precz!

— Każę ci krew puścić, jeśli mi jeszcze powiesz słówko.

— Mości panowie — odezwał się głos z drugiej stacji od kartowego stolika. — Ktoś idzie po schodach. Chód bedela! Baczność. — W chwili byli wszyscy na nogach, drzwi się powoli przetworzyły, i wszedł nie bedel, ale maleńki, odarty żydek z koszem pomarańcz i cytryn.

Był to dobry nasz znajomy, co gołym kredytował, smutnych cieszył, a przed maskaradami nieraz pożyczkę kilku złotych ułatwił. Powitano go głośnym wesołym śmiechem i rzucono się na kosz pomarańcz, którego żyd

napróżno obraniał. Nastąpiły żarty, na które starozakonny wyćwiczony odpowiadał śmiało i raźnie.

Znowu chód po schodach.

Drugi żyd we drzwiach; przekupień starych książek. Było ich kilku, co się tym handlem zyskowym trudnili, łącząc do niego różnie zamaskowaną lichwę i frymarki. Każdy z nas nieraz się nie porachowawszy, uciekać musiał do Jankiela, który z najzimniejszą krwią dawał dziesiątą część wartości, a cenił swój towar w dwadzieścioro.

Mina Jankiela okazywała człowieka, co pewien siebie i swej wyższości. nie nawykł ulegać nikomu. Książki pod pachą były mu tylko paszportem dla wnijścia. Kiedy wracamy z wakacyj, z pełnemi workami, częstuje nas książkami, w ciągu roku wykupuje co sprzedał z początku, w ten sposób handel się obraca na kilkudziesiąt książkach, z nieskończonemi zyski; bo w dodatku usługny żydek zabiera co zobaczy. Wszystko przydać mu się może. Chodzi nawet w starych bntach akademickich.

— A! a! Jankiel, jak się masz?

Żyd pociągnął po nas wzrokiem, policzył i już wiedział co bytność jego przynieść może.

— Dostałeś mi dykcjonarz grecki? — spytał jeden.

— Jeszcze nie, ale targuję.

— Dostałeś mi Laplace'a?

— Jutro będzie.

— Masz co do czytania?

— Nie ma nic nowego.

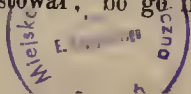
— Kupisz stary płaszcz? — spytał Ludwik zrywając się z łóżka.

— Proszę pokazać.

I z miną pogardliwą przystąpił do egzaminu podszewki, peleryny i wierzchu.

Jeśli kiedy matuniu moja czytać będziesz te notatki, zdziwisz się może flzjognomji studenckiego wieczora, i spytasz w duchu, za co go opisuję? Właśnie najbardziej dla ciebie. Początek jak wszystkie początki, składał się z wrzawy, śmiechu hucznego i kilku epizodów, to jest żydowskich odwiedzin. Trochę później i ci co grali, i ci co szeptali osobno po kątach, i zimny Ferdynand nawet, który w pośród tego gwaru rachunek jakiś kończył, zebrałi się wszyscy w kupkę... Rozmowa z rozerwanej, przelała się w jedną i stała dla wszystkich zajmującą; zeszliśmy z drobnych osobistości naszych na plac szeroki zagadnień obchodzących wszystkich... Młodzież to tylko tak rozprawiać umie, i przedmiot tych rozpraw lubi. W późniejszym wieku jedni idą oparci na wierze, drndzy na obojętności, inni na wyrobionem jako tako przekonaniu, ostatni, a tych najwięcej... omackiem. W pierwszych tych latach tylko człowiek się bije głową o zapory zakrywające mu niedocieczone tajemnice. Mówiliśmy o życiu, o przyszłości, o duszy, o nieśmiertelności, nie tak uczono jak z serdecznem i namiętnem zajęciem. Mimo- wolnie przypominał mi się co chwila djałog Platonowski, w którym tak malowniczo odmalowana śmierć Sokratesa. Rozmawiający nie mieli nauki uczniów Sokratesowych; ale mieli ich zapal i gorącą żądzę wiedzenia.

Z zadziwieniem postrzegłem, żeśmy się bardzo w sposobie pojmowania rzeczy różnili, i że większa część młodzieży staro widziała świat. Feliks pierwszy jako medyk, a za nim wszyscy uczniowie medycyny zaparli się duszy, usiłując ją wyprowadzić z ciała i uczynić cielesną. Dla nich duch nie egzystował, bo go im Bielkiewicz nigdy



na stole anatomicznej sali nie pokazał, znali tylko płyn nerwowy, znali mózg jako fabrykę myśli, ale fabrykanta... duszy, dopatrzeć się nie mogli. Ludwik przeciwnie, ze mną i dwoma innymi stronę ducha trzymał.

Ferdynad nie mięszał się tylko urywanemi słowy do rozpraw, rzucając pociski bez różnicy to na tę to na tę stronę, i zdając się z równą obojętnością obie z kolei popierać... Widać nie troszczył się o to, która zwycięży, bo z żadną nie sympatyzował. On reprezentował tu obojętnych skeptyków, co biorą rzeczy jak są, nie wiele ceniąc ich istotę i przyczynę.

Nie lękaj się kochana matuniu, gdy ci powiem, że u nas wielu a wielu postradało wiarę, nabywając nauki... Znałem ich w początkach, przybyli z domu młodymi, zestarzelili w pół roku na ławie uniwersyteckiej. Tak być musiało, bo podobno nauka tutejsza, jakkolwiek się przebiera w pobożne postacie, jest przecie pochodzenia szkoły materialistów, a co jest w głębi nauczyciela, to, choćby wykładał cztery działania arytmetyczne, na wierzch się wybić musi.

Nauka medycyny najwięcej gubi, bo pojęta jest w sposób taki, że nigdzie nie okazuje duszy. W innych nawet wydziałach wykładają się przedmioty ze stanowiska przeszłego wieku widziane. Śniadecki bije na idealistów niemieckich i promowuje doktrynę sensacji, szkołę szkocką; Capelli drwi ze wszystkiego z sceptycyzmem i cynizmem prawdziwie włoskim; literatów i prawników odzierając z resztek domowego wstydu; inni nauczyciele, z wiedzą lub niewiedzą, sami wychodzą z zimnego materializmu... W początkach ścisłość wykładu, powaga nauczyciela, nie daje dojrzeć szkód, jakie się na duszy

ponoszą; oglądają się dopiero, gdy postradali, co się już odzyskać nie może.

Późno w noc rozeszliśmy się rozmaitemi myślami targani, każdy w swoją stronę. Ulice miasta oświecał księżyc w pełni. Cisza na nich panowała; wracałem powoli do mojej izdebki z Ludwikiem, który mnie przeprowadzał, dla użycia świeżego powietrza... Zdziwiło mnie światło, które błyszczało w moich oknach i dźwięk fortepianu, dochodzący wcześniej naszych uszu. Pospieżyliśmy... poznałem po grze mistrzowskiej Wiktora Każyńskiego... On to zaszedł do mnie i bez myśli zasiadłszy do fortepianu, zapomniał gdzie był, co robił, grając już od dwóch godzin zapamiętałe!

Ani nas postrzegł, jakeśmy weszli i słuchać zasiedli, tak był zajęty myślą, którą rozwijał, przeinaczał, przetwarzał, z kolei rozkazując jej płakać i śmiać się, boleć i radować.

Myśl to była z Mozartowskiego „Don-Juana“. Porzucił ją nareszcie, ręce mu zwisły, głowa spadła, głęboko się zamyślił.

— Dobry wieczór — odezwałem się.

— A! ty tu! — zawołał. — Gdzieżeś był?

— U Ludwika.

Brał za czapkę, chcieliśmy go zatrzymać.

— Nie mogę, nie mogę, dobranoc.

Widać cały był w swej myśli muzycznej i uciekł z nią co prędzej, aby jej nie stracić.

Wiktor jest prawdziwym artystą, namiętnym, ognistym... Ale co znaczy artysta u nas? Skazany na układanie kontradansów i dorabianie melodij do piosnek śpiewanych na teatrze, schnie w Wilnie nieuznany, a raczej zapoznany. Biedny chłopiec... Wierzę przecie, że prędzej,

później wybić się musi nad tłum i zdobyć to współczucie, którego pragnie dusza artysty. Prawdziwy talent przepaść nie może, choćby jak owemu Francuzowi, brakło mu rąk do malowania, będzie malował nogami, a będzie artystą *). Myśl w duszy jest nieprzewyciężoną potęgą, jest-li myślą silną i wielką, znajdzie sposób objawienia się, przemówienia i rozkaże się uznać i uznana zostanie. Nie wierzymy tym, co nam prawią, że mogliby czemś być gdyby chcieli... kto może, ten chce; nie chce kto siły nie ma.

7. Maja.

Przeklęty Wrzosek!

Byliśmy z nią znowu w Sapieżyńskim ogrodzie, liście coraz gęstsze na drzewach, słowik śpiewa coraz raźniej, coraz piękniejsze wieczory; długo, długo rozmawialiśmy po cichu. Wstała potem i idąc powolnie, ciągnęła dalej rozmowę, towarzyszyłem jej. Staruszka siadła do powozu, generałowa chciała iść pieszo. Podałem jej rękę, pierwszy to raz byłem tak blisko niej, w głowie mi się zawracało. Błęźniłem gdym mówił, że nie piękna! O! piękna, o cudnie piękna. W czarnych jej oczach ileż to myśli, ile uczucia, ile nieopisanych marzeń... Co za postawa szlachetna, jaka godność w cierpieniu. Bo ona cierpi widocznie; każde jej najobojętniejsze słowo zdradza boleść, z której wyrasta. Przeszliśmy tak Antokol cały i wsunęli się w miasto; powóz noga za nogą szedł za nami. W drodze mówiliśmy o Beethovenie... pokazało się, że nie znam

*) Ducornet.

symfonji i marszu pogrzebowego, który jedną jej część stanowi. — Dam panu tę symfonię — rzekła z cicha.

Serce mi zabiło, bo w tej obietnicy była druga razem, było pozwolenie odprowadzenia jej do mieszkania. Z daleka pokazała mi oświecone okna na Zamkowej ulicy. — Tu mieszkam — powiedziała.

Szła tak powoli, tak powoli! Zdaje się, naumyślnie zwalniała kroku, im bardziej zbliżaliśmy się ku oświeconym oknom wskazanym; milczała, z spuszczoną głową, z jakimś widocznym niepokojem dochodząc do mieszkania... Nieśmiałem przerywać jej dumania.

Jużemy byli w progu prawie, jużemy mieli wchodzić na schody, gdy „dobry wieczór“ dał się słyszeć za mną.

Oglądam się, to Wrzosek; generałowa pobladła, zadrdzała, puściła moją rękę i chwilę się zastanowiła w niepewności.

— Proszę pana ze mną, mam mu coś ważnego do powiedzenia... list od matki! — rzekł Wrzosek z przyciskiem.

Ona znikła szybko, ja musiałem zwrócić się trochę zawstydzony, do starego przyjaciela, którego w duszy przeklinałem. Jestem pewny, że umyślnie wybrał tę chwilę!

— Co mi każesz? — spytałem, gdyśmy odeszli kilka kroków.

— Ja? nic — odparł zimno.

— Miałeś list od mojej matki?

— W istocie... słyszałem że jest na pocztę!

— Na pocztę! ale nie macie go z sobą!

— Nie chciano mi go oddać.

— Dla czegoż więc?

— Możesz nie kończyć! rozumiem. Chcesz pytać dla czego ci nie pozwolił odprowadzić pani jenerałowej na górę? Oh dla tego, że wiem kto ona jest, kto wać jesteś i co z tego wyniknąć może. Nieszczęście życia całego! Chodźmy razem, słuchaj, powiem ci kto ona jest.

— Słyszałem! ależ to są niegodne kłamstwa.

— To co ja ci powiem, będzie najwierniejszą prawdą; nie wiem co mogłeś słyszeć o niej, ale to co ja wiem, wiem, bom widział, bom przecierpiał.

— Ty?

— Ja! ale nie za siebie, za kogoś drugiego.

I westchnął.

Służący dogonił nas i oddał mi symfonię obiecaną, którą smutnie odebrałem. Wrzosek z nieufnością po odaleniu się służącego nuty obejrzał i nie znalazłszy w nich nic, z nieukontentowaniem mi je wrócił. Przechadzka przeprowadziła nas mimo mieszkania mojego, wywiodła na placyk ratuszowy, gdzieśmy na ławeczce usiedli. Wrzosek zaczął mówić.

— Byłeś waćpan bardzo małym chłopięciem, kiedy poznałem Emmę.

— Znałeś ją więc?

— Aż nadto, jak się zaraz przekonasz. Rodzice jej bardzo bogaci ludzie, wypieścili ją i wykochali jak jedynaczkę. Była też zepsutem dzieckiem, w całym znaczeniu wyrazu.

Na całą okolicę sławną była z piękności i najbogatszą partją... Ojciec poczciwy stary, który wychowania nie pojmował wcale, matka, która je pojmowała pieszczotami, ciotka wyegzaltowana kobieta, i dwór unoszący się nad pańskim dziecięciem, otaczali ją przez kilka lat pierwszych. Sąsiedzi, mający zwłaszcza synów, obsypy-

wali pochlebstwy i podarunkami śliczną Emmę. Można sobie wyobrazić, jaki charakter wywiązał się takim wychowaniem. Samowolna i przekonana, że wszystko jej służyć powinno, dorosła na panienkę. Żyłem w sąsiedztwie, syn mój poznał ją.

— Mielicie syna? — spytałem.

— Nie wspominaj mi tego. Był to mój jedyny, moje także ukochane dziecię... Płomienista dusza jak twoja, nad której pożarem płacząc, lubiłem się przecie wpa-trywać weń, bo się człowiek stary przy nim rozgrzewa i wracają mu nieodzyskane dni młodości! Emma nie miała jak nie ma serca, była płochą zalotnicą od początku. Nie dziwię się memu biedakowi, że ją pokochał, była piękną jak aniołek, jak dziecię wesołą i samowolną jak królowa. Miłość już jej się śnić musiała, choć w sercu nigdy jej nie było, bo ona nie ma serca. Chciała spróbować kochania i spróbowała go na nim biedaku.

Może też ukarany zostałem za to, że rachując coś na ich miłość, nie bronił jej, oczy na nią zamykał, za nadto wierząc w majątek, i chcąc go dla syna. Biedny mój co dzień prawie latał do Sosnowa... Przyjmowała go czule. Schadzki wieczorne, przechadzki poranne, tajemne rozmowy pod cieniem drzew rozłożystych, co dzień bardziej rozpłomieniały poczciwą, anielską jego duszę. On jej wierzył, ona była zimną i nawet ten gorący ogień młodej, pierwszej miłości, nie potrafił rozgrzać zalotnicy. Pisywali do siebie, schodzili się, przysięgali i zamienili nawet obrączki.

Wiecznie to taż sama głupia historia, mości panie, historia nadziei opartych na sercu, na uczuciu, za którego przyszłość któż odpowiadać może? Emma przeszła z nim całą tę pierwszą miłość, nieuczuwszy nic.

Tymczasem, gdy zaufany mój biedak spał na przyszość, spokojnie rojąc ją sobie szczęśliwością niebieską, tłum wielbicieli kręcił się koło Emmy. Rodzice zupełną swobodę wyboru jej zostawiali. W pośród mnóstwa innych, zjawia się smukły pułkownik, jakieś grafiatko ze stolicy, szczebiocące po francusku, śpiewające prześlicznym tenorem, dowcipujące wybornie. Nie potrzebuję mówić co nastąpiło: pułkownik otrzymał słowo Emmy.

Na wieść o tem, leci mój biedak do niej... Powraca zbladły, trzęsący, ze łzami w oczach i na usilne moje prośby nic mi powiedzieć nie chce... Nazajutrz rano nie żył. Przybił sobie kulą do serca kawałek wstażki niebieskiej i zwiedłe kwiatki, dawniej niegdyś od niej mu dane.

Stary Wrzosek zapłakał i umilkł na chwilę. — Myślisz — dodał — że to najmniejsze na niej uczyniło wrążenie? W tydzień potem wesoła, świeża Emma zaślubiona została ślicznemu pułkownikowi.

Ale i on padł ofiarą.

— Jakto? i on — spytałem.

— Tak... i on — dodał Wrzosek. — W rok nie więcej pojechali do stolicy; książątko jakieś podobało się Emmie, pułkownik wyzwał i padł.

— A ona?

— Powróciła wdową do kraju.

— I wszystkoż? — spytałem.

— O! to dopiero połowa!

— Poszła więc drugi raz za mąż?

— Nie, ale wzbudziła jeszcze nie jedną namiętność, którą zawiodła. Zawsze zalotna w różny sposób w początku, dająca nadzieje, zakochana nawet; po pewnym

przeciągu czasu odwraca się zimna, znużona i nie raczy spojrzeć nawet na swoją ofiarę.

Nie chcę ci liczyć tych nieszczęśliwych, których długi szereg począł mój biedak. Było ich dosyć! Znasz teraz tę kobietę?

— Sądzę, że ani wy, ani ja, nie znamy jej jeszcze z tego wszystkiego — odpowiedziałem — widzimy skutki, nie pojmujemy powodu.

— Bez serca zalotnica! nic więcej! Jakiegoż innego powodu szukać ci jeszcze potrzeba? jeśli nie kocha, po cóż zwodzi?

— A jeśli ci sami się zwiedli?

— A mąż?

— Nie wiem! Trzebaby ją poznać bliżej, aby o tem sądzić; ja widzę tylko tajemnicę. — Wrzosek ruszył ramiionami. — Nowa gotuje się ofiara — rzekł — której podobno wyrwać już nie potrafię... Dobranoc... przypomniałem syna i serce mi się krwawi, o nim już tylko myślę.

Napróżno chciałem mu towarzyszyć, odwieść rozmowę i rozerwać starego; odszedł spiesźnie, unikając mnie.

Do późnej nocy grałem symfonię heroiczną i rozmyślałem o niej... Wrzosek całkiem inaczej rozpowiada jej historję; ale na dnie jej leży tajemnica jakaś. Ona nie może być zalotnicą nieczułą, zwyczajną, jej oczy za wiele mówią, głowa za wiele myśli; nadto głęboka boleść tryska z każdego jej ust wyrazu! Za parę dni odniosę jej nóty, będę u niej... Żeby mi tylko stary nie przeszkodził znowu.

9. Maja.

Dziś wieczorem wszedł do mnie stary z jakąś miną tajemniczą, w tym samym wprowadzie szaraczkowym fraku, w którym chodzi zawsze, ale w białej chustce na szyi, a nawet w rękawiczkach. których cierpieć nie może.

Przeszedł się kilka razy po sali i odezwał się wreszcie :

— A co, ubieraj-że się waćpan.

— Dokąd? — spytałem zadziwiony.

— Dokąd? Będziesz wiedział, a ubieraj się przecie, boć widzisz żem ubrany, i nie darmo.— A zobaczywszy żem zaciekawiony, nie wiedząc sam dla czego przebierać się począł, zamyślił się i chodził znowu mruczając pod nosem. Dosłyszałem tylko tych słów :

— Zawsze byłoby lepiej... któż wie? któż wie? Czynię co mogę.

Prędko byłem gotów, bo nasz strój akademicki nie zabawi długo. Stary nic mi jeszcze nie powiedział, ale zawrócił się milcząc w zaułek i poprowadził machając laską. Doszliśmy do muru otaczającego ogródek, nad którym w kwitnących jabłoniach stoi ów belweder pamiętny moją niebieskooką nieznajomą... Wrzosek doszedł do furtki. otworzył ją i dawszy mi znak, abym szedł za nim, wpuścił mnie za sobą. Byliśmy wprowadzie w miejskim ogródeczku, ciasnym, obmurowanym, bez widoku, czystym jak salonik, a przecież miłym. Przypominał on wielce klasztorne wirydarzyki. Ulice wysadzone były szpalerkami agrestu, porzeczek i malin, wysypane żwirem i piaskiem. W kwadratach siedziały drzewa fruktowe, wybiegające gałęzmi za wysoki mur po

powietrze i światło, gdzie niegdzie kwitnął kłębik irysów, narcyzów, jacyntów, saksyfragi i aurykułów wiosennych. Pod starą gruszą była odświeżona darniowa kanapka, dalej altanka zielono malowana, chmielem i fasolą ubrać się później mająca, dalej jeszcze zawieszona na dwóch słupach hojdawka. Z pomiędzy drzew wyglądał ciemno-kamiennego koloru domek, którego wystawę zdobiły liczne kwiatów wazon.

Domyśliłem się, dokąd i dla czego wiódł mnie Wrzosek; chciał on wybić klin klinem, jak później mówił.

Zastaliśmy w ogródku dwoje nie bardzo młodych państwa regentostwa, chłopaka ich synka wyrostka, w mundurzyku szkolnym i jakiegoś sztywnego jegości, z krochmalnym kołnierzem i zdaje się także krochmalną szyją, wyglądającego na pretendenta. Poznałem go jako jednego z urzędników uniwersyteckich, w administracyjnej części pracującego.

Państwo nasi przyjęli pana Wrzoska, pomimo jego niepozornego szaraczkowego fraka i śmiesznych trochę butów palonych, z jakimś uszanowaniem i wielką skwapliwością. On względem nich stawiał się poufale, grzecznie, nie bez tej jednak wrodzonej pozornej szorstkości obejścia, której się nie pozbywa nigdy.

— Syn mojego przyjaciela — przedstawił mnie — a dziecię mego serca; od czasu gdy stracił syna, jego tylko kocham. A! wiele — dodał — mam z nim kłopotu! — I machnął laską. — Muszę ci przyznać matuniu, że mi się wewnątrz i ogródek i ci państwo i całe towarzystwo ich nie bardzo podobali. Czysta to była proza życia; porządnie, miluchno, jasno, ale zimno. Wolałbym nad ten ogród i jego drzewa symetrycznie siedzące, poobcinane krzewy, poopielane kwiatki, wolałbym matuniu,

brzeg naszego rodzinnego Styru, lub znanego Horynia, z najeżonym w nieładzie lasem, z poplątaną leszczyną i tarnem, z bujnemi tataraki i trzcina... Tam nie ma tych nudnych murów, tych porozpinanych smętnie winogron, które boleć się zdają na swych kratkach, jak męczennicy, tych kapryfolfjów utapirowanych na rusztowaniach. którym jak Bóg przykazał, rosnać nie wolno.

Rozmowa poczęła się od wiosny i pogody. Regentowstwo mówili o wiosnie, jak mieszkańcy miasta, co ją tylko z reputacji i nowalji znają; urzędnik jako o porze, w której corocznie zwykł brać majową kurację z ziół gorzkich... Mojej jasnowłosej nie było... a nie było. Spodziewałem się, oglądałem napróżno i ja i mój rywal urzędnik, który na tę intencję świeżo wystąpiwszy, nie chciał zapewne postradać napróżno pracowicie ułożonego stroju.

Szelest sukienki, chód żywy, oznajmiły przybycie Marylki. Jeszcze mi się dziś wydała piękniejszą, różowa była jak malina, ale czegoś smutna; niebieskie jej oko pływało w łzie niedokończonej. Urzędnik całował ją w rękę z uśmiechem który odkrył, że nie miał już nieborak tylko mniejszą połowę danych mu od przyrodzenia do gryzienia piór zębów.

Pan Wrzosek przedstawił mnie szydersko.

— Państwo się znacie, — szepnął na boku Maryli; — złapałem tego panicza, jak w zachwyceniu stał raz na ulicy u belwederu... nie prawdaż?

Marylka zarumieniała się bardzo, rozśmiała i rzuciła na mnie wzrokiem śmiałym, jakim tylko młode jak ona dziecko, lub stara rzucić potrafi bezwstydnica... Zimno mnie przeszło na wskrós.

— Przedstawiam go pani także jako wielkiego ama-

tora muzyki i rozbijacza fortepjanów. Młóci po nich nielitościwie... ja się na tem nie znam, ale mówią...

— Proszę mnie w oczy nie chwalić — przerwałem.

— A zkąd waćpan wiesz com miał mówić? Hm?

Marylka rozśmiała się serdecznie. Urzędnik trochę chmurny, wyprostowany bardzo, zbliżył się ku nam.

— Mówimy o muzyce — szepnęła dziewczynka, podnosząc znów na mnie oczy niebieskie, pan sowietnik także amator?

— Na czakanie — odrzekł z flegmą jegomość. — Grywałem na flecie, ale zarzuciłem go, dla słabych piersi. Bardzo lubię muzykę.

— Chodźmy do fortepianu! — zawołała Marylka pociągając nas i rodziców za sobą oczyma. Wszakże i tak herbata gotowa a komary dokuczać zaczynają.

— Z warunkiem że nam pani zaśpiewa — rzekł Wrzosek.

— Pan nie lubisz śpiewu!

— Alboż ci go tylko lubią, co nieznmiernie chwalą? Proszę pani! chciej wierzyć, że czasem najwięcej mówi, a pewnie najwięcej czuje, kto milczy:

— Jestem tego zdania, co preopinujący! — dodał urzędnik poważnie.

Fortepian, niech mu stokrotne będą dzięki, zbliżył mnie ku temu aniołkowi. Co za żywość, wesele, co za ogień w tej młodocianej prawdziwie piersi. Ile razy spojrzy na mnie, cały poemat, całe życie jakieś długie, niepojęte, nieśmiertelne zdaje się wypowiadać jej wzrok... Zaczęła od pokazywania mi nót. Nauczycielem jej był ów jednooki Renner, którego kochamy wszyscy, artysta zwłaszcza w ekzekucji, umiejący nas zachwycać swą grą. pełen życia i ognia. Smutno mi że wśród Piksisów,

Würflów, Dusseków i Czernych nie znalazłem żadnego Beethowena. Nie zna więc tego boskiego mistrza, tego muzyka-poety.

Zacząłem jej mówić o nim. Słuchała mnie z zajęciem, jam mówił z zapalem.

— Teraz, — dodała — pojmuję lepiej muzykę, to wcale nie zabawka dla ucha, jak myśli Czerny, ani łamirówka; to wielka i wzniosła sztuka, to boski język!

— O! tak — zawołałem — to język dopełniający naszą mowę, wydający uczucia, którym już ona podołać nie może. Ale ludzie i mowy i muzyki na dzieciństwa użyć potrafią... Wszak piszą triolety i warjacje?

— A czemuż nam pani nie zaśpiewa? — przerwał urzędnik z pokłonem.

Maryla schwyciła zeszyt i milczącym rzutem oka, zdawała się przerwanej mi żałować rozmowy. Siadła i czystym głosem zabrzmiało: *Di tanti palpiti*. Urzędnik bił takt akompanjamentowi na krzeselku; Wrzosek patrzył na mnie zwycięzko, ojciec i matka rozkoszowali się poglądając to po sobie, to na córkę. Ja... nie wiem co się tam ze mną działo, wiem że rozkosznie marzyłem.

— Cudownie! cudownie! — zawołałem gdy skończyła.

— Ja wolę *pierścioneczek* lub *brzozy*, — dorzucił Wrzosek, bo to rozumiem lepiej i coś mi przypomina.

— Zaśpiewam panu pierścioneczek!

Nie wypowiem znowu, matuniu droga, jak ona cudnie, naiwnie, smętnie, jak świeżo wyśpiewała tę prostą piosenkę. We mnie serce drżało: byłbym dał pół życia, żeby nad moim tak śpiewała pierścionkiem; biedny stary nasz przyjaciel, nie wiem czemu, choć starannie się odwracał, ukrywał, płakał przecież... Może mu na myśl przyszedł pierścionek dany przez Emmę jego synowi!

Marylka postrzegła pochlebne łzy staruszka i przerywała na trzeciej strofie, czegom szczerze żałował. Wrzosek aby ukryć pomieszanie, począł żartować naprzód ze mnie, potem ze wszystkich; jednemu tylko urzędnikowi nic się nie dostało.

Zacząłem znowu o muzyce, i uważałem że rada była, bo ją to od nienawistnego podobno pretendenta uwalniało, który pomimo chęci, nie tu o czakanie dołożyć nie mógł. W końcu dopiero dodał:

— Są sztuki wymienite na czakan i fortepian.

— Ja czakana nie lubię — odparła żywo nielitościwa dziewczynka.

— A przecież to miły i romansowy instrument.

— Właśnie dla tego, że ma takie pretensje, jeszcze żywiej szepnęła Marylka.

Urzędnik odszedł powoli, ale z przyzwoitą powagą, jak człowiek pewien siebie, który na rodziców rachuje i omylić się nie może... zostaliśmy sami przy fortepianie. Nie napiszę ci matuniu, co tam były za mowy, wyszedłem zachwycony, przejęty, rozpoetyzowany, powiem lepiej rozkochany.

— Już kiedy masz koniecznie głupstwo robić, róbże o ile możliwości najmniej niebezpieczne, — rzekł wychodząc Wrzosek. — Wolę żebyś się kochał w Marylce, która tak zestarzeje i zbrzydnie ci jak inna, niż w jenerałowej. To szatan wcielony. Mówią, że miłość broni młodych od rozpusty, kochaj więc, cóż robić, niech cię djabli biorą!

— Ale — dorzucił po chwili — nie powiesz żem cię nie ostrzegał. Ze wszystkich namiętności ludzkich, to najniebezpieczniejsza dla młodego. On widzi, czego nie ma; spodziewa się, czego mieć nie może. Jego

ideał urzeczywistnić się mógłby tylko w części jak wszelki ideał, a to go nie zaspokoi. Zawsze więc zawiedziony zostanie i boleć musi. Nauka, to morze bezdenne, nie wypijesz naparstkiem, miłość się wyczerpuje i kończy, a ideał pozostaje czem był... marą. Złoto się nabywa, duma się jako tako nasycą, jedna miłość musi pozostać niezaspokojona nigdy, zawiedziona zawsze.

— Przyjacielu — rzekłem ściskając go, — Marylka jest całym, całkowitym ideałem.

— Zobaczysz — dorzucił smutnie. — Ideały są w niebiosach, jeśli gdzie są! na ziemi są ludziska mościpanie, wcale nieidealni. Ale cóż począć z tymi, którzy koniecznie ideałów potrzebują? Zobaczysz, i zobaczysz! Przynajmniej miłość młodej, poczciwej, niezepsutej dziewczyny nie grozi niebezpieczeństwem. Spodziewam się żeś uczciwy człowiek, i że o tem nie zapomnisz, że miłość pozyskana wkłada wielkie i święte obowiązki.

— Przyjacielu! zawołałem — możesz-że o tem wątpić na chwilę?

— Nie wątpię, ale przypominam. Bądź zdrow i nie każ mi żałować dzisiejszego kroku.

Uściskałem starego.

Ledwieśmy się rozeszli, a ja z głową zwróconą spoglądałem na belweder, jakbym się tam jeszcze raz Marylkę ujrzeć spodziewał; gdy zaturkotał powóz i...

Domyślisz się, że trafi... (na cóż go tak zwiemy?) ukazał mi bladą twarz mojej nieznajomej. Wyznam ci matuniu, że mi się wydała starą, zbrzydłą i nie wiem dla czego, fałsz jakiś zdał się patrzeć z jej oczu. Ukłoniłem się jej zdaleka, odebrałem uśmiech i uciekłem.

Sam nie pojmuję siebie. Możnaż kochać dwie razem kobiety? którą z nich dwóch Kocham? Nie wiem! nie wiem.

10. *Maja.*

Ty sobie pomyślisz, czytając to matuniu, że ja tylko trzpioczę się, bałamucę, latam, a nie się nie uczę; dziennik mój może ci to podać do myśli. A jednak tak nie jest. przysięgam ci na ojca którego nie znałem, na twoją matkę, którą tak kochał, że umiem niepowrotny czas szacować. Nauka jest prócz tego dla mnie źródłem tylu przyjemności!

Najsuchsza jeszcze zajmuje i dotyka nas z którejś strony. A jestże taka, którąby suchą nazwać słusznie można? Suchą czyni ją chyba wykład, sposób w jaki się na nią zapatrują, oderwanie jej od tego, czego część żywotną składa. W każdej umiejętności jest wreszcie Bóg na początku, człowiek na ostatku; — ten, który wie i stwarza, i ten, który nie stworzywszy pojmuje... dwa wyrazy ogromnego szeregu istot... pierwszy i ostatni. W każdej umiejętności wyczerpanej do dna, znajdziesz wszystko, bo wszystko jest we wszystkim, jeśli się zastanowisz surowiej. Całe stworzenie rządzi się jednym wielkiem prawem.

O moja matuniu! skarby drogie są w nauce, nie myśl abym jej miał zaniedbywać; nie lękaj się także bym Boga z oczu stracił. Nauczyłaś mnie widzieć go wszędzie, szukać go zawsze, i obejść się teraz bez Niego nie mogę... Nie myśl bym poeta, jak mnie pan Wrzosek, w listach do ciebie nazywa, dla poezji naukę rzucił.

Nauka dostarcza materiału poecie, ona mu szerokie rozwiera pola, jasne ukazuje przestrzenie. Nie ma nauki suchej... wszak Pytagoras w nauce liczb znalazł poetyczną swą sfer harmonję, muzykę stworzenia; wszak Plato buduje świat na wzór poprzedników swoich z liczb i trójkątów; a przecież nie znam poety, co by mu zrównał. Homer jest poetą ludu, i ten przecie znał swą Helladę, znał jej dzieje, był na swój wiek uczonym. Nie! poezja nie wyłącza nauki, owszem, obejść się bez niej nie może. Ale kto ją ma w sercu, temu przesiąknie wszystko poezją, jak soki ziemi, przechodząc łodygę róży, w jej się zapach mienia, jak w pszczołce pokarm miodem się staje i woskiem.

Opiszę ci matuniu, moje zatrudnienia, abyś się przekonała że nie próżnuję przecie, choć w moim dzienniku same tylko widać rozmowy i przechadzki. Pozwoliłaś mi chodzić na filozofję i literaturę, ulubiony mój przedmiot; byłbym cię usłuchał, nawet gdybyś mi inny cel wyznaczyła. Ja cię tak kocham; a ty powiadasz, że Bóg kobiecie, matce, daje instynktową wiedzę tego, co jej dziecku potrzebne i dobre na przyszłość. Uczę się więc czego pragnąłem i uczę z zapałem. Większość naszych nauczycieli ze wszech miar na wdzięczną zasłuży pamięć. Są to ludzie zamiłowani w swym przedmiocie, a to zamięlowanie jest największą rękojmią dla uczniów. Wyżej pisałem podobno, że patrzą ze stanowiska materialistów, ale czyż temu winni?

Uczyli się, młodymi byli, gdy nauka na tem stanowisku prawie wszędzie stała; nie dziw więc, że się i oni na niem znaleźli. Nie są to jenjusz, co by w jakikolwiek sposób reformować mieli; ale ludzie z talentem i sumienni. Jeden tylko, nazwiska ci nie powiem, cudzo-

ziemiec, szyderstwem zbywa, najpoważniejszy przedmiot, który traktuje. Dwa wielkie imiona, dwa luminarze nasze, nie na moim horyzoncie świecą, są to pochodnie innej naukowej drogi, nie będę więc ich sądził. Ja z moich zwłaszcza rad jestem. Kocham Leona Boro-wskiego... jest to skeptyk w głębi podobno, ale człowiek głowy i serca, nauki wielkiej, wyrozumiały dla nas i przyjaźny wszelkiemu młodemu talentowi. Mówiłem z nim kilka razy, zachęcał mnie nawet, jestem z tego trochę dumny.

W ciągu tygodnia uczęszczam regularnie na lekcje, które mi przypadają w różnych godzinach przed- i po-obiędnich. Krok mam tylko z mieszkania do sal uniwersyteckich, nie tracę więc czasu na przejścia i oczekiwania. Oprócz języków, historii, literatury i tego co do oddziały mego należy, chodzę na lekcje malarstwa, rysuję z natury.

Jest tu atletyczny wzór, który nam na pierwsze potrzeby wystarcza. Biorę prywatne lekcje muzyki, jenerał-basu i kompozycji. W pozostałych godzinach tyle jost do czytania obcego, naszego, dawnego i nowego! Muszę grać, rysować i spocząć; nie mogę być całkiem obcy towarzyszącom moim... Widzisz więc matuniu, że dnie mam zajęte, a zawsze mi się krótkimi zdają. Na moje pragnienie nauki, życia doprawdy zamało.

Jedno, które mam, zaledwieby wystarczyło na przedmiot jeden. Ale cóż to jeden przedmiot? Wydzielaj go jak chcesz, zawsze to będzie odłamana częśćka. Mnie się widzi, że nic dobrze pojąć nie można, nie obejrza-wszy wprzód całości. Wszystko się wiąże z sobą; wszystkiego się więc uczyć potrzeba, aby coś jednego umieć.

O! jak życie krótkie matuniu, gdy część jeszcze jego

i Marylce i szczęściu oddać musimy; gdy nieprzewidziane wypadki, interesa, ta kuchnia życia, zabiorą znowu swoje. W najbardziej zajmującym miejscu tej księgi, która się życiem zowie, śmierć przyjdzie... Tak, ale ona nam da nieśmiertelność, wiedzę i szczęście, uspokojenie na wieki!

11. *Maja.*

Musiałem przecie odnieść pożyczoną symfonię heroiczną... poszedłem bez bicia serca i niepokoju, bo obraz Marylki mi towarzyszył; szła ze mną niepojęta kobiety historja, świeżo jeszcze słyszana z ust Wrzoska.

Zaczynało szarzeć na dworze, wiedziałem że generałowa była w domu. Po woskowanych wschodach dostałem się na pierwsze piętro... Wazony kwiatów zasłaniały wejście salonu... Służący w ciemnej liberji wprowadził mnie, poszedł oznajmić. Długą chwilę czekałem i miałem czas przypatrzeć się miejscowości; któż nie wie, że ona najlepiej może maluje człowieka, że ją człek na swój obraz i podobieństwo tworzy? Przyciemniony firankami jedwabnemi pokój, do którego wszedłem, oddychał smutnem milczeniem. Wszystko w nim było przyćmione, barw niepewnych, bez blasku. Ciężkie trochę starych form mahoniowe meble stały w porządku dookoła, angielski fortepjan kąś jeden zajmował, przy nim etażerka założona nutami. Wazony kamelji, datury, fuksji, rododendrów cisnęły się do okien i balkonu. Na stole kilka książek religijnej powiększej części treści, jak uważałem z tytułów; krośna z poczetą robotą na boku. Na półkach mało tych fraszek, któremi zwykle ubierają

salony, i te co były, miały charakter poważny, surowy. Po większej części wzory posągów i monumentów, grupy z ciemnego brązu: przez na wpół zasłonięte drzwi do innych pokoi widać było gabinet pełen książek z stojącą lampą astralną na wielkim stole pokrytym zielonym dywanem.

Nic zresztą zastanawiającego, szczególnego, mogącego rzucić jakie bądź światło na charakter właścicielki. Na ścianach salonu kilka ciemnych rozwieszono obrazów. Chrystus wypędzający szatana z opętanego z jednej, Chrystus powołujący diatki do siebie z drugiej strony; dwa portrety flamandskie prześliczne... po bokach.

W czarnych bogatą snycerszczyzną ozdobnych ramach dwa portrety, starego już mężczyzny, z listem w ręku i niemłodej kobiety z prześlicznym dziecięciem. W twarzyczce tej poznałem a raczej domyślałem się Emmy. O! jakże była piękna, jakże wymowne jej oczu spojrzenie.

Szelest tajemniczy jedwabnej sukni wyrwał mnie z dumań, odstałem od obrazów; weszła. Pierwszy to raz widziałem ją w domu, w salonie. Miała na sobie czarną suknię, włosy gładko uczesane, żadnych błyskotek. Poważnie weszła do salonu i powitała mnie uśmiechem, ale smutnym.

Potem przybliżyła się do kanapy i spieszenie usiadła. Rozmowa musiała się rozpocząć od muzyki; ale była zimna i przymuszona.

— Pan znasz — spytała po kilku zboczeniach — pana Wrzoska? — To mówiąc wpatrywała się we mnie, chcąc podchwycić pierwszą myśl, jaką to imię na moją twarz wywoła.

— Znam go — odpowiedziałem — jest to stary przy-

jaciel mojej matki, a dziś mój jakby opiekun... Dziwny może, ale najpocziwszy z ludzi. — Zamilkła, odwróciła się ku oknu.

— Pani znasz go także? — dodałem.

— Znałam go dawniej, ale widno, że mnie sobie przypomniać nie chce? — i wlepiła z zapytaniem oczy we mnie... Trochę pomieszany odpowiedziałem:

— I owszem.

— Mówił co o mnie? — Nie mogłem wzroku jej badającego uniknąć, ale się widocznie pomieszał.—Jestem tego pewna.

— Mówił — odrzekłem krótko.

Jenerałowa powstała i poszła ku balkonowi, schyliła się nad kamelje... potem jakby dla przerwania rozmowy, otworzyła fortepian, prosiłem ją aby grała... nie odpowiedziała mi nic; ale w tejże chwili prawie ozwały się pierwsze nuty znanego Hummla koncertu.

Znasz go matuniu, bo ja go lubię, bo go gram także, jest to może jedno z najwyborniejszych dzieł jego. Głęboki a pełen wdzięku smutek, smutek posągu greckiego, smutek idealny oddycha w tej kompozycji. Sztuka ukrywa się tu za głębokiem uczuciem, które wyraża, wszystkie trudności egzekucji są koniecznościami dla rozwinięcia myśli. Emma wykonywała go z pojęciem artysty, z łaskotnością, jakby improwizowała, słuchałem z zachwyceniem. Na drugim *tutti* stanęła.

Zaczęliśmy mówić o Hummlu, o fortepjanistach i znowu o muzyce; jam się unosił, ona sądziła.

— Sztuka — dodała — jak życie, nigdy nie odpowiada przecie idei, którą mamy jaką być powinna. Największe dzieła, najszczytniejsze utwory pozostawiają coś za sobą,

jak najszcześniejsze życie, jeszcze się kończy niezaspokojeniem żądaniem.

— Jest to najpiękniejszy dowód duchowości człowieka — dodałem. — Zwierze tylko kończy swój zawód na ziemi, i nic nad to, co tu znajduje, nie pragnie; człowiek ani myśli swych całych wyrazić, ani się życiem zaspokoić nie może, bo ma duszę, bo jest nieśmiertelny. Gdyby tu był nasz cel, tu byśmy uspokojenie znaleźli.

— Pocieszający to i nieraz już wywoływany dowód — przerwała mi — ale to niezaspokojenie każe rozpaczać o sobie. Możnaż cokolwiek przedsiębrać, możnaż jakąkolwiek zachować nadzieję, pamiętając o tem. że nic się nie spełnia dla nas na tej ziemi?

— Dla czegoż nie? Są przecież chwile całkowitego uszczęśliwienia, są błyskawice, w których poeta całą duszę, muzyk całe swe czucie przelewa.

— Chwile! błyskawice!

— I życie samo jest chwilą.

— Tak, prawda — dorzuciła — wszystko przechodzi i my przechodzimy jak zwiedłe trawy, wedle słów psalmu. Ale możnaż, pytam pana, być z tą myślą szczęśliwym?

— Z tą myślą i drugą podpierającą ją myślą innego życia, wieczności.

— A jeśli wieczność ma być karą?

— Karą!? za co!

— Za życie tutejsze. — I westchnęła spuszczać głowę na piersi. — Któż powie, że czysty jest i niewinny? komuż mimowolnie występki nie ciężą na sumieniu? Milczeliśmy oboje; ona tarła chustkę w rękę. Służący wniósł lampę do salonu, a z lampą razem weszła z ukłonem staruszka, siadła u stolika i poczęła pończochę, ledwie na nas spojrzawszy.

Zdawało mi się, że czas ją było pożegnać, wstałem więc i wziąłem kapelusz.

— Tak prędko? — spytała mnie z cichą wymówką.

— Boję się, bym pani nie zawadzał.

Uśmiechnęła się dziwnie. — Odwiedzisz mnie pan czasem?

— Jeśli pani pozwoli...

— Wszak proszę.

I zmienionym głosem dodała: — Nie lękaj się pan mnie tak bardzo, Wrzosek nastraszyć go musiał. — Zaczerveniałem się i pomieszany wyszedłem. Jakby dając pretekst powrotu, generałowa podsunęła mi nowe nuty, prześliczną sonatę Beethovena, siódme jego dzieło, i Septuor Hummła.

Dla czegoż, powiedz mi matuniu, każda z tych dwóch kobiet z kolei, gdy ją widzę, gdy chwilę z nią jestem, tak mnie silnie zajmuje, tak mi serce rozkołysze? Czemuż nie mogę powiedzieć, która bardziej za serce mnie ujęła, czemu na wybór ośmielić bym się nie potrafił? tak do siebie niepodobne, jedna, zdaje się, dopełnia w mem sercu drugę, jedna z drugą całość stanowią. A przecież tak różne, tak niepogodzone... Marylka to wiosna w całej swej krasie, weselu i pełności życia; Emma to śliczny dzień jesieni, z kwiatami jeszcze i złocistemi liśćmi; ze smutnem już weselem, z ostatkiem życia! Smutna! smutna! tak, że człowiek chciałby ją koniecznie, koniecznie pocieszyć, tak mu jej żal serdecznie.

Nie pojmując sam siebie, błądziłem z myślami po ulicach. Piękny wieczór wywabił wszystkich na bulwary, do ogrodów, na przechadzkę w różne strony. Spotykałem garstki śmiejących się kobiet, wesołych towarzyszków moich i ludności miejskiej. Widok miasta ożywionego

wysypaną ciżbą różnobarwną, oświeconego księżycem, który z zaciemniających wież kościelnych na czystem niebie się podnosił, miał w sobie coś uroczego. Wszystkie rysy ostre, wszystkie sprzeczności przy blasku słonecznym tak dotykalnie rażące, znikały teraz.

Poszedłem na bulwar, ale na pół drogi spotkałem rodziców Marylki z nią i panem urzędnikiem. Wrzosek towarzyszył im zamyślony, posępny, po przywitaniu włączyłem się do ich towarzystwa. Stary dostrzegł, że miałem z sobą nuty jakieś, domyślił się widać wszystkiego, bo mi szepnął:

— Byłeś u jenerałowej?

— Byłem.

Ruszył ramionami. Szliśmy dalej powoli po nad Wilją. Co chwila mijaliśmy się ze znajomymi, krzyżowali z przechadzającymi i urywki rozmów przelatywały nam mimo uszu. Marylka była wesoła, pomimo przytomności sztywnego urzędnika... Z początku szliśmy dalej od siebie, ale w końcu los nas połączył, podobno z pomocą starego Wrzoska, któremu chodzić musiało o to, abym co prędzej wrażenie mojej bytności u Emmy zatarł drugim żywszem. Po rozmaitych więc przemianach sąsiedztwa, które przy rozmijaniu miało miejsce, Wrzosek pozostał od brzegu przy niej, i za pierwszą zręcznością usunął się w tył, chwytając regenta. Urzędnik przez grzeczność musiał towarzyszyć matce, jam został w parze z Marylką. Jakby dla sprzeczności z tamtą kobietą, była trzpiotowato wesoła; unosił ją widok naszej pięknej rzeki i tych gór w ruinach nad jej brzegami zwieszonych, i tego różnobarwnego tłumu. Nieznacznie wpadliśmy w żartobliwe przycinki, od których najczęściej zachynają się czulsze rozmowy młodych. Widząc mnie

z początku zamysłonym, smutnym, przypisywała to, jak zwykle... zakochaniu.

— Opisz mi pan swoją ulubioną — odezwała się nareszcie. Spojrzałem na nią i naturalnie, odmalowałem jej własny obrazek.

— Teraz zgadnij pani kto to taki? — zapytałem.

— O! doprawdy nie znam nikogo podobnego.

— I nie widziałas pani nawet w zwierciadle?

— Żartujesz sobie pan ze mnie... I niby serjo zamyśliwszy się dodała: — wiem ja lepiej wszystkie pańskie tajemnice, niż się spodziewasz.

— Mnie się zdaje, że nie mam żadnych tajemnic.

— Bardzoby mi go w takim razie żal było... taka to miluchna rzecz! Chcesz pan abym mu powiedziała, z kim siadujesz na ławce w Sapieżyńskim ogrodzie?

I figlarnie spojrzała na mnie.

— Ja pani sam to powiem.

— Doprawdy? nie zaprzesz się? nie zawstydzisz?

— Nie.

— Więc przyznajesz?

— Żem kilka razy ją spotkał.

— I był u niej.

— Raz tylko.

— A widzisz pan że zgadłam! A! powiedzże mi, jakże tam u niej; bogato, strojnie, wytwornie?

— Nie mówmy lepiej o tem.

— O! znowu tajemnica wychodzi!

— Powiedz mi lepiej, — szepnąłem półgłosem korzystając z przypadkowego oddalenia rodziców, gdzie cię czasem spotkać i częściej choć zdaleka zobaczyć można?

Maryłka zamilkła i spuściła oczy, obejrzała się za siebie.

— Zostanę bez odpowiedzi?

— Gdybyś pan szukał, znalazłbyś sam może to, na co mu poradzić nie mogę.

— Przecież... Wszak chcę tylko zdaleka czasem napić się widokiem tej którą pani opisałem, wszakże w tem nie ma nic złego?

— Chodzim zwykle na mszę ranną o ósmej do Augustjanów — odpowiedziała widocznie pomieszana. — Pan zapewne tak często na mszy nie bywasz.

— Uczynisz mnie pani nabożniejszym.

Znowu oddaliliśmy się trochę od rodziców.

Marylka dodała:

— Żle to z mojej strony, żem panu o tem powiedziała... Nie godzi się z taką myślą chodzić do świętego miejsca. Nie przychodź pan proszę, będę to miała na sumieniu... Bardzo, bardzo proszę o to. Wszak widzieć możesz kiedy zechcesz? wszak dom moich rodziców otwarty? Nieprawdaż? co za piękny widok na lewo? — przerwała zwracając rozmowę. — Z naszego belwederu nie wiele widać, przecież siadywać tam lubię. Ulica pusta, zdaje mi się żem na wsi, a ja tak wieś lubię.

— Byłaś pani kiedy na wsi?

— Kilka miesięcy raz w życiu! O! ślicznych kilka miesięcy, które mi nigdy z pamięci nie wyjdą. Śliczna wieś! wołałabym ją nad miasto nasze, choć je kocham bardzo, bom się w niem urodziła. Ale na wsi tyle swobody, tyle wdzięcznych widoków, drzew, kwiatów, łąk, wody... O! mój Boże, jakżebym chciała mieszkać kiedy na wsi... w takim maleńkim białym domeczku, nad brzegiem szumiącej jak Wilja rzeki, pod cieniem starych lip.

— Sama jedna?

— Z rodzicami.

— Tylko?

— Z bratem!

— A więcej?

— Nikogo więcej.

— Zaręczam pani, że przynajmniej sowietnik niechybnieby się tam przyplątał.

— O! dajże mi pan z nim pokój.

— Niechybi on pani.

— Bardzo się mylisz; ja go cierpieć nie mogę.

— Chociaż gra na czekanie?

Marylka rozśmiała się serdecznie.

— Chociaż nosi tak ślicznie krochmalony kołnierzyk? Wszak za to przynajmniej trochęby mu wdzięczności mieć potrzeba. Taki ekspens krochmalu! i dla miłości pani; kraje sobie nielitościwie uszy! Męczennik.

Tak się poczęła śmiać znowu, że zwabiony tem urzędnik, któremu niesmakowało wcale, żem szedł sam na sam z Marylką, zbliżył się z miluchnem zapytaniem.

— Cóż panią tak rozwesela?

— A! nigdybyś pan sowietnik nie odgadł.

— Doprawdy? Probować więc nawet nie będę; ale zazdroszczę temu, co ją w tak wesoły humor wprowadzić potrafiło.

— Nie zazdrość pan nikomu, — żywo odparła dziewczynka...

Z bulwaru wróciliśmy powolnie do miasta; pożegnałem ją u furtki mieszkania, a dotykając usty jej prześlicznej rączki, uczułem jakby lekkie przyciśnienie... Zdawało mi się może. Urzędnik wszedł z rodzicami do środka, ja zastanowiłem się trochę na ulicy; jakiś głos tajemny mówił mi, że ją jeszcze choć na chwilkę zobaczę.

Podniosłem oczy na belweder... nikogo. Po chwilce mignęło mi coś z góry... to ona! nie omyliłem się... Zschyloną głową patrzyła w ulicę, zobaczyła mnie, ciche „Dobranoc“ przeleciało, i zbiegła nazad.

Wróciwszy znalazłem twój list matuniu kochana, list twój ostatnich dni kwietnia pisany. Dzięki ci za niego! Jestże serce nad macierzyńskie? Jak ty mi umiesz napisać o wszystkim co zajmować tylko może. Nawet rozwijanie się naszych drzew starych, nawet moją ławkę pod świerkiem i mego pocziwego Brysia i konia nie zapomniałaś. Czemuż mi tak mało i krótko piszesz o sobie? Ucałowałem pismo twoje, bo w każdym wyrazie czytam to przywiązanie, na które bodajbym potrafił zasłużyć. Ty mnie tak kochasz, że mi aż wstyd matuniu; bo w mojem sercu tyle jest różnych węzłów, gdy w twojem Bóg tylko i dziecię... O! daruj!

1. Czerwca.

Dawno już nie zajrzałem nawet do mojego dziennika, codzień mi trudniej wypisywać się ze swoją duszą na tych kartkach, które może obojętna schwycić ręka.

Niewiele dni, a wiele wypadków!... Będiesz myślała matuniu, że mam co taić przed sobą i tobą, możesz się zasmucić sądząc, że dziecię twoje wstydzi się swoich uczynków. O! nie lękaj się napróżno. Jam się nie zmienił wcale; ale tyle przeżyłem w tych kilku szybkich chwilach, że sam teraz pojąć nie mogę, jak się to w nich zmieściło.

Po owym wieczorze, całym należał do mojej złoto-włosej Marylki. Nie śmiałem szukać jej w kościele; sta-

rałem się spotykać na drodze tylko i powitać, dając do zrozumienia, że nie zapomniał, gdzie ją widzieć można. Często także chodziłem w pustą uliczkę na którą wygląda belweder... a dziwnym trafem, nawet w pochmurne dni znajdowałem ją opartą o poręcz i jakby na mnie oczekującą. Witaliśmy się wejrzeniem, rzadko słowem, kilka westchnień i spotkany wzrok stanowią całą historję tego cudnego marzenia. Na co nam słowa? my się tak doskonale bez nich rozumiemy, a jej oczy tyle mówić umieją... Niekiedy przychodziłem do rodziców, grywaliśmy i śpiewali razem.

Zbliżyliśmy się do siebie, nieraz maleńką jej uściśnąłem rączkę, nieraz ją pocałować mogłem i nie żądam więcej. Byłoby to okradać własną przyszłość, a ja o niej marzę rokosznie... Teraz wiem że ją kocham, ją tylko, ją samą i na wieki.

Wrzosek się śmieje z tej wieczności, ja się gniewam. Rzadko mówić z sobą poufale możemy, rodzice są nieodstępni i surowi. Ale z belwederu widywać ją codziennie prawie mogę... dzięki i za to. Chciałbym matuniu, abyś ją widzieć mogła, abyś mnie po twojemu całując w głowę, powiedziała że mi jej kochać nie bronisz, że ją kochasz także. Bez tego świętego potwierdzenia nie śmiem jeszcze rzucić się całkiem na faliste marzenia przyszłości. Ale ty ją kochać musisz!

Niedawnom ją poznał, widzę w niej wszakże zmianę wielką. Z trzpiotowatej dziewczynki, stała się dziewczą poważną. Co za cudny nasz wyraz *Dziewica*, jak on maluje, dla mnie przynajmniej, tę anielską czystą istotę, która przestała być dziewczynką (wpół jeszcze dziećciem), a stoi już na progu życia poświęceń, ofiar, życia pełnego życia... boju... Bój to uroczysty i chwały pełen.

Ale oko dziewicy ledwie go przegląda; ono widzi tylko spokojne zacisze i domowe swe szczęście i obowiązki, którym bije samotne serce.

W jej oczach postrzeżesz już że myśleć poczęła, że życie codzienną pojmuje lepiej, że się gotuje do niego. Ta chwila jest jakby jej modlitwą do Boga o przyszłość. Straciła całkiem swą żartobliwą płochość, swą wesołość dziecka, oczy nie latają jak przedtem, ale spojrzenie jej do głębi przeszywa mnie. Czemuż tak często smutna? czy mnie nie wierzy?

A kiedy ukradkiem pocznę jej malować szczęście, jasną przyszłość, to potrząsa głową z niedowierzaniem, z wątpliwością, jakby rzec chciała: nie tak będzie... Czemużby nie tak być miało? Wszak tak być musi. Nigdy mi jeszcze nie powiedziała że mnie kocha. Mogę zgadywać tylko że jej nie obojętny, lubi być ze mną razem, szuka sposobu widzenia mnie, czeka nieraz choć deszczyk pruszy wyglądając z belwederu... mimowolnie czuję drżenie jej ręki; nieraz łyż widziałem w oczach. Czemuż, gdy się jej usilnie pytam, czy mnie kocha, nigdy odpowiedzi wybłagać nie mogłem; zawsze mnie zbyła milczeniem? Czemu i czemu tak smutna? Chciałem jej dać pierścione, pierścione święty dla mnie, bo od ciebie matko pochodzi; byłoby to przyrzeczenie tak wielkie, jakbym je poprzysiągł u ołtarza. Zmieszła się, ale go przyjąć nie chciała.

— Później! — odpowiedziała żywo i odwróciła się, aby ukryć pomieszanie. Chowaj go jak pamiątkę matki i nie oddawaj nikomu.

— Weź go ode mnie.

— Później Juljuszu, później! Nie pora jeszcze, nie wiąż się niczem.

— Ale obowiązek byłby dla mnie szczęściem.

— Poczekaj... poczekajmy.

I nic więcej wymódz na niej nie mogłem. Od czasu wszakże jakim jej chciał dać twój pierścionek, zdaje się czulszą dla mnie jeszcze... Czemuż tak smutna? Ja tego pojąć nie mogę.

Powiem ci matuniu o drugiej, wiesz już o kim. Przypomnisz sobie, żem miał jej odnieść pożyczoną Sonatę. W dni kilka przysłała mnie prosić wieczorem; nie wiem jak mnie wyszukał służący? Poszedłem, znalazłem ją samą. Salon nie był już tak spokojnego pozoru jak przedtem, gdym go raz pierwszy zobaczył... Krzesła porozstawiane, okna na balkon otwarte, fortepjan zarzucony nutami... Ona przechadzała się żywo.

— A! przepraszam — zawołała, — żem się ośmieliła zabrać mu chwilę.

— Jestem prawdziwie wdzięczna, bo sambym nie śmiała.

— Czemu?

— Wiesz pani, żem aż do śmieszności nieśmiały, nie pewien siebie; nieraz szydziłaś nawet z tego.

— Ale może przerwałam mu jakie zatrudnienie?

— Czytałem.

— Coś naukowego może.

— Wstyd mi powiedzieć... nic wcale... Czytałem Wilhelma Goethego.

— Dziwna książka, co za postacie!

— Znasz ją pani?

— Jak chcesz bym nie znała co Goethe, co autor Werthera napisał? Zdaje mi się wszakże, że nadto wielką wagę przywiązywał do tego utworu poeta.

— Są tam prześliczne i dziwnie trafne rysy.

— Ale są i nic nieznaczące i może wielkiego poety niegodne. Ludzie to idealni całkiem, świat idealny... Jedną Mignon pokochać można.

— A... przepraszam panią, pierwsze sceny tej powieści?

— Za cóż przepraszasz mnie pan? — spytała. Pierwsze sceny są mistrzowskie.

— Bałem się żebyś im pani nie zrobiła jakiego zarzutu, i mnie się one najchętniej podobały. Ta aktorka.

— Prawdziwa kobieta! — żywo odparła generałowa — i nieszczęśliwa jak my wszystkie.

Z tego początku wtoczyła się rozmowa na losy kobiety. Jam je wynosił, ona je poniżała. W szczególnem była usposobieniu jakimś, jakby ją trawiła gorączka; twarz płonęła niewidzianym rumieńcem, pokaszliwała czasami. na miejscu usiedzieć nie mogła; głos jej silniejszy był niż zwykle. Rozmowa stawiała się coraz a coraz żywsza, aż nareszcie rzuciła się na kanapę i jakby przemagając wstręt, który miała od tego, poczęła.

— Nieprawda, słyszałeś pan o mnie wiele... wiele złego?

— Złego? — spytałem — nie... słyszałem wiele, ale nie śmiałem sądzić.

— Dziękuję ci... dziękuję. Ludzie mnie osądzili, i wyklęli;... piękna i czysta twoja dusza nie przyjęła tego sądu. Posłuchaj... jutro jadę... przypadek poznał nas z sobą, wola i rozum rozłączyć powinny. Jutro jadę, ale nie chcę zostać czarną w twojej pamięci; bo cenię cię, boś może pierwszy młody, który mojemu ideałowi młodości odpowiadasz.

Łatwo pojąć jak byłem zmieszany, nie wiedziałem co odpowiedzieć, a smutek jej głęboko mnie dotykał;

szczęściem nie było na odpowiedź czasu, mówiła dalej.

Wiesz zapewne od Wrzoska, żeś była jedynem, ukochanem mych drogich rodziców dziećciem. Tu spojrziała w stronę, gdzie wisiały portrety i teraz dopiero postrzegłem, że ich już na ścianach nie było. Dzieciństwo moje wspominam ze łzami. Jedyna to chwila w mem życiu szczęśliwa. Nie było marzenia, którego matka i ojciec urzeczywistnić dla mnie nie chcieli. Miałam cze-
gom zapragnęła, robiłam co chciałam. Przyszłość opisywano mi rajska, to mnie zgubiło. Nigdy nie słyszała o obowiązkach i cierpieniu, zawsze o roskoszach życia. Nie domyślałam się rzeczywistości. Tak dorosłam, noszona na rękę, wykołysana pieścizotami, rozmarzona i upojona życia początkiem.

Ciotka dawała mi książki, które sama czytała bez wyboru, czytałam wcześniej i wiele, ale pocóż przypisywać książkom, co nie one rozwijają? W książce to tylko znaleźć może człowiek, powiedział jenualny pisarz francuzki, co ma w sobie. Każdy czyta i korzysta po swojemu, i mnie wyegzaltowały książki dla tego tylko, żeś musiała tem lub owem przejść do stanu duszy, który był dla mnie koniecznością... Miłość, czarodziejskie tajemnicze słowo, we snach i na jawie kołatało do mojego serca. Pragnęłam poznać co to jest i szukałam do koła kogo kochać. Ale w pierwszej chwili, jam sobie stworzyła ideał kochanka i miłości. Posłuchaj! Miłość jakam ją sobie wyobrażała, była namiętnością heroiczną, przywiązaniem bez granic, bez pamięci, w którem zniknąć miały wszystkie obowiązki dawniejsze. Wyobraziłam ją sobie szalem szlachetnym, szalem Platońskim, ogniem palącym dwoje serc, łączącym w jednym płomieniu dwie istoty... na wieki. Miłość moja nieziemską

była i niepodobną. Któż kochać tak może? A do tej idealnej miłości wyobrażałam sobie idealnego kochanka, istotę doskonałą, wyższą, zbiór wszystkich przymiotów, coś nieludzkiego w ludzkiej szacie. Nigdy mi na myśl nie przyszło, żem ani podobnego przywiązania, ani takiego człowieka nie była warta. Biedne ideały moje głęboko zapadły z głowy chorej w chore serce; nie ich już ztamtąd wyruszyć nie może, ani cierpienie nawet, ani zawody.

W tych kilku słowach historia całego mojego życia i wszystkich nieszczęść; to klucz do pojęcia wypadków, o których słyszeć pan musiałeś zapewne... Pierwsza miłość moja błysnęła mi na chwilę urzeczywistnieniem wszystkiego, ale prędko postrzegłam, ile jej brakło... Dobry, szczery, serdeczny Edward, syn sąsiada, kochał mnie aż nadto, ale nie pojmował. Tej miłości brakło myśli. Zimno i nadto szybko, bez zastanowienia zerwałam ją, szukając innej. Następna zdawała mi się zawsze dopełniać to, co brakło poprzedzającej.

Bodajbym była na pierwszej spoczęła! Ileż ją razy opłakałam potem! Nie, nie opłaci serca! Byłabym choć w części szczęśliwą... Edward się zabił, a ojciec jego w chwili rozpaczey przekląć mnie musiał!... Przekleństwo to nie odstapiło muie do dziś dnia. Mąż mój pojmowa mnie zapewne, ale nie miał serca; tej drugiej miłości prędko ostygłej, brakło znowu uczucia. Podwójnie płakałam Edwarda. Na cóż mam mówić dalej, w tej pogoni za ideałem uczucia i ideałem człowieka, wyschło życie moje; straciłam sławę, spokojność, wszystko. Zawsze oszukiwana, zdradzona zawsze; dla nieszczęsnych bogactw otoczona tłumem ludzi, co ich zdobycie za pierwszy i najświętszy obowiązek życia poczytują... dożyłam tak

rozczarowania, chłodu, prawie rozpacz. Z twojej rozmowy, mój młody przyjacielu, tchnął na mnie pierwszy powiew religijnych uczuć, pierwszy raz usłyszałam człowieka wierzącego w szczęście, nie lękającego się przyszłości, obowiązków przenoszącego szlachetnie nad wszystko, i w życie zapatrującego się poważnie, uroczyście. Dotąd przywykłam za fraszkę mieć wszystko. Nie pochlebiaj sobie, nie uczułam dla *pana* miłości; aleś mnie tchem swoich myśli odświeżył, uszlachetnił... Nie kocham cię — powtórzyła z prynciskiem — nie kocham — mówiła boleśnie — nie, nie. W dowód szacunku zostawiam ci to wyznanie, którem się żaden twego wieku człowiek pochłubić nie może... Bądź zdrow, bądź pan zdrow, i nie sądź biednej kobiety surowo.

Gdy to mówiła, oczy jej zaszyły łzami, powstała żywo i wyszła.

Nie wiedziałem jeszcze co począć z sobą, gdy wchodząca sługa oznajmiła mi, że pani jej przeprasza, iż mnie pożegnać nie może. Musiałem odejść. Wyznam ci matuniu, żem był wzruszony i długo, długo uspokoić się nie mogłem. Chciałem zobaczyć ją jeszcze, mówić, pocieszyć... Bóg wie, najdziksze myśli krążyły mi po głowie.

Późno w noc wracając do siebie, znalazłem przyniesione tam pudełeczko. W niem piękny złoty krucyfiks z Chrystusem z kości słoniowej i pierścioneł z trzema emblematycznymi kamykami: wiary, nadziei i miłości. Na kartce jej ręką dopisana data i te słowa:

— Z życzeniem szczęścia, z prośbą o pamięć.

Nazajutrz rano pobiegłem, ale już jej nie było; w dziedzińcu świeże kół ślady, okna otwarte w poko-

jach; nikt mi powiedzieć nie umiał dokąd wyjechała. Ty matko pożałujesz jej, jakem ja żałował. Biedna kobieta.

2. *Czerwca.*

Ja jej nie rozumiem! ja jej pojąć nie mogę... Ona ma coś na sercu z czem mi się wydać nie śmie, czy nie chce; co dzień bardziej smutna, wczoraj gdyśmy siedzieli u fortepianu, a matka wyszła na chwilkę do drugiego pokoju, mówiła mi:

— Smutna to rzecz miłość; tyle tylko o niej wiem, że się kończy tem większą boleścią, im szczerza jest i większa, im w czystsze padnie serce.

— Dla czegoż boleścią?

— Dla tego, że koniec wszelkiego ziemskiego nią być musi.

— Mój Boże! i w jej więc młode serce zajrzało już zwątpienie, i ona zawahała się na progu życia! Gorąco odpowiedziałem jej, słuchała mnie z uśmiechem na ustach różowych, płacząc białą rączką złote włosy swoje.

— Są to marzenia, są to sny młodości, patrz i przekonaj się, że miłość kończy się zawsze smutnie, a biada tej, co się weselem zamyka.

— Jakto, chciałażbyś, aby się inaczej kończyła?

— Nie mów żebym chciała, jabym chciała, żeby na serce ludzkie więcej rachować można.

— Nie wierzysz mi więc?

— Tobie!... a! wierzę... ale człowiekowi, nie! o! nie!

— Zkąd ci te myśli?

— Posłuchaj, przyszły mi nie dziś, ale co dzień nowy je podsyca przykład. Najzapaleńsi kochankowie różnią

się pobrawszy; ziębną i stają sobie obojętni, jeśli nie gorzej. Jest jedna tylko chwila w życiu na to piękne uczucie, które się zowie miłością, a kto je chce wynieść z sobą pamiątką na dalej, ten zerwać powinien i niedokończoną żałować.

— Nie poznaję cię Maryniu.

— Co dzień starsza jestem... co dzień widzę więcej i myślę. Jeśli nie tu, wszak czyste przywiązanie, co się oczu boskich nie wstydzi, zakończyć może w niebie. Tam nadzieja.

— Nie wierzysz więc w uczucie człowieka, w trwałość przywiązań, w świętość przysięgi.

— Wierzę w cnotę, o! bez tej wiary trudno by żyć było; ale cnota nie zastąpi uczucia, a człowiek zawsze być mogąc cnotliwym, nie zawsze jest uczucia swego pewien.

— Powiem ci szczerze — odpowiedziałem — takie myśli jak twoje nie przystały wiekowi twemu. Kiedy z niewiarą w człowieka stary nasz pan Tadeusz występuje, nie dziwię mu się; wiele cierpiał; ale ty, mój aniele?

— Jam wiele przeczuła.

Zamilkłem... Wszyscy się więc spiknęli, aby mi odebrać tę ufność w przyszłość, tę pogodę wiary, z którą chciałem iść dalej... nawet ona, i ona mi grozi tą przyszłością. Czemuż ja w niej strachów tych nie widzę?

Miałaby każdy człowiek mienić zarówno z wiekiem przekonanie, jak mieni rysy twarzy młodocianej? Miałyby nadzieje nasze padać z zębami, siwieć z włosami i marszczyć się z czołem? Miałażby jedna młodość być wiekiem wesela, radości życia, i to przez niewiadomość prawdy, przez niepojęcie siebie i świata?

Nie wierzymy w to!

— Nigdy więc nie będziesz szczęśliwą — mówiłem jej — gdy z góry w szczęście nie wierzysz. Powiedz mi, dla czegoż nie chcesz razem ze mną spodziewać się spokojnej, szczęśliwej przyszłości? Mówiłaś mi kiedyś, że chciałabyś mieszkać na wsi, myśl że razem z tobą, z moją dobrą matką mieszkać będziemy, mój aniele; domek nasz stoi nad rzeką, ocieniony starymi drzewy, co nad nim szumią jak niańki nad dziecka kołyską. Mamy ogród do przechadzki, mamy zielone smugi i złociste łany. Będziemy żyć spokojnie, sami, dzieląc czas rozmową, muzyką, śpiewem, dumaniem.

— O! na Boga nie marzmy, ja drzę cała, abys mnie nie zaraził nadziejami. Nie mów więcej — przerwała — proszę cię, ani słowa! Jutro, tajemnica! jutro nie nasze; jutro... nie obiecuj mi go, abym ci się o nie nie upominała.

— Masz do tego prawo.

— Żadnego! żadnego! kilka chwil razem przebytych i uczuć podzielonych, to wspomnienie miłe, nic więcej. Myślisz-że, iżbym ofiarę całego życia twojego przyjęła? Cóżbym ci dać mogła w zamian... serce? wam tego za mało. Prędko i prędzej niż myślisz, zatęskniłbyś za światem, ludźmi, pracą, bojem. Naówczas jabym pozostała na zawsze samą, osieroconą, tybyś ująć musiał odemnie. A nie uszedłbyś ciałem, uciekłbyś myślą. Smętne oczy podniósłbyś w świat i serce by ci do niego drgało. O! nie, nie marzmy, Juljuszu... Jutro niech będzie Boże, nie nasze, nie zwijmy go własnością swoją.

— Patrz, co robi brak wiary! ty i we mnie nie wierzysz!

Uśmiechnęła się. — Jakto? jakto? wszak nigdy nie

wyzwałam przysięgi, nieprawdaż? wszak nie chciałam żadnych przysięczeń.

— Tak, ale wzajemnie, nie otrzymałam żadnych, nawet drogiego słówka tego, którego pragnie dusza moja, którego wymodlić niepodobna... nadziei mi nie dałaś... nigdyś mi go nie powiedziała.

— Jeśli nie wierzysz, pocóż ci one? jeśli je przeczuwasz, pocóż ci znowu?

— Sofista jesteś, mój aniele.

— Cóżby ci pomogło to słówko?

— Nie czujesz więc, jakby mi je miło posłyszeć było?

Zamilkła, schyliła się do nut i zdawała się szukać czegoś, potem zagadała rozmowę obojętnie.

Poszedłem wieczorem do Wrzoska. Siedział w domu; u drzwi już jego tłum ubogich wskazywał, kto mieszkał. W skromnych kilku pokoikach na zaułku mieszka nasz przyjaciel, ale ma widok na ogródek, na zielone drzewa. Jeden stary jak on sługa, jeden chłopczyk sierota, oto dwór cały. Wewnątrz czysto, porządnie, ale nie wytwornie. Trzoda brzydkich wyżłów i pudłów, które dla ich brzydoty chowa, a czasem dla kalectwa umyślnie za faworytów wybiera, zastąpiła mi ode drzwi. Wszędzie ich było pełno, na kanapach, na łóżku, na poduszkach, na podłodze i krzesłach, pan Tadeusz miał suczkę ze szczeniętami na szlafroku.

Jamund, stary sługa, Litwin, w szarym kubraku rozdziałał chleb i trzygroszniaki ubogim w przedpokoju; chłopak uczył się czytać na elementarzu.

Mieszkanie do pana podobne, niepokązne, nic do przyjemności i ozdoby. W sypialnym portret ukochanego dziecka, w bawialnym dwa stoliki, lulka z długim cybuchem w kącie i książka otwarta.

Rad byłem złapać na czytaniu przyjaciela naszego, bo się z tem tai jak ze wszystkim co czyni; pobiegłem więc do książki i nim mi ją zakryć potrafił, dojrzałem djałogów Łucjana... po grecku!! Co u licha! Ten człowiek co udaje nieuka, co w żadną naukę nie wierzy, miałby być uczonym? Tak jest przecie. Był to dzień szczęśliwy do odkryć; bo na kanapie zawalał się rachunek astronomiczny i tablice pochylenia gwiazd, które znalazłszy, osłupiałem. Nasz przyjaciel stanął mi w nowem niespodzianem świetle. My go nie znamy!

Nadzwyczaj się srożył i gniewał, żem mu książki jego zobaczył.

— Waćpan gotów jesteś myśleć, że to moje—dodał.— Uchowaj Boże! Ja tego nie rozumiem nawet co to jest? Byli u mnie dwaj profesorowie i musieli te książki zostawić. Niechaj Jamund pamięta poodnosić.

Stary sługa odwrócił się tylko i kiwnął głową.

— Dobrze, dobrze.

— Gotów sobie nie wiedzieć co myśleć.

Byłbym się zachwiał i doprawdy uwierzył mu, że książki nie należały do niego, gdyby nie rachunek astronomiczny, widocznie ręką jego pisany. Dziwny człowiek, tak się starannie ukrywa z nauką i udaje prostaka, jak drugiby z nią się popisywał usilnie. W rozmowie napróżno chciałem się coś od niego nauczyć, wybadać; udaje zawsze nieuka i trzyma się zupełnie Sokratycznej metody. Wywodzi swego rozmowcę na twierdzenia, które powoli z udaną przeprowadzając niewiadomością, przez rozmaite stopnie ich rozwoju... kończy na wpłątaniu w absurda, z nich zaś żadnem twierdzeniem nie wyprowadza i skeptycznym zamyka szyderstwem. Ta prostota, nieuctwo, gburowstwo, ta niewiara i dobroć razem, czynią

go jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich w życiu widziałem. Z ubogimi i niższymi od siebie skromny, uniżający się, łagodny; z dumnymi i tymi, co się bez prawa wyższymi być sądzą, przybiera ton prostaczy a ostry... Biada, kto mu na ząb wówczas popadnie. Nikt od niego boleśniej wyszydzić nie potrafi!

Z ludźmi dumnymi nauką tak właśnie postępuje, jak z dumnymi rodem lub groszem; z pokorą pozorną pochyla, kończy zwycięstwem.

Mruczał długo jeszcze chcąc mnie przekonać, że książki nie należały do niego, milczałem; ale poczuł stary, że mu nie wierzył... Chociaż bowiem nigdy domyślić się głębokiej w nim nauki i ciągłego badania nie mogłem, kiedy był rozruszany, rozgrzany rozmową, wyrwał się ze słówkiem dającym do myślenia, że więcej umiał niż powiadał. Ale złapany nawet na gorącym uczynku, zapierał się uporczywie. Mówił mi później Jamund, że mnóstwo książek kupował, sprowadzał, ale je zamykał w garderobie, od której klucz zawsze przy sobie nosił.

Zrzuciwszy z kolan suknię, począł się troszczyć czem mnie przyjąć i pootwierawszy szafki, dobywał pomarańcze, cukierki, ciasteczka.

— Waćpanowie to lubicie — mówił — to jedz-że póki smakuje.

— Daj mi pan pokój z łakociami, smutny jestem.

— No, no! I cóż to znowu? Marylka ci coś pewnie nie dopisała. Może nie wyszła pożegnać z balkonu?

Zarumieniłem się, bo nie wiedziałem, że zbadał już i te spotkania nasze.

— Ja wszystko wiem — dodał — to stara historja,

łatwo ją odgadnąć. Gdybym nie wiedział, tobym się domyślił.

— Domyśl-że się, co ci wymawiać przyszedłem?

Chwilkę pomyślał, namarszczył brwi, popatrzał na mnie z uwagą.

— Hm! hm, mości panie... a jak zgadnę?

— Oszczędzisz mi przykrego zaczęcia.

— Powiem ci: myślisz pewnie, że ja twojej Marylce napędzam niewiarę w przyszłość i nieufność ku tobie.

— Nie zgadłbyś, gdybyś tego nie uczynił! — zawołałem.

— Nie ja... nie ja! A cóż mi z tego, mój kochany? Kiedym cię wprowadzał do ich domu, starałem się wprzód poznać dziewczynę. Znałem dawno pocziwych jej rodziców, przypatrzyłem się jej pilnie... Kiedy masz głupstwo robić, starałem się, aby było jak najmniej niebezpieczne. Cóżby mi przyszło z przeciwności? Czyliż nie widzisz, że dla rodziców, dla niej nawet, twoja młodość jest powodem niewiary, nieufności podstawą? A potem, kto u licha wie, co się w tych kobiecych sercach dzieje, to są bezdna mości panie... Nie zapominać wasć, że byłem szambelanem Stanisława i widziałem wiele.

— A może i przebyłem wiele? — spytałem — ale z tamtych czasów o naszych sądzić się nie godzi. Nie mieliście wiary.

— Hm! hm! powiedz nie mieliśmy obyczajów kochanku... a wiara była w głębi. Jedna chwila jej nie wypędzi z serc. Wy się swoją chlubicie, a macie pozór tylko. Zresztą człowiek człowiekiem zawsze; a twojemu kłopotowi jam nie winien wcale. Teraz zaś mój młody przyjacielu, pomówmy cokolwiek rozsądnie.

To mówiąc, usiadł, wziął Harnę faworytę swoją pudlicę na kolana i tak zaczął:

— Co ci się to śni? myślisz się żenić?

— Nie dziś zapewne ani jutro, ale myślę i czuję się obowiązany.

Stary porwał się, aż Harna upadła i nie wiedząc co się z nią stało, przeraźliwie szczeakać poczęła. Mimo wzruszenia widząc niepokój starego, musiałem się uśmiechnąć.

— Do licha, mocipanie, miałem się na waszeci zawieść! toby było niegodnie! Jesteś, spodziewam się, człowiek uczciwy; są krzywdy, których nic nie zagładza, nawet ślub mocipanie!

— Zmiłuj się, mój przyjacielu! nie zachodź myślą tak daleko. Czuję się obowiązany, bo ją kocham, bo sądzę, że i ona mnie kocha.

— Boś ją w rękę pocałował? — dodał stary — hę?

— Nic więcej, daję słowo.

— Harna, pójdź sam tu, jestem spokojny... Nastraszyłeś mnie wać niepospolicie... Myślisz się tedy żenić?

— Chcę i nie widzę nic nad to, dla mojego szczęścia lepszego.

— Zaprawdę! śliczne! śliczne zakończenie życia, ledwie dwudziestu lat doszedłszy, ożenić się, siąść w domu i *finis*. Cóż to będzie z tą wychwaloną w ustach waści nauką, z tą pożądaną sławą, z błogosławieństwem ludzkości, których pożyłłeś? Ha? Zaprawdę! wyborne słupy Herkulesa! A wiesz-że waćpan co to znaczy w jego wieku ożenić się, osiąść na wsi i uszczęśliwić się. Ja waćpanu powiem: to znaczy miesiąc szczęścia, rok marzeń, dwa lata znośnego bytu, w trzecim niechybne znużenie, oziębienie, nie daj Boże spór i nie wiem już

co dalej! Dzieci obsiadą, majątek się potrzebami umniejszy, kłopoty głowę obejmą, żona zestarzeje, zapalczywa miłość zmieni się w nienawiść... wyczerpie się do dna szczęście, zostaną fusy i łupinki. Tak to bywa zawsze, mocipanie.

— A więc nigdy się nie żenić?

— O! bardzo przepraszam... w późniejszym wieku inaczej się rzeczy robią... Żeni się szacunkiem nie miłością, zapaleńca; szacunek trwa, a z nim spokój i pomyślność, jeśli nie szczęście. Od razu widzisz co masz mieć i nie uwodzisz ideałami nie mogącymi wcielić nigdy. Nakoniec powiem ci, com sto razy powtórzył: szczęścia tu nie ma, a Bóg je święty raczy wiedzieć, gdzie ono jest.

Nie było co mówić, stary jakby żałował, że mnie trochę zachmurzył, począł z innej beczki.

— A dla tego wacpan sobie kochaj się i myśl nawet o ożenieniu... to choroba wieku, inaczej być nie może. Ale ożenienie trzeba odłożyć, potrzeba wprzód siebie wykształcić, podnieść, stać się ludziom użytecznym, dług święty spłacić, który na nas wkłada towarzystwo tyle dla nas czyniące; a potem gdy oboje przekonacie się, że miłość wasza przetrwała próby oddalenia i najtrudniejszą próbę czasu, niech pan Bóg błogosławi. Nie bogata, to prawda, imienia nie ma; ale piękna, skromnie wychowana, pobożna. Dla kobiety to potrzebne — dodał ciszej.

Wiesz matuniu, że pocziwy nasz przyjaciel z modlitwą i uczuciem religijnem tak się kryje jak ze wszystkim. W towarzystwie ledwie nie niedowiarka gra rolę, a tajemnie raniuchno modli się po kościołach. Spotkać go tam, to się wymawia jak z grzechu i do-

wodzi, że szukał kogoś. Nigdy ci się do niczego dobrego nie przyzna.

— Czemu się waćpan nie wybierasz na ferie do domu? — spytał potem. — Matce by to wielką było pociechą niewdzięcznika zobaczyć, co to woli piękną twarzyczkę Marylki, nad pocziwe choć zwiędłe matki oblicze.

— Nie mów tego — zawołałem żywo. — Bóg mi świadkiem, że kocham mego anioła, ale gdyby szczęście matki wymagało tego, gdyby jej w tem tylko była wola, poświęciłbym siebie.

Uściskał mnie za rękę a potem dodał:

— Tak to wać mówisz, bo wiesz, że ci ona na wszystko pozwoli.

— Nie znasz mnie — rzekłem.

— No! no! — I odwrócił się. — A czemu się do matki nie myślisz wybierać? Myślisz sobie baraszkować po Wilnie?

— Nie, mój drogi przyjacielu... pojechałbym, ale mam być szczerym? Wiesz, że nie jesteśmy bogaci, matce samej gospodarując o grosz ciężko, straciłem więcej niż się spodziewać mogłem, muszę za to w Wilnie posiedzieć.

— Banialuki! dalipan chcesz mnie oszukać. Matka ci właśnie na podróż przysłała pieniądze.

— Kiedy? ja ich nie odebrałem?

— Są na poczie, ale podobno jak zwykle na moje imię, myślałem, że ci znać dali; jutro odbiorę.

— Nic o tem nie wiedziałem.

— Miałem list dawniejszy, w którym wyraźnie matka pisze, abyś przyjeżdżał. Jeszcze taka pocziwa, o zabawkach nawet dla waszeci myśli. Gotuj-że mi się bez żartu do drogi.

— Jeśli tak... to pojedę.

Na tem rozeszliśmy się. Mam silne podejrzenie, że stary mnie oszukuje, rachując coś na oddalenie. Myli się! przecież może to być, bo matka mi nieraz pieniądze pod jego przysyłała kopertą. Musi tam być list do mnie, jutro się więc przekonam, czy nie zwodzi pobożnie, dla usunięcia mnie z Wilna. Kocham cię matuniu droga, i serce mi bije na samą myśl, że cię zobaczę; ale daruj mi, daruj, że smutno rozstać się z nią, tak na długo ją porzucić. Ona tak smutna, tak mało mi wierzy! Przez tyle czasu jej nie widzieć! Jak jej to powiem! Serce tu i tam mnie ciągnie. Czemuż nie możemy być wszyscy razem!... ty byś ją pokochała, ona tak łagodna, tak miła. tak piękna! Pokażę ci jej miniaturę, choć mi się wcale nie udało... Biedne to malarstwo, gdy mu przyjdzie z żywym walczyć życiem o wyraz. Nigdy nie czułem tego mocniej.

3. Czerwca.

Zeszliśmy się znowu na przechadzce. Rodzice postanowili odpocząć w ogródku Tivoli, ja im towarzyszyłem, urzędnik także nieodstępny. Świeżo odebrane pieniądze dozwalały mi przyjąć ich podwieczorkiem; cieszyłem się z tego. Regent lubi grać w bilard, zagrają się więc z panem urzędnikiem, a ja zostanę z matką i córką, myślałem. Była to filuterna rachuba.

Przez cały ciąg przechadzki rozmowa była powszechna i naturalnie nic nieznacząca. Sowietnik skończył majową kurację i cieszył się odzyskanem zdrowiem, ojciec niekiedy robił uwagę nad szparagami i zieleniną, matka pocziwa milczała, my z nią rozmawialiśmy

wejrzeniem. Traf czy przeznaczenie napędziło nam pana Wrzoska, który szparko machając laską, nas dognał. Towarzystwo podzieliło się trochę i byliśmy już swobodniejsi. Mogłem z nią cichą prowadzić rozmowę.

— Wiesz — szepnąłem — ja jadę do matki.

Zarumieniała się i odpowiedziała mi:

— Wiem o tem.

— Zkąd?

— Przeczulałam; pojedziesz, a może nie wrócisz.

— Chyba bym umarł! — zawołałem.

— A może wrócisz zmieniony; dla tego nie chciałam od ciebie przysiąg, obietnic, pierścionka. Dusza moja czuje, że to wszystko przejdzie jak sen.

— Nie mów mi tego, serce mi tem krwawisz! Dla czegoż zawsze ta niewiara? Jeśli nie we mnie, wierz w Opatrzność, co nie darmo zbliża ludzi i wiąże.

Uśmiechnęła się na to.

— Czy też nigdy nie uważałeś — spytała — w obcym miejscu, w podróży, jak się czasem spotykamy z ludźmi zda się znanymi, których gdzieś niby widzieliśmy i kochali; z którymi zamienim tylko jedno wejrzenie... i idziem każdy w swoją stronę... na wieki. Takie są wszystkie ludzkie związki, jedno wejrzenie, jedno słowo, jeden rok, a nawet całe jedno życie, cała jedna młodość, nierównież są gdy minęły? I czy nie lepiej czasem rzucić się i rozstać nim naprzykrzym się sobie, nim się odczarujęm, unosząc skrzydlatą anielską pamiątkę? A potem życia resztę żyć marzeniem pięknem, piękniejszem od rzeczywistości.

— Na Boga, w rozpacz mnie wprowadzasz! Ja cię nie rozumiem.

— Zrozumiesz kiedyś — odpowiedziała zwolna — później,

później, gdy oddalony, w obcej stronie, przypomnisz sobie Marję i złote marzenia twoje. Kiedyś, w smutny wieczór może jesienny, u komina domowego, przyjdzie ci na myśl ta przechadzka i ja... i wszystko co nas na chwilę związało.

— Dla czegoż na chwilę? Ja całe życie chcę przepędzić z tobą! Wczoraj mówiłem o tem z pocziwym przyjacielem naszym.

Spojrzała na mnie niespokojnie, badawczo.

— Cóż ci powiedział? W spojrzeniu i pytaniu dostrzegłem, że się go bać musiała.

— Znasz go — stary biedny i odczarowany jak ty. Ale ani się mi przeciwił, ani w tem upatrywał twoje niepodobieństwa. Mówił tylko, że kto na uczuciu postawić chce całą przyszłość swoją, winien się wprzód o prawdziwości i stałości jego przekonać, że muszę wytrwać próbę... najnieznośniejszą dla mnie... próbę czasu. Wszystko więc zależy od tego, czy mi słowa i wiary dotrzymasz.

— Słowa? nie dałam, nie przysięgam wiary.

— Nie masz litości nade mną.

Po tych słowach szybko oddaliłem się od niej i przerwałem rozmowę. Kilkadziesiąt kroków szliśmy zadumani, w milczeniu. Widziałem jak bystry wzrok starego śledził każde poruszenie nasze. Ona zarumieniona, smutna, ale nie gniewna, nie myślała już zbliżyć się do mnie. Byliśmy pod lipami naprzeciw św. Piotra; naprzeciw klasztoru z którego okien klasztorny spokój wiał na nas. Bazem zwróciliśmy tam oczy.

— Ulituj się nade mną! prosiłem, powiedz mi słówko pociechy.

— Nie wymagaj ode mnie więcej niż mogę uczynić,

— Nie godzi się pytać o to. — Ucałowałem jej rękę i wyrwałem z niej zmięty kwiatek.

— Czemu nie nosisz pierścionka ?

— Noszę go ale nie na ręku. Byłby widoczny, a ja, wstyd mi wyznać. pierwszy raz tać się muszę nawet przed dobrą matką moją. Nie bój się. nie rzucę tej pamiątki, a jeśli umrę odbierzesz ją.

— Zmiłuj się droga, nie myśl i nie mów o śmierci. Na co ją mieszać do wszystkiego, niech sobie pospolici kochankowie nią wojują. O! my żyć będziemy.

Ścisnęła mnie za rękę i nie odpowiedziała. Musieliśmy wejść do pokoju na herbatę. Profesorowa zaprosiła mnie do siebie na jutro, figlarnie, żartobliwie, wesolutko: spodziewam się, dodała, że pan czasu straconego żałować nie będziesz. Na szóstą proszę.

— Nie chybię.

— Zapowiadam panu, że prosiłam także sowietnika, wiedząc o ich wzajemnem przywiązaniu i sympatji.

Rozśmiałem się mimowolnie.

Egzamina się poczynają, Wrzosek nagli mnie do wyjazdu, obiecuje wyrobić pozwolenie wcześniejszego oddalenia (zapewne przez sowietnika, który radby się mnie pozbyć): a ja... muszę ci wyznać matuniu droga, ja, im bliżej ten wyjazd, tem więcej się go boję. Marja straszy mnie ciągle, sam wątpię o sobie, nie wytłumaczonym sposobem smutno mi odjeżdżać, choć do ciebie jadę, do swoich.

O! jak łatwo w człowieku zachwiać tę wiarę szczęśliwą młodości: ja codzień czuję ją słabszą w sobie; samo szczęście czyni niespokojnym, bojaźliwym. Ale pocóż to wszystko! Wszak jest Bóg, jest opatrność i strzegą mnie matki modlitwy, wszak czysty jestem na sumieniu.

5. *Czerwca.*

Spieszyłem o samej szóstej na wyznaczone miejsce; postrzegłem je stojące na balkonie zdaleka; ale gdy się ukazał znikły.

Z przedpokoju posłyszałem głos profesorowej, która żywo śmiejąc się odzywała.

— Niechże pan sowietnik siada, proszę bardzo pana sowietnika.

Na progu już postrzegłem, że to był strach tylko na mnie, bo nikogo prócz nich dwóch nie było, profesorowa śmiała się serdecznie.

— A co, nieźle pana nastraszyłam? — spytała podając mi malutką rączkę, nieprawdaż?

Marja siedziała jak zawsze smutna na kanapie.

— Jakaś ty szczęśliwa, — szepnęła, — z tą swoją wesołością!

— Niedawno, niedawno jeszcze i ty mi pomagałaś, ale cię teraz nie poznać. A temu wszystkiemu ktoś winien? I pogroziła mi. Mam z panem na pieńku!

— Nie wiń mnie pani przynajmniej. Wezmę za świadka pannę Marjanę, że ją zawsze jak mogę ze smutku tego i nieufności w przyszłość staram się wywieść, ale na próżno. Mnie to trapi najwięcej, bo...

— Bo taki pan winien jesteś! — dorzuciła profesorowa. — Popsułeś mi moją serdeczną siostrzyczkę! dawniej póki miała sowietnika, trzpiotałyśmy się jak ja. Teraz zostałam sama, i bardzo mi z tem nudno... a co gorzej zarazić się boję.

— Pani!

— A tak, ja!

— Pewne uczucie, które przez uszanowanie nie nazwę, tak właśnie jak żydzi imion pewnych Boga nie ośmiejają się wymawiać.

— Znać studenta! — zawołała profesorowa.

— Pewne uczucie jest jak wino.

— Stare porównanie! — czytałam go w Anakreonie mego męża.

— Jedni upojeni niem są weseli, drudzy smutni, inni gniewni... Pani należysz do szczęśliwszych, którym daje wesołość.

— A zkądże pan wiesz, że jestem upojona tem uczuciem.

— Wszakże masz pani męża?

Profesorowa zaczęła się śmiać serdecznie.

— Nigdy nie tak naiwnej odpowiedzi nie spodziewała — odrzekła. — Ale ja... od roku i więcej podobno poszłam za męża, kocham sobie spokojnie, głowa mi się nie kręci. Moja miłość, to wcale co innego. Radzę Marylce pójść za sówietnika, a będzie wesoła jak ja.

To powiedziawszy zakręciła się i pobiegła myśleć o herbacie! Zostałem z Marją. Nie napiszę cośmy z nią mówili, rozwinowa nasza będzie mi i bez tego pamiętną, a spisać bym jej nie umiał.

Co za serce w tej kilkonasto-letniej dziewczynce! co za szlachetna dusza. Kiedy mówi o przyszłości, jak surowo pojmuje obowiązki swoje względem rodziców, względem świata... Nic ci nie przyrzekam, mówiła — jam twoją na wieki sercem, ale nie chciej bym ci więcej obiecywała. Poddam się woli matki i ojca, powiem im i wyznam wszystko, gdy mnie pytają. Bogu polećmy przyszłość. Ty nie wiąż się także, pozostań swobodny, zachowaj mi tylko pamięć, wspomnij czasem Marję twoją, która cię więcej kocha niżeli myślisz. Ja ci się wydam zimną, ale nie

wierz nigdy uczuciu co się płomienisto objawia. Płomienie te są zewnątrz, nie ma ich w sercu; kto głęboko czuje, ten westchnąć i zapłakać tylko umie.

I ciągle mi powtarzała jeszcze, że ma jakieś smutne przeczucia. Cały jestem tem przejęty, głowa mi się kręci, ucieka i moja spokojność. Chodziłem późno w noc pod bulwar i siedziałem z godzinę, słowik śpiewał w ich ogródku, może i ona go słuchała.

Biedny sowietnik przyszedł jakby tajemnie uwiadomiony także, ale właśnie w kilka minut po jej wyjściu. Musiałem grać z nim wista...

10. Czerwca.

Dnie lecą, ani ich zatrzymać? A są przecie ludzie co się na nieznośną długość czasu skarżą? Historycznie pewien jestem egzystencji tych ludzi, ale racjonalnie pojąć ich i wytłumaczyć sobie nie mogę. Cierpienie! męka! przedłużają czas nieznośnie. Lecz cierpienia wielkie prędko się kończą, kończą śmiercią. Boleść mniejsza da się odegnać pracą.

Witaj mi wielka, niepojęta ideo pracy!

Począwszy od Byronowskiego Kaina, wszyscy narzekają na pracę; ale Bóg co w biblji przeklął rodzaj ludzki skazując go na nią, przeklinał ojcowskiem sercem; kara Jego była razem pociechą. Kto się skarży na pracę, ten życia nie pojął; ona jest wielką dźwignią, którą się porusza wszystko. Umysł nie spi nigdy. Biada tym, co jak kamienie bezwładne spoczynku potrzebują, bo spoczynek to śmierć, a praca... to życie.

Nasze bezsenne noce spędzone w przygotowaniach do

egzaminu, jakże rokoszne! Jak wszyscy czujemy w sobie podniesione, spotęgowane władze, jak po nich milej stokroć wypocząć wypoczynkiem dumania.

Jestże pora w którejby można zażądać serjo spoczynku zupełnego? Nie rozumiem, nie pojmuję. Jedno to, co chcieć śmierci.

11. *Czerwca.*

Jeśli kiedy to teraz chwili w dniu nie ma wolnej. Wstaję rano, a ranki poczynają się zaraz po północy, miasto całe spi jeszcze; oknami otwartymi świeże wchodzi powietrze, po kościołach dzwonią na jutrznię; pierwszy zawsze odzywa się bernardyński dzwonek, najpóźniej farny. My schodzimy się i siedzimy nad książkami. W przestankach nauki, mowa o przedmiocie. Jak często najpospolitsze z pozoru umysły trafne mają postrzeżenia i z niezwykłej rzecz widzą strony; co za rozmaitość władz w ludziach. Jedni z nas uczą się i zapominają prędko; drudzy mozolnie w pamięci mieszczą wyrazy i myśli cudze, gdy im najłatwiej o swoje. Każdy pojmuje inaczej. Szyderskie umysły nigdy za skorupę rzeczy nie przechodzą, a co gdzie zbiorą, to w słowach wysypią, nie szukają tajemnic w ich głębi; próżno tam i ciemno. Przeciwnie, nawykli serjo zapatrywać się na rzeczy, mówią nie wiele i najmniejszą drobnostkę podnoszą. Boć dla drobnych tylko umysłów egzystują drobnostki, nie ma ich dla głów potężnych, co w ziarnie piasku widzą więcej niż głupcy w iskrzącem miljonem światów niebie. Szyderca wszystko zmała, zniża, kraje, szczegółuje, trwoni; biada idei i człowiekowi, co się mu dostanie na pastwę! Co dotknie zabije.

Szyderca nie nie stworzy nigdy, niszczy co napadnie; biedni to ludzie, próżno im w sercu, próżno w głowie. Midasy, obracają wszystko czego dotkną w błyskotkę, co ani karmi, ani żywi. Litujmy się nad nimi, litujmy nad ślepyimi rodzicami, co najpierwej w dzieciach wyrobić się starają popęd ku szyderstwu.

Cały dzień tak zajęty, przecież wymykam się do niej. Rano lecę tylko ją zobaczyć, tylko się mignąć pod murem, z którego ona spogląda; wieczorem trafiam na ich przechadzkę instynktem, lub znajduję w domu. Widząc mnie tak zajęтым, Marja pyta o najdrobniejszy szczegół, wszystko ją zajmuje i czasem zdaje się lękać o moje zdrowie. Mówiła mi wczora: jesteś bledszy, mizerniejszy, nie pracuj tyle; przed tobą życie, ty w nie wierzysz, oszczędzaj się dla swojej przyszłości.

— I dla niczego więcej?

— I dla kogoś jeszcze, kogo pokochasz potem.

— Marjo.

— Proszę cię! nie zaklinaj się. Ja tak widzę tę przyszłość niechybną, jak gdybym jej twarz w twarz, oko w oko patrzała.

Wczoraj także pytała się mnie.

— Czy ty się modlisz?

— Możesz wątpić o tem!

— Nie wątpię że w duszy masz wiarę, zaszczepiła ją matka twoja, którą znam z twego opowiadania, jak gdybym ją widziała, z nią żyła. Ale wielu z was, mając uczucie religijne wstydzi go się przed ludźmi, zaniedbuje... Może i ty...

Nie mogłem skłamać, musiałam wyznać, że modliłem się pracą i czystem westchnieniem do Boga.

— To nie dosyć, — odrzekła, — mów pacierz choć

jeden dla mnie, za mnie jeśli chcesz, módl się do Najświętszej Panny. Modlitwa duszę podnosi, wielkie myśli wzbudza, modlitwa w szczęściu i cierpieniu jest lekarstwem; ona przypomina wątłość naszych nadziei i nieprzebrane miłosierdzie Boże. Proszę cię, módl się. Nie wiesz jak łatwo, przez zaniedbanie modlitwy, stać się obojętnym, a potem bezbożnym, krok tylko od jednego do drugiego.

Słuchałem ją i wielbiłem, święta matka moja inaczejby nie mówiła do mnie, w jej ustach miały te słowa urok i potęgę niepokonaną.

— Będę się modlił, — odpowiedziałem, — i dziękuję ci za radę.

— A później, później, gdy się na wieki rozstaniem, — dodała, — modląc się i mnie czasem przypomnisz mimowolnie, nieprawdaż?

Jestże to przeczucie okropne, czy tylko taki jakiś stan chorobliwy jej serca, zapływającego smutkiem i obawą? Nie wiem, nie rozumiem, ale mnie to przejmuje do głębi i przestrasza.

Wrzosek najczęściej teraz u mnie przesiaduje, nawet faworytę pudlicę przyprowadza i całe godziny milczący przysłuchuje się powtarzaniu lekcji naszych. Widoczna teraz dla mnie, że udaje tylko nieuka, bo na jego twarzy znać, jak rzecz pojmuje głęboko.

Gdyśmy się posprzeczali o tekst grecki Platona, stał wryty nad nami, kasał się za usta, żeby się z czem nie wymówić, a nareszcie machnął laską i odskoczył na drugi koniec sali... Koledzy mają go za fiksata, drwią nawet z niego, ale on to znosi jakby nie widział; ja zaś z góry im zapowiedziałem, że nadal najmniejszy, najdalszy przycinek na niego wymierzony, wezmę jak

do siebie i nie daruję go. Podszepnąłem także im, że to człek mimo dziwactwa niezmiernie uczony, i poczynają nań innem okiem poglądać. Mam podejrzenie na starego przyjaciela, że mnie tak przysiadując pilnuje i radby także przekonać się, czy się dla Marji nie opuściłem.

Dziś zastał mnie samego, biedzącego się nad Phaedonem, i posiłkującego sobie tłumaczeniem Marsyljusza Ficina, do pojęcia tekstu. Miałem wątpliwość i rozwiązać jej nie umiałem. Widząc mnie skłopotanego, stanął za mną i czytał.

— Co to takiego? — spytał udając, że nie rozumie.

— Phaedon Platona.

— Czytałem go dawniej, w doskonałym tłumaczeniu niemieckiem — rzekł zafrasowany i wstydząc się — zdaje mi się, że pamiętam dobrze, powiedz-no mi o co chodzi, może ci pomogę; tłumaczyłem dosłownie, objaśnił z łatwością i z trafnością wielką; ale ledwie skończył, począł się śmiać.

— Co to, waść gotów jesteś myśleć, żem tęgi w greczyźnie, a ja prócz „kirje elejson“, choć zęby powybie-raj; tylko pamięć mi Pan Bóg dał niezłą.

Anim się spostrzegł, jak mi moja rozprawa w bruljonie ze stolika znikła; dziś ją znalazłem i odczytywałem. Pełno w niej było poprawek obcą ręką, posądzam go wielce, że mi moją łacinę oczyścił. Śmiejąc się dziękowałem, ale się zapierał z najpociesniejszą w świecie miną.

— Co waści w głowie! oszalał, ja nie rozumiem nic krom przysłowiów naszych i kuchennej łaciny staropolskiej. Ot to mi także człowiek podejrzliwy. Musiał któryś kolega zrobić ci tę tajemną przysługę.

— Żaden nie byłby w stanie, a potem...

— Ale daj-że mi pokój!

I począł się prawie gniewać.
Zamilkłem.

28. *Czerwca.*

Znowu mój dziennik długo leżał zaniedbany, ale jest-że czas na notowanie myśli, gdy ich człowiek ma tyle?

Na te ostatnie dni tyle spadło zatrudnień, tyle uczuć, tyle tęsknoty. Potrzeba jechać! Droga matko, nie miej mi za złe, że z boleścią oddalam się od tej, którą po tobie najżywiej kocham. Widujemy się teraz co dnia, czasem na dzień dwa razy, ale się nic w stosunkach naszych od niejakiego czasu nie zmienia. Co się to stało z tą wesołą złotowłosą Marylką; zamyślona, poważna, milcząca. Rodzice biedni myślą, że chora i kilka razy używali przyjaciela swego Porcjanki, aby jej poradził, ich uspokoił.

— Nic jej nie jest! — powiada doktor — daj nam Boże wszystkim takie zdrowie; bądźcie spokojni. Za mąż jej tylko trzeba!

Ojciec z matką poglądają po sobie.

— To przejdzie — powiadają, ciesząc się wzajemnie.

Widziałem ją na mszy! Nigdy jeszcze poetyczniej-szej twarzy nie wymarzył pędzel malarza, zdawała się jaśnieć i promienieć, a taki spokój, taka ufność w Bogu oddychała z jej wejrzenia, przy łagodnym smutku. Ja także patrząc na nią, zacząłem się modlić, modliłem się, aby mnie Bóg połączył z tym aniołem.

Czemuż ona nie wierzy w szczęście na ziemi i nie

ma ufności we mnie? czemu zawsze zowie moje nadzieje marzeniami? I ja nawet lękać się poczynam; słysząc od niej co dzień prawie smutne tylko i poważne rezygnacji słowa, zastyga mi radość w sercu, tęsknota je obejmuje; boję się także jutra, lękam siebie, mógłbym zapomnieć o niej?

Co dzień zapytuje mnie o mój wyjazd.

— Nie zatrzymuj się dla mnie — powiada — matka cię czeka, a każda chwila jej niespokojności srodze mi ciąży, gdy ją sobie przypisuję. Święte i wielkie są prawa matki; masz dla niej obowiązki pierwsze zaciągnięte z życiem, nigdy dość nie mogące się zaspokoić. Wierz mi, ciężko, smutno, boleśnie będzie mi rozstać się z tobą, a kiedy wiedzieć będę, że się widzimy, że się żegnamy raz ostatni, nie wiem, nie wiem co ze mną będzie. Bóg chyba siły mi doda; bo nie ufam w przyszłość mój drogi. Jednakże, kiedy myślą polecę do samotnej wioski waszej, do tego domku, któryś mi tyle razy malował, gdy przeczuwam, jak cię wygląda, jak oczekuje, jak się niepokoi twoja matka, chciałabym abyś już wyjechał.

— Jeszcze dni kilka, tylko kilka dni krótkich i rozstanie na dwa, na całe dwa miesiące. Ale przyrzecz mi jeszcze, że pisać będziesz.

— Na cóż powtarzać przyrzeczenia?

30. *Czerwca.*

Dziś dzień ostatni, jadę jutro, ostatni! W głowie mi się zawraca. A przed kilką miesiącami tak byłem wesół, spokojny, tak byłbym leciał radośnie naprzeciw matki mojej... Wielkie odmiany w sobie czuję; gniewam się na siebie. Ostatni dzień i ledwie widzieć się będziemy na chwilkę, wieczorem, na przechadzce.

Wieczorem.

Stało się! rozstaliśmy się.

Na pozór była to tylko przechadzka jak inne, trzeba było tać w sobie, co się z nami działo; *z nami*, bo i ona płakała, a gdym całował jej rękę, ścisnęła mnie gwałtownie raz pierwszy i chwilę zdawało się, że mnie zatrzyma przy sobie. Chciałem zostać, nie jechać i wszystko jej poświęcić. Stary Wrzosek nielitościwie mnie śledził i nie odstępował. Przez cały czas mówiłem jej tylko o powrocie, zaklinałem, aby miała ufność we mnie, aby wierzyła mojemu przywiązaniu. Ona milczała prawie, rzadkie urwane słówko z jej ust tęskno wybiegło. Udana żywość osłaniała niepokój i smutek. Anim się postrzegł, jak zmierzchnęło, jakeśmy wrócili. U furtki należało pożegnać. Nie mogę tego opisać; to nad siły moje. Stałem skamieniały długo... wyszła na balkon, z kąd ją widziałem raz pierwszy i dała mi znak chustką. Nie uważała nawet, że Wrzosek był przytomny. Słyszałem spieszne jej kroki, gdy zbiegła ze schodków belwederu.

— Chodźmy — odezwał się stary — dosyć tego dzieciństwa; żal mnie bierze waćpana.

I całą drogę nie przestawał gderać. Chciałem raz jeszcze powrócić, byłem bezprzytomny; stawałem, opierałem się o mur, płakałem. Wrzosek niecierpliwił się.

— Tfu! słychane to dzieciństwo, rozjeżdżają się na dwa miesiące. Otoż to wasze miłości niebiańskie, od których serce pęka! Daj mi waćpan pokój, a nie mów o nich więcej. Zupełnie szalony. Słowa teraz nie powiem, żeń sie sobie choć jutro, abyś tylko nie oszalał ze wszystkim; to podobno jedyna kuracja. Nie odstąpił mnie, ażem się w łóżko położył przy nim. Ale zaledwie

był za drzwiami, zerwałem się, ubrałem i pobiegłem jeszcze. Czy to marzenie? zdało mi się, że ją widziałem, nie śmiałem odezwać... dzień zaczynało, gdy wróciłem złamany i znużony do domu. Ale jakież było podziwienie moje, gdy zwracając się postrzegłem nieopodal opartego o mur, z laską pod pachą nieodstępnego starca. Poczciwy przyjaciel czuwał nademną, i gdy ja szalałem pod murami tego ogródka, on z chłodną krwią wartę odprawiał nademną.

Rzuciłem się, aby go uściskać, ale wyrwał mi się i uciekł, coś tylko zamruczawszy pod nosem.

1. Lipca (w Fedlinie).

Daleko już Wilno, daleko, nie widać go za lasami; nie ma jej przy mnie! I ona także tam może tęskno w stronę moją pogląda. O! ta boleść płaci za wiele szczęścia. Ciężka boleść... przecie ją jeszcze raz niespodzianie widziałem na samem wyjeździe. Od rana stał nademną Wrzosek, sam kazał zapasy podróże poskupować i poznosić, dał mi powóz własny, obmyślił wygodki nawet, a tak mu widać pilno było mnie wyprawić, że mi posłał po konie pocztowe. Napróżno chciałem mu się wyrwać choć na chwilkę, nie uspokoił się, aż wyszliśmy razem z nim; przeprowadzał mnie do Ostrej-bramy.

Tu ją spotkałem, ale słowa nie mogliśmy rzec do siebie; miejsce, świadkowie, wzruszenie, zamykały usta. Raz jeszcze jej niebieskie wejrzenie spotkałem... modliła się już! czy za mnie tylko, czy za nas oboje?

A! ona w tę przyszłość nie wierzy!

Szparko uniosły mnie konie. Znużony z otwartemi oczyma, byłem przecie pół senny, pół upojony. Serce się

zawracało nad wspomnieniami żywymi, przedmioty zdawały się wzlatywać i kręcić dokoła. Domy, wzgórza, lasy, wszystko szumiąc odbiegało w tył, leciało gdzieś za mnie, tam... ku Wilnu. Oglądałem się i nic już widać nie było, a słyszałem jeszcze znajome mi dzwony w oddaleniu. Bądź zdrowe moje drogie miasto; moja skarbnico pamiątek, mój raj na chwilę utracony. A! muszę sobie przypominać, że jadę do matki, aby mi było mniej tęskno; że pisywać do niej mogę, że ona do mnie napisze, że wrócę, że się znowu zobaczym, jak dawniej, że będziemy kiedyś z sobą na zawsze... Na zawsze!

Uciekło już Wilno; oglądam się... nie widać; las ciemny dokoła; słucham, tylko szum jodeł i sosen; pusto, głucho, smutno. Czemuż przynajmniej jednym nie jadę ciągiem; ruch powozu mnie durzy, spoczynek nęka. Tak długo zaprzęgają te konie. A! przecież, jedźmy, jedźmy... wszak jadę do matki!

Nie! nie! nie ma nic w świecie straszniejszego nad rozstanie choćby na godzinę! nad samą myśl rozstania!!

2. *Lipca (Lida).*

Zrana poszedłem na stare zamczysko, wesoły śmiech rozlegał się po ruinach; byli to towarzysze moi, jak ja powracający do domu, ale z wesołą myślą, z uśmiechem. Mnie pochwyliło opowiadanie Bielskiego o Aleksandrowej wyprawie przeciwko Tatarom. Tak żywo stało mi przed oczyma, że mi się zdało, jakbym widział przed sobą wbłą na tykę głowę Tatarzyna, co przywieziona tutaj, pierwsza między zaufanych i niedowierzających, postrach mający wywołać męstwo, rzuciła. Stary kronikarz

tak żywo maluje te sceny panowania Aleksandrowego, że zdaje się, jakbyśmy mu byli przytomni.

A gdy ja dumałem o najściu tatarskiem, witali mnie zewsząd towarzysze, którzy z fuzyjkami czatowali ran-kiem na kaczki. Książki poszły w ką; cali teraz zajęci byli użyciem wolnego czasu, marząc o domu, sąsiadach, myśliwstwie i kuzynkach na nich oczekujących. Ludwik wprosił się ze mną jechać bo go wesołość towarzyszków męczyła, a on także potrzebował jak ja, uspokoić się, być z sobą. Co też się z nas wyśmieli! Ja uchodzę u nich zawsze za marzyciela i poetę, prześladowali mnie też Marją, z którą nie raz spotkawszy na przechadzce, łatwo się domyślili, że ją kocham. I Ludwika tam kimś prześladują; ale Ludwik źle pierwszą swą miłość umie-ścił. Wiem i ja coś o tem. Wspomnienie jest mu razem zgryzotą.

Wszyscy oni weseli, ja jeden oszalały od bólu, czemuż im nie zazdroszczę? O! są boleści skarbnice co rozszerzają serce, co podnoszą człowieka, z któremiby się nie rozstał nigdy z dobrej woli. Ja pielęgnuję moją.

10. *Lipca.*

Witaj mi spokojny domku, witaj.

Z wzruszeniem wszedłem na ciche progi twoje i ze-łzą w oku zobaczyłem znowu wszystko, co żyło w pa-mięci mojej.

Im bliżej ku matce, tem bardziej o nią niespokoj-ność moja wzrastała. Wczoraj nareszcie minąłem znajome miasteczko i dowiedziałem się o zdrowiu kochanej matki. Mówiono mi jednak, że się mnie nie spodziewa. Prześli-cznym wieczorem wiosennym dojeżdżałem, wspiąłem się,

aby co prędzej wierzchołki jodeł, topoli zobaczyć, serce mi biło.

Całe dzieciństwo moje wyszło naprzeciwko mnie i witało tysiącem wspomnień. Rozeznawałem znajome miejsca: oto krzyż nade drogą... meta dzieciennych przechadzek, tam w prawo rzeczulka nasza, w lewo wieżyczka parafjalnego kościoła. Nic, nic się nie odmieniło tutaj. Nad drogą też same mchem porośłe leżą siwe kamienie, też same stoją krzyże, białymi opasane fartuchami.

Już widać w ulicy domek nasz biały na ciemnem tle zielonych drzew, zdaje mi się, że rozeznaję ludzi przechodzących po dziedzińcu; mógłbym powiedzieć, co w tej porze dnia robią. Nie mogłem dosiedzieć w bryce, konie szły tak wolno, wyskoczyłem i pospieszyłem pieszo. Witałem się z drzewem każdym. Niektóre topole poschły, młode powystrełały do góry, też same różowe groszki, które tu dawniej zbierałem, kwitły nade drogą. To ogród starego Fabjana z pasieką i zielone zza parkanu patrzą jabłonie, na których tak smaczne rosną owoce. Coraz widniej mi na dziedzińcu, za szerokim mostem rozściela się zielona murawa, i brzozy w kupkę na niej zebrane, naprzeciw ganku z jedliną czarną rosnące. Jakże cicho i samotnie, nikogo coby mnie powitał. Psy tylko powstawały, popatrzały i zaszczekały, ktoś głowę przez okno wysunął, popatrzał, wychodzi.

To stary Fabjan tak mi się przypatruje ciekawie, nie poznał i kroczy, aby zejść drogę od domu. Ledwie słowo przemówił, krzyknął i porwał mnie w pół stary z radością.

— Julek! panicz nasz! Jak Bóg miły, panicz! — Razem z Fabjanem rówieśnik jego pudel Aport ciśnie

się do mnie, łapami obejmuje i wyje z ukontentowania. Wszyscy wybiegli z oficyn.

— A matka?

— Zdrowa panie, dzięki Bogu, siedzi u siebie; niechże pan idzie, to to będzie szczęście; bośmy się pana nie spodziewali. Ależ wyrósł i zmężniał.

Z bijącym sercem spieszę na ganek... przechodzim się, w której pocziwy zegar od tyłu lat jednostajnym przez niezmierną wieczność stąpa krokiem; w salonie pusto i jedno krzesło z miejsca się nie ruszyło. Twarz ojca tak samo patrzy ze ściany łagodnem obliczem.

— Kto tam? — znajomy głos odezwał się z drugiego pokoju.

— Fabjan pani i z gościem — dodaje chrząkając stary sługa.

Nie dałem czasu wstać matce i padłem jej do nóg. Ona z radości nie mogła się wstrzymać od płaczu. Dom cały przewrócił się w jednej chwili i rozruch powstał po wszystkich kątach.

Dowiaduję się teraz, że się mnie matka nie spodziewała, że mi nie posyłała pieniędzy na podróż; wszystko to są figle starego przyjaciela naszego. Matka błogosławi mi i dziękuje. Muszę jej opowiadać o nim, o sobie, o wszystkich znajomych i nieznanym, którzy się tylko mnie tyczą. Ledwie mam czas odetchnąć, zarzucony pytaniami, zakarmiony, zawitany. Co chwila wbiega ktoś ze starych pocziwych sług, których przyjaciółmi stosowniej nazwać by było, aby mnie zobaczyć, aby mi się przypomnieć. To Fabjan, to stara Gąsiorosia, to strzelec, to nieoszacowany Dulowski, ekonom jeszcze za mojego ojca. Gąsiorosia jakby przez przecucie napiekła mi ulubionych tłuczeńców, Fabjan ma doskonałe charty, na

moją intencję wprowadzone; Dulewski pamiętał, aby mi ujeździć wierzchowca; strzelec zapowiada nieporównane polowanie, bo wszystkie knieje od mego wyjazdu nie tknięte.

Móǳ Boże, jakże ludzi nie kochać? Jeśli w nich wiele jest zła, ileż więcej za to uczuć pocziwych i szlachetnych.

Do późnej nocy musiałem opowiadać matce, bo nienasycona była szczegółów! Odprawiła mnie całując w czoło, do mego dawnego pokoiku... Z jakim-że uczuciem powitałem moje stare mieszkanie.

Możnaż się dziwować przywiązaniu do żywych istot, gdy martwe miejsca nawet wywołują z serca uczucie ku sobie. Wiem, że z wzruszeniem przestąpiłem próg izdebki. Zastałem ją nieruszoną, i tak przygotowaną, świeżą, jakbym wczoraj odjechał. Dobra matka moja, powiada Fabjan, niemal co dzień chodziła i porządkowała.

Wszystkie moje znajome książki na półeczce, nawet ich kurz nie przysuł; Chrystusów wizerunek nad łóżkiem, też same na ścianach obrazki, strzelba moja w pokrowcu, moje biurko stare, nawet w puharze staroświeckim kwiaty, które lubię, rodzone braciszki przyjaciół mego dzieciństwa.

Pożegnawszy Fabjana, który się zabierał całą noc rozpowiadać mi, jak mu pszczoły odpadały, jak stary gniady żrebiec zdechł i pszenica wymokła... siadłem pisać do Marji. Sen mnie nie brał, dumałem jak rozkoszneby życie być mogło nam dwojgu przy matce... Wyszedłem na ogród powitać się z drzewami, księżyc właśnie wschodził nad szerokimi ługami, z których sine pary powstawały jak morze... Stare jodły, klony i kasztany szumiały spokojnie, powoli. Szedłem na ławkę

nad rzekę i przewodząc w pamięci moje rozkoszne wspomnienia, przesiedziałem do późna. Zbudziło mnie klekotanie bocianów niedalekie i turkot młyna.

Ledwie miał czas się ubrać, matka już była u mnie. Ledwie odeszła, Fabjan się przystawił ze smyczą chartów, strzelec chciał mnie zaraz na polowanie wyprawić, a Gąsiorosia po kawie tłuczeńcami nakarmić. Siadłem na konia powitać gaje nasze i pola; Dulewski na stępaku mi towarzyszył. Chodziło mu bardzo o to, abym jego gospodarstwo pochwalił; a ja byłbym się drogo opłacił, żeby mnie był samego zostawił. Musiałem słuchać historii każdego morga ziemi od czasu wyjazdu mojego. Koło wymokłej pszenicy zacytował wszystkie podobne w sąsiedztwie.

Jakby mi nic już do szczęścia nie brakło, gdyby tu jeszcze była Marja! Wczorajszy list nie odprawiony dotąd, dziś go drugie tyle przybędzie. Cięży mi na sercu, żem dotąd matce nie zebrał się nic powiedzieć, ale ile razy chcę to uczynić, jakiś niepojęty wstyd, bojaźń wstrzymują mnie. Któż wie, może to ją niepokoić będzie, może się przestraszy? za cóż mam ją trapić? Widzę, że jej Wrzosek nic nie pisał o tem, boby mnie już zapytała. Dziś, jutro, muszę jej przecie wyznać wszystko; może najlepiej będzie dać jej mój dziennik do czytania, nie chcę mieć tajemnic; tak będzie najlepiej. Jutro więc.

11. *Lipca.*

Musiałem dziś, pomimo znużenia i chęci odpoczynku w domu przy matce, ruszyć już w odwiedzinę. Ona sama żądała, abym powitał naszą krewną; mnie się

mniej do niej, niż do innych jechać chciało. Wiem, że mnie zawsze w myśli matka swata z Cesią, a samo to przypuszczenie teraz tak mi przykre. Cóż mi z tego, że podkomorzanka bogata; że piękne ma imię, że ładna! dla mnie jedna tylko jest Marja na świecie.

Ale matka chciała, musiałem jechać. Jak w naszym kątku wszystko po staremu, tak tu wszystko znalazłem wielce zmienione. Podkomorzy bardzo się coś posunął i postarzał, trudno mu dla podagry z krzeselka o kiju się ruszyć... Cesia wyrosła z dziecka na słuszną, nawet ładną panienkę, byłbym jej nigdy nie poznał.

I tu przyjęli mnie serdecznie. Stary bo nasz podkomorzy, najpocziwszy człowiek, i gdyby nie miał manji procesowania się wiekuiście o granice i zajmowania polityką gabinetów europejskich, których myśli już mu połapać trudno, bo to polityk z czasów pana Mikoszy, kochałbym go stokroć więcej! W ganku między kwiatkami spotkałem Cesię, ale długo zawahałem się, nim odważyłem ją przywitać, tak bardzo się odmieniła. Ona także zastanowiła się chwilę, nim mnie nazwała po imieniu.

Porwawszy mnie za rękę, poprowadziła do ojca.

— Jakże papa będzie rad Juljuszowi, jak będzie rad... chodź proszę, chodź.

Weszliśmy do gabinetu starego. Podkomorzy siedział w krześle znajomem u stołu, w czerwonej czapeczce na głowie i okularach na nosie, czytał właśnie ostatni numer „Kurjera Litewskiego“. Dookoła stały powiązane sznurkami zbiory gazet starych i fascykuły procesowe. Ekranik szyty przez córkę, poduszka na imieniny dana, stanowiły najpokaźniejsze sprzęty pokoju, w którym jeszcze staroświecka kanapka biało pokostowana i takież

stoliki, królowały od lat kilkudziesiąt. Podkomorzy chciał się ruszyć z krzeselka, aby mnie uścisnąć, tak się ucieczył przybyciem, ale nieborak nie mógł. Napytawszy się o mnie, o matkę, o podróż, posadził przeciw siebie i zagaił rzecz słowy:

— Cóż nam ciekawego *de publicis* przywozisz? Co słyhać w gabinetach europejskich?—Nie wiele miałem mu do powiedzenia, a Cesia bojąc się, aby ojciec nie wydał się śmiesznie ze swoją polityką, odwróciła rozmowę. Stary przecież nie dał się tak łatwo pokonać, i wciąż, albo mi swój ostatni proces graniczny opowiadał, albo wykladał system polityki gabinetów europejskich wedle swojej teorii.

Gdy córka wyszła, stary z figlarnie zmrużonemi oczyma wskazując na drzwi, spytał mnie:

— A co? mospanie, hoża dziewoja!

— Urosła i wypiękniała tak, że ledwie kuzyneczkę poznałem.

— Prawda, że urosła i wypiękniała co się zowie. Ale to są marności, uroda przechodzi! Gdybyś wiedział co za gospodyni z niej. Jak widzisz, ja z tą podagrą nie-szczęsną pokochawszy się, nie mogę wyleść z krzeselka, a to... mój sekretarz, komisarz, rachmistrz, kasjer i gospodyni. A na wszystko panie ma czas! Gospodarstwo idzie jak w zegarku, ludzi umie bez surowości utrzymać przecie w zbawiennym rygorze, słowem panie, cud dziewczyna, powiadam waści. To to będzie komuś żona, perełka, klejnot! bo rząd i ład wniesie do domu, fiu fiu jej nie w głowie, stroju nie lubi, fatałaszkę jej nie bawia, a grosz się z jej rąk nie rozlezie. Przy tem, dodaj waść, że to na całą okolicę najbogatsza panna. Po mojej śmierci dziedziczka klucza, co jak ziemia obiecana,

mlekiem i miodem płynie, bez egzageracji, bo trzysta krów się doi i trzy tysiące pni pasieki chowa się na zimę. A tymczasem pod poduszkę mosanie wyliczę gotowizny, którą mam na zawołanie, sto tysięcy talarów! Poszukaj waść takiej drugiej, a przy takich przymiotach, kata zjesz, żebyś znalazł o sto mil.

Mówiąc to, stary gładził siwego wása. Nadjechał z Łucka adwokat, z którym potrzebując się naradzić, podkomorzy mnie wyprawił.

— Idź waść, panie Juljuszu, na herbatę do salonu z Cesią. Znajdziesz tam starą kuzynkę naszą, panią krajczynę Ziółkowską, która nam towarzystwa dotrzymuje, i powiedz Cesiuni niechaj ci też pochwali się gospodarstwem, ogrodem. A nie odjeżdżaj proszę, nie widząc się ze mną, bo ci mam ważną zrobić uwagę względem polityki angielskiej w Indjach.

Przeszedłem do salonu. Trochę był odświeżony od czasu jak go widziałem, ale nie wiele się przecież odmienił, czystość i porządek w całym domu prawdziwie holenderskie. Cesia i krajczyna czekały już na mnie. Stara rezydentka bardzo się posunęła i silnie ogłuchła, zawsze jednak chodzi w czepeczkach z pąsowemi wstęgami i buzię sznuruje na pamiątkę dawnej piękności. A jak jej biedaczce powyrastały brodawki! Jedyna to podobno część ludzkiej pówłoki, która jak mech na drzewach w jesieni, na starość najżywiej wyrasta. Widząc wiedeńskie przepyszne piano w salonie, pokryte skórzaną deką, chciałem Cesię zaprosić do niego, ale mi się wymówiła, że nie strojone od dawna, bo grać nie ma czasu i muzyki wcale nie lubi. Chciałem także pomówić z nią o książkach, ale mi nie dotrzymała i poszła gdzieś z kluczykami. Za powrotem szerokośmy prawili

o pszenicy i wymokłych polach tegorocznych; o cenach zboża, o nadziei podniesienia się wartości wełny i t. d.

Ta postać niewieścia dziwną jest dla mnie i wielką sprzeczność stanowi z ideałem kobiety, jaki wymarzyłem. Z powierzchowności jest wdzięczną, miłą kobietą, a zdaje się jednak żadnego uczucia niewieściego nie mieć. Kiedy spojrzy, rzekłbyś że jej oczy o czymś zaświatowym, niebieskiem mówią, uśmiech ma melancholiczny, prawie smutny, ruch choć trochę sztywny, przecież zręczny, strój pełen prostoty; dla czegoż taką prozą gospodarską żyje cała? Staralem się ją zbadać co lubi... pokazało się, że wszystko prawie dla niej obojętne, prócz gospodarstwa i rzędu domowego. Mówiąc o ogrodzie, utyskiwała, że wiele pańszczyzny wychodzi na utrzymanie ścieżek i klombów, a najlepsza ziemia pod trawnikami się marnuje; literatury nie lubi, muzyki zapomniała. Żyje więc cała gospodarstwem, kuchnią życia. Nie darmo chwalił ją podkomorzy, widzę, że zasługuje na pochwały. Serce ma dobre, widziałem jak przybyłą ubogą szlachciankę obdarzyła groszem, suknią i chlebem, jak się czule koło niej krzątała, co więcej znaczy niż datek. Miałaby na wieki pozostać zamkniętą dla wszelkiej myśli większej, dla uczuć na niej wyrastających; miałaby tak spokojnie, w niewiadomości innego świata przejść cały zakres swój?

Z wielką troskliwością wypytywała mnie o matkę, o jej zdrowie, o nasze gospodarstwo, użalając się razem, że, jak słyszała, jęczmiona u nas bardzo licho się okazały. Poszliśmy potem do podkomorzego, który właśnie przy swojej kawie poobiedniej jedyną lulkę tureckiego tytoniu powoli pykał. Adwokat już był odjechał, stary jednak wciąż przemyslał o procesie.

— A cóż Cesiuniu, byliście gdzie z Juljuszem, pochwałałaś się mną gospodarstwem, ogrodem?

— Gospodarstwem nie było czasu, byliśmy tylko w ogrodzie.

— Szkoda! byłby cię choć pochwalił, jeśli się co zna na tem, bo może za nauką, to mną tam nocje wszelkie naszej gospodarki wywietrzały. Ja, panie, ledwie interesów mogę dopilnować i z temi nieszczęsnymi procesami się uporać. Kalkuluj, że mam ciężki graniczny spór o kawał lasu z sąsiadem, z którym rady dać nie mogę. Słuszność za mną. Dyferencja odwieczna, na mapach wszędzie oznaczona, używalność nasza od niepamiętnych czasów, przecież się procesuje dowodząc... ale właści to może mało obchodzi? A miałem ci coś powiedzieć ważnego o polityce angielskiej w Indjach, posłuchaj tylko. Jest to myśl moja, ale sam zważyysz jak głęboka.

Tu mi dowodzić począł, jak niebezpieczną dla Europy jest przewaga Wielkiej Brytanji w posiadłościach kompanji wschodnio-indyjskiej. Trwało to do zmierzchu, wyrwałem się nareszcie i pospieszyłem do matki; pocziwa Cesia wstawić mi kazała kosz kalafiorów, które matunia lubi bardzo. Wdzięchen jej jestem za pamięć. W istocie będzie to najlepsza żona... ale nie dla mnie! Co za różnica od Marji. Mógłbym wyżyć z kobietą, z którą mówić nie ma o czem, z którą się myślać nie sposób podzielić?

12. Lipca.

Przyniesiono z poczty list! Serce mi biło, sądząc, że od niej, ałem się omylił; jest to pisanie pocziwego Wrzoska, który się dowiaduje jak dojechałem. Słowa

mi nawet nie napisał o niej stary, Nielitościwy. Piszę znowu do Marji, piszę codzień, a za kilka dni wyszlę jej nie list już, ale cały dziennik moich myśli i uczuć. Bodajby uwierzyła ich szczerości i zaufała mi chciała. Jutro dam dziennik mój matce; niepewność ta mnie dręczy, muszę się przecie raz dowiedzieć, co ona o tem myśleć może, muszę jej wyznać wszystko. A jednak drzę, sam nie wiem czemu, na to; nie chciałbym jej zasmucić, boję się. Strzelec wywołuje mnie gwałtem na polowanie, dla niego więcej niż dla siebie pojechać muszę.

14. Lipca.

Stało się jak przewidywałem: matka wzięła z sobą zostawione umyślnie na stole, gdy jechał na polowanie, kartki początkowe dziennika. Powróciwszy znalazłem ją już przy świecy, z rozognioną twarzą i pałającymi oczyma doczytującą.

— Daruj mi Juljuszu, — rzekła powstając poważnie, żem poczęła czytać nie spytawszy się ciebie, czy ci to przykro nie będzie; ufałam w to że dziecię dla matki mieć nie powinno tajemnic, bo nie ma tam przywiązania gdzie są skrytości. Przekonałam się z czytania, że notatki twoje były i dla mnie przeznaczone; nieraz spłakałam się nad niemi; pocziwe, dobre jesteś dziecię. O! jakżem się lękała tej jenerałowej twojej, jakem była wdzięczną kochanemu Tadeuszowi naszemu, co jak anioł stróż czuwał nad tobą.

— I nic nie masz przeciwko Marji, — zawołałam klękając i całując jej ręce.

— Płakałam i nad tem — odpowiedziała, — siadaj mój drogi i mówmy z sobą jak przyjaciele, jak matka i syn mówić powinni. Moim obowiązkiem jest czuwać nad szczęściem twojem, a gdy ty szukasz go w uczuciu, wskazać ci przynajmniej, że jednym uczuciem życia całego zamknąć nie można; kocham twoją Marję, podoba mi się, ale boję się o was oboje.

— Mamo! i ty mi więc nie wierzysz?

— Moje dziecko, któżby ci nie wierzył? Ale ty sam jeszcze nie wiesz, co dla ciebie leży w przyszłości. Któż pewien być może, że młode twoje, czyste i śliczne przywiązanie nie odmieni się? A wówczas! a! nie mówmy o tem lepiej. Pamiętaj o tem także żeśmy nie bogaci, że ledwie mierny mieć będziesz majątek, nie wiele mogłam ci go przysporzyć.

— O! będzie mi go aż nadto!

— Dla ciebie, może; ale zniesieszże aby twe dzieci mniej jeszcze miały, abyś im losu pewnego, zabezpieczonego nie zostawił? Ty, dziecko drogie, od dzieciństwa, jesteś cały w marzeniach i uczuciach. W mojem może ślepem sercu matki zdawało się i zdaje, że nie aniołka coby ci latać pomagał od ziemi, ale dobrej, czulej, troskliwej potrzeba ci żony, coby za ciebie o wszystkim myślała, coby cię oswobodziła od dziennych kłopotów swoją pracą, coby czuwała nad tobą jak nad dzieckiem. Twoja Marja poetyczna, muzyczka, marzycielka jak ty; a mój drogi, dla serca twojego może najlepszą przyjaciółką; dla przyszłości, jej za mało. Kto nad wami czuwać będzie, gdy mnie nie stanie?

— Pan Bóg. I nie myśl droga mamó, żebym dla marzeń wyrzekł się jakiegokolwiek pracy, bodajby najprzeciwniejszej moim upodobaniom.

— Będziesz chciał, pracował, męczył się, i nic nie dokążesz. Ludzie się rodzą, mówiono, do ziemi lub do niebieskich dumań o niej, do badań nad nią. Obojgu wystarczyć niepodobna. Słuchaj jednak Julku, ja ci radzę, ale ci nic nie rozkazuję, nic nie narzucam; ja cię proszę, poczekaj.

— Prośba twoja... rozkazem. będę cierpieć i będę czekać.

Matka znowu zapłakała.

— O! gdybym wiedziała, — rzekła, — że wam nigdy nie da się uczuć ciężki niedostatek, że żałować nie będziesz, jakbym chętnie was pobłogosławiła.

— Moja mamó, nawzajem pozwól mi, — odezwałem się, kilka tylko słów przemówić za sobą. Przywykliśmy patrzeć na życie, poczynając od troskliwego zapewnienia się o dostatku dla ciała; chcemy tylko rachować na siebie, a nic na opatrność i na Boga. A codzień widzimy jak to kruche rachuby, jak najpewniejsze, najsilniej zawarowane od niedostatku egzystencji kończą się nędzą prawie. Iluż uboższych od nas żyje i wznosi się, a ilu bogatszych upadło?

— Wszystko to prawda mój drogi, ale mnie twoje uwagi nie zaspokoją. Powiem ci wreszcie, wszak to niczem wiązać cię nie może, inne miałam projekta dla ciebie.

— Domyślałam się ich mamó.

— Tak, chciałam cię ożenić z Cesią. Dobra, gospodarna, pracowita, z sercem prostym ale pewnem dziewczyna. Zdawało mi się, że z nią tyś powinien być szczęśliwy.

— Nigdy mamó; szacuję ją, ale kochaćbym jej nie mógł.

Matka spojrzała tylko na mnie i zamilkła.

— Próżne to były marzenia, — dodała po chwili. — Z nią jednak zostawiłabym cię spokojna o przyszły byt wasz.

— Bogata, prawda, — przerwałem — piękna, dobra, ale droga matuniu, ja czegoś więcej chcę; ani majątku, ani wdzięków nawet, tylko duszy, duszy, serca.

— Rozumiem, to czego ty chcesz w kobiecie najwięcej w niej się łączy z płochością (co nie daj ci Boże spotkać), czasem z dumą, która od wszelkiej pracy i spełnienia obowiązków uwalnia. Mój drogi, świat nie jest krainą waszych ideałów, ale smutnym padolem płaczu, ziemią rzeczywistości nagiej i ułomnej; niedoskonałością i grzechem. Nie szukaj na nim idealnego szczęścia, bo go nie znajdziesz, dość gdy ci Bóg da pokój i trochę swobody.

Smutno te słowa tyle razy już słyszane, w które nie chcę wierzyć, brzmiały mi w uszach znowu wyrzeczone przez matkę. Teraz od niej, głębiej niż kiedy wpiły się we mnie, poczułem rozczerowanie, chłód obejmujący mnie i tę jakąś rozpaczliwą tęsknotę, zmęczenie, od których mnie wiara w przyszłość wprzód broniła.

Świat ten więc jest tylko drogą bolesną ku drugiemu światowi, krzyżowym pochodem na Golgotę. Za nic więc spodziewane szczęście, za nic nawet wielkie heroiczne męki, które marzyłem; męczarnią żywota będzie prozaiczne, drobne klucie szpilkowe, na które poskarżyć się nie można; będą ohydne nikczemnostki, brudy, poczwarne stosunki. Trzeba więc utonąć w prozie i żyć w niej, trzeba zgłupieć koniecznie. O jak wymowna jest bajka starożytnych o Ikarze. Każdy z nas podleciawszy wysoko, najwyżej, pod samo słońce, odgrzał swe skrzydła

i upada na brudne morze. Wszystko więc znikczemnieć, zmaleć nam i spowszednieć musi, we wszystkim mają się znaleźć plamy?...

Nie! nie! stokroć nie. Nie chciałbym żyć takim życiem. Dla czegoż w duszy mojej ciągle gra coś idealnego, dla czego Bóg położył w niej znamię niebieskie?

Starzy to tylko nas tak straszą; i że im dusza zaziębla, chcą nas przedwcześnie ochłodzić. Na matkę moją wpłynąć musiało przekonanie pana Wrzoska, on pewnie pisał do niej; inaczej onaby się nie sprzeciwiła mojemu szczęściu.

Jutro wyprawiam list do Marji, nie chcę ją martwić rozmową naszą, donoszę tylko żem mówił z matką, że nie jest przeciwna, że radzi (ale radzi tylko) poczekać. Dodam, że i tę radę musiał bojaźliwy nasz podać przyjaciel.

15. *Lipca.*

Cały dzień dzisiejszy spędziłem w lesie, pocziwy Ilnat zaprowadził mnie w głębokie knieje i postawił na najlepszym stanowisku; dziwił się że nic nie zabiłem; a ja nawet nic nie widziałem. Lepiej mi w lesie, mogę myśleć bez przerwy, a są chwile, że człowiek łamać się z sobą potrzebuje. Wróciłem późno, zastałem Cesię z krajczyną. Nie było o czem mówić z moją drogą kuzyneczką, która całą swoim gospodarstwem zajęta i niem się tylko zapala; dla mnie to rzecz cał obca. Podkomorzy prosi mnie przez usta Cesi, abym przyjechał do niego. Znalazł coś ważnego w gazetach, czem się ze mną podzielić pragnie.

Szczęściem o dziewiątej rozeszliśmy się, a ja mogłem resztę wieczora spędzić w ogrodzie. Mój Boże, jakże mi żal było tych ludzi, którzy zasypiali widok jednej z najcudniejszych nocy. Ja tylko i stary strzelec Ihnat nie spaliśmy we dworze, zastałem go na progu chaty za ogrodem siedzącego, zadumanego, spartego na rękę, wpatrującego się w rzekę i dalekie lasy.

— Cóżto, nie spisz jeszcze? — zapytałem.

— O! sen bo nie bierze, panicyku. Noc tak piękna, ptacy się odzywają, drzewa szumią, miesiąc świeci, człowiekowi chce się popatrzyć i podumać.

Stary ten, częściej będąc sam na sam z widokami przyrodzenia, nauczył się widzieć ich piękność, ich pięknoscią rokoszować. A gdy nasz cywilizowany świat szuka szczęścia w poduszkach, on słucha głosu ptaków, szumu lasów, mrużenia wody i chodzi myślami dalej niż oni, dostaje się jak po stopniach, po myślach swych, do tronu Bożego.

— A wy panicyku, — spytał stary, — co tak nocką chodzicie i dumacie?

— I mnie jak tobie, — odpowiedziałem, — piękna noc spać nie daje. Jak bo to zasnąć kiedy świat taki śliczny. Ot, popłynęlibyśmy po rzece, gdybyś powieźć mnie chciał a obijanik znalazł.

— O! już to obijanikiem ciężko, ale czółenkiem bezpiecznem, kiedy chcecie?

— Czem ci się podoba.

Ihnat wziął z za drzwi wiosło i powiodł mnie ścieżynką między kępami, sitowiem i oczeretami, do zatoki wiodącą, gdzie do pala przywiązane kołysało się czółenko. Szelest naszych kroków spłoszył stado krzyżówek, które szelepiąc skrzydły poleciały i padły na rzece.

— Ot! gdyby fuzja! — rzekł Ihnat, — taka noc miesięczna.

Płynęliśmy dalej. Roskoszna to była przejażdżka. Głosy nocy uroczyste jej towarzyszyły; pieśni ptastwa, szumy drzew i trzciny, plusk wody, szamotanie się wiatrów przelatujących po nad głowy; a potem cisza, cisza. I z niej, jak z ciemności, występowały potem znów kolejno głosy, dźwięki jak różnobarwne światełka, zlewając się w harmonijną całość. Zdawało się, że ptacy, jak strażnicy nad uspionemi wartowali i podawali sobie hasło, bo ledwie jeden się odezwał, za nim wszyscy kolejno, aż daleko gdzieś *decrecendo* cichły wołania nie dosłyszane.

Nie! natura nie jest poczwarną macochą ducha; ona jest czułą matką, ona jest piękną, cudowną.

Zapomniałem o moim smutku, utopiwszy go w kontemplacji nieporównanej tej nocy. Woda rwała oczy do siebie. Tam gładka jak szyba szklanna, odbijała najmniejszy listek, indziej zmarszczona fałdowała się w srebrzystą pianą dzierzgane frendzle, w marszczki drobne, których wierzchołki połyskiwały. Tam niebo, tam lśnił się w niej księżyc, a na powierzchniach rysowały się nurty, czerniały liście sagitarji i nimfców żółtych i białych, z pozamykanemi na noc kielichy; powietrze napełniała woń nie opisaną, która także obudzała myśli. I powonienie czasem uderza aż o duszę. Była chwila takiego jakiegoś natężonego we mnie uczucia, że mi się zdawało, iż ot, ot, mowę powietrza, wiatru, ptastwa, ziemi, zrozumieć, pojąć... że mi się otworzą zamknięte organa jakieś i błysnie potężny świat tajemnic... Serce wybiegało naprzód szukając tych drzwi do raju, niestety! na wieki dla ludzi zapartych!!

Dumałem, przysłuchiwałem się, modliłem uwielbieniem!!

Nie chciało mi się wysiadać z czółna; ale stary Ichnat bojąc się by mi przydługa nie zaszkodziła przejażdżka, gwałtem prawie na brzeg wysadził.

— Czas bo spać paniczku i wilgoć na dworze, a pani jak się dowie, gotowa się gniewać na mnie.

Musiałem go posłuchać.

16. *Lipca.*

Próżno posyłam na pocztę; nie ma nic od Marji, trzy już listy pisałem, w trzecim ośmieliłem się prosić profesorowej, aby mi doniosła co się dzieje. Jestem niepokojny; ci ludzie odebrali mi wiarę, drzę żeby mnie nie spotkało jakie nieszczęście.

Dwa tygodnie mija od mojego wyjazdu z Wilna; gdyby w dni trzy, cztery napisała, jużby mnie list jej dojść powinien. Nie pojmuję. Wierzę 'jej, ufam przywiązaniu, bo to pierwsze, święte i serdeczne zaślubiny, których pamięć pozostaje do śmierci; ale któż wie. Ona co się lękała słowem przywiązać mnie do siebie, co nie chciała moich przyrzeczeń, abym był swobodny; może boi się także pisać, pomimo że mi przyrzekła.

Matka mi wymawia mój smutek. Trudno o wesele teraz.

— Ty ją więc bardzo kochasz? — pytała mnie wczoraj wieczorem, gdy mi dawał dobranoc. — Kochasz już nawet więcej niż matkę, bo ja cię nawet po chwilowem od niej oddaleniu utulić nie mogę. Mój drogi Juljuszu, bądź spokojny, nigdy do szczęścia twojego nie

będę zawadą. Ale daj Boże, aby ci przyszłość taką była, jaką ją marzysz.

Wszyscy mają na sercu żeby mnie rozerwać; muszę udawać zapalonego myśliwego, aby się niby bawić polowaniem. Tam jestem sam i swobodny. Jutro muszę znowu jechać do podkomorzego i słuchać procesów, polityki i gospodarstwa. Jak ci ludzie wyżyć mogą? Nie dziwię się starcowi, bo ma sztuczny interes w życiu, wyrobiony zajęciem, polityką i procesami; ale Cesia, tak młoda i tak prozaicznem zaspokajająca się życiem?

17. *Lipca.*

Znowu list od Wrzoska, a żadnego od niej! Cóż się tam dzieje? Czasami porywa mnie chęć szalona sięść na koń i lecieć czwałem do Wilna; a tu jechać potrzeba do podkomorzego i Cesi.

Cały dzień strawiłem z nimi.

Stary jeśli nie o polityce, jeśli nie o procesie, to o córce mówi. Cały objad wychwalał jej znawstwo na kuchni i gospodarstwie. W istocie objad był prawie wytworny; Cesia tryumfująca. Biedne dziewczę! co za życie. Tak świeża, tak ładna, tak dobra, a tak zupełnie nic nieznająca! Chyba zakochany mógłby ją sobie wyidealizować. Miałem za sąsiada u stołu niezmiernie grzecznego kawalera, zapewne pretendenta do Cesi. Skończył szóstą klasę, ubiera się smakownie, perfumuje wymyślnie i czyta francuskie romanse, ale o żadnym ważniejszym przedmiocie sądzić nie potrafi sam przez się, do każdego sądu dodaje: tak mówią w Paryżu, tak lubią w Paryżu, tak utrzymują w Paryżu. Pan Cousin

zdaje mu się arcy-filozofem, a Hugo arcy-poetą; reszta świata jest mu zupełnie nieznana, nawet z nazwiska. O kim nie czytał w *Revue des Deux Mondes*, o tym pewnie nie wie.

Podkomorzy ceni go ze trzech wiosek, które są w ekspektatywie, ale sądzi o nim z tą dziwną trafnością, z jaką częstokroć prości nasi starzy oceniają instynktowo ludzi.

— To mości dobrodzieju aktor, — powiedział mi na ucho; zważaj tylko, jak wszystko robi dla popisu, a nie z własnego uczucia. Przyszłość jak na dłoni. Straci co ma, ożeni się i skapcanieje. Głowa pusta, a łąta się cudzem.

Łatwo się domyśleć, że do Cesi trudny był przystęp; ona wieśniaczka, słuchała z uszanowaniem konceptów naśladowanych z *Charivari* i *Korsarza*, ale ich nie rozumiała wcale i serdecznie się nudziła.

Ku wieczorowi odjechał kawaler nazad; mnie kazano się zostać.

— Nie takiego fircyka dam za męża mojej Cesi, — odezwał się podkomorzy. — Nie mam ochoty zbyć się jej z domu, a gdyby nawet za mąż poszła, położę za warunek mieszkanie razem. Muszę więc wybierać sobie zięcia i jej męża; podwójna trudność. Ale Cesia młoda, czasu dosyć. Spoglądał na mnie, jakby słówka wywoływał, ale ja milczałem. Przywieziono gazety z poczty i rozstaliśmy się. Cesia przeprowadziła mnie ulicą za dwór.

Nie mając o czem mówić, począłem ją zlekka prześladować pretendentem.

— Daj mi pokój Juljuszu, — odpowiedziała obojętnie, — gdzieżby ten Francuzik mógł się zająć taką jak ja prostaczką. — I uśmiechnęła mi się figlarnie. — Nie

pójdę za męża, — dodała, — ojcu jestem potrzebna, a nowe obowiązki mogłyby mnie od niego oddalić. Stary mój kochany ojciec nie obszedłby się bez swojej gospodyni.

— Bóg ci za to przywiązanie dobrym mężem nagrodzi, — rzekłem, — zobaczysz! Ja cię wyswatam.

— Ty? — i spojrzała na mnie dziwnie. — Za kogo?

— Zobaczysz, ja ci sam kogoś wyszukam.

— Dobrze, dobrze, wezmę go na twoje słowo kuzynku.

Daliśmy sobie dobranoc, siadłem na karego i ruszyłem dla rozerwania się czwałem. Ciemno już było prawie, ale droga znajoma i gładka, koń pewnych nóg, a co najwięcej, żem o tem wcale nie myślał; zachciało mi się ruchu, szalu, po kilku godzinach odrętwienia.

Na trakcie, którym werstę jechać potrzeba nim się ku naszej wiosce zawróci, spotkałem towarzystwo złożone z kilku kobiet i mężczyzn. Wszyscy konno jechali, ale powoli, rozmawiając, śmiejąc się. Postrzegłszy mnie pędzącego czwałem bez pamięci wypuścili konie także; może aby ich sprobować. Odważne panie nie straszyły się wcale tej pogoni. Znalazłem się w dziwnem położeniu; wyścigający z nieznanymi, ale mój jęki nie zrobił mi wstydu, chociaż z początku wyprzedzili mnie o kilka kroków, jam ich potem zostawił daleko za sobą. Zwolniłem kroku i począłem jechać stępo, ciekawy byłem przypatrzeć się im zbliska. Równa ciekawość musiała ich napędzić także, zrównaliśmy się. Widziałem jak mi się ciekawie przy zmroku przypatrywali i coś między sobą szeptali.

— Pański koń nasze zawstydził, — odezwała się jedna z kobiet.

— Mnie chyba, — odpowiedziałem, — bo ze wszech

miar należało mu się przez grzeczność dla pani dać wyprzedzić. Ale koń młody, nie mogłem go w porę zatrzymać.

— Dobry biegus — rzekł jeden z mężczyzn, — pozwoli się pan zapytać, czy nie jest do zbycia?

— O! nie, sam go potrzebuje.

— Szkoda, byłby dobry do chartów, — przerwała kobieta.

Zdziwiła mnie trochę w ustach kobiety ta uwaga.

— Pan zdaleka? — zapytała druga.

— Owszem, jestem na własnej ziemi, odpowiedziałem zwracając na prawo ku dworowi i życząc dobrej nocy towarzystwu, puściłem karego kłusem.

Uważałem że pojechali dalej traktem.

Matkę zastałem jeszcze oczekującą na mnie; na pytanie o spotkane towarzystwo, powiedziała mi, że to są nowi sąsiedzi z Drzewnej, nie dawno kupili majątek, mieszkali wprzód w mieście, że nikt ich na wsi nie zna jeszcze; że dziwnie ich obyczaje opisują. Ojciec, dwóch synów i dwie córki; wszyscy jeżdżą konno, zapamiętali myśliwcy, czas pędzą na łowach lub w stajni. Powiadają że bogaci, nie byli jeszcze nigdzie i nie poznali się z nikim. Przypomniałem sobie, że mi Ihnat mówił o kilkakrotnych napadach na nasze lasy od Drzewnej, nawet sforę gończych im zabrał, o którą się nie upominano. Każe ją jutro odesłać.

20. Lipca.

Dzięki Bogu, choć słówko! Cały dzień się niem cieszę, przeczułem je od rana, nie wiedziałem jak nagrodzić temu, co mi tę pocztę przywiózł. Będę o nim pamię-

ta! O! warto długo cierpieć, aby uczuć taką radość, jaką mnie przejmuję. Noszę na sercu tę drogą kartkę, jej ręką pisaną. Czemuż tak kruciuchno? czemuż tak nie wiele o sobie? czemuż zawsze tak smutnie?

Nie chciałem nic o tem mówić matce, onaby może za złe jej to wzięła, za płochosć, za nierozwagę; musiała wyczytać, domyśleć się i ciągle pytała mnie o przywiezioną pocztę.

— Jeden tylko list? od kogo?

— Domyślam się, — dodała, — nie mów już, kiedy ci to przykre. Ale mój drogi, pamiętaj, im bliższe związki, tem obowiązki świętsze zaciągasz. Możeszże ręczyć za serce swoje? Jeśli ci uwierzy, uczynisz ją na całe życie nieszczęśliwą; jeśli ostygły, zechcesz spłacić dług, sam siebie poświęcić będziesz musiał. Obojgabym nie chciała.

Nie mogłem się oprzeć, wyjąłem jej list i dałem matce. Czytała go z rozrzewnieniem, ta smutna a poważna rezygnacja, przy jawnem przywiązaniu, ta gotowość na poświęcenie, przejęły ją. Położyła list i zamysliła się. Nie dziwię się że ją kochasz, rzekła po chwili, a boleję nad tem dla was obojga. Bóg niech wam obmyśli co wie że lepsze, ja nic już radzić nie będę, bo w szczęście nie wierzę, — dodała biedna ze łzą w oku.

Z dumą pochwyciłem list Marji; napiszę jej słowa matki, może ją choć to pocieszy. Ona tak uporczywie nie chce także uwierzyć w przyszłość.

21. *Lipca.*

Wiele prawił o tem Montesquieu, jak klimat przeważnie wpływa na człowieka; powtarzano za nim uznaną prawdę. Wszakże w tym wpływie wiele jest przesadzonego. Sensualiści zwykli więcej przypisywać wszelkim wpływom ciała na ciało, niż duszy na duszę. Wpływ klimatu, jak uważał jeden z późniejszych pisarzy, najwięcej się objawia pośrednio. On rozprasza ludzi pod gołym niebem, lub na długie czasy zamyka ich w ciasnem mieszkaniu; ztąd odmienne wcale stosunki, ztąd osamotnienie lub towarzyskość i zbliżenie ludzi, a za niemi wcale odmienne obyczaje i myśli. Przyszło mi to na myśl, zastanawiając się jak na ludzi wpływa, jak ich odmienia mieszkanie na wsi lub w mieście. Jeden człowiek w tem dwojakim życiu musi się zmienić. W mieście, ciągle ocieranie się o ludzi, brak widoków przyrodzenia, zapatrywanie się na dzieła przemysłu ludzkiego dają zbytnią wiarę człowiekowi w człowieka, oddalają go od Boga, przyzwyczajają w drobnych przyczynach widzieć powody wszystkiego; odbierają mu wszelką idealność, poetyczność. Na wsi, mój prosty Ihnat obcując z lasem, wodą, naturą, widzi Boga ciągle; majestatyczne burze, niepohamowane zalewy siłę mu jego objawiają, dusza jego olbrzymieje; dla tego mówi językiem poetycznym, widzi wszystko ze strony poetycznej. Mniej obcując z ludźmi nie rozprasza się ciągle, potęguje w sobie będąc z sobą i uczy myśleć.

W mieście nie mają myśleć czasu, a nie jeden za pracą, za hałaśliwą zabawą, za spoczynkiem ospałym gwałtownie potrzebnym, nie zastanowił się nigdy nad

sobą, nie podumał nad tem co go najżywiej obchodzić powinno. Ciągłe widoki ruchu, gwaru, nie dają spocząć myśli i zwrócić się w siebie.

W mieście przez obcowanie z ludźmi, rozwija się człek na zewnątrz, uczy lepiej stosunku do ludzkości; na wsi jest w stosunku z sobą i duszą swoją. Ztąd wielkie odróżniające cechy mieszkańców miast i wsi. Wszelka tak zwana dzicz więcej ma w sobie poezji od cywilizowanej na pół miejsczyczyny. Chciałbym żyć na wsi. Miało musi powoli ścierać z człowieka wszystkie rysy szlachetniejsze; nawyka do tajenia się, do niewstydu, do obojętności na wszystko. Nawet widok śmierci, tej katastrofy uroczystej, przejścia w świat drugi, z którą tysiące węzłów się zrywa tak nagle i niepowrotnie, przestaje działać na tych, co ją widzą ustrojona, dzień w dzień idącą z muzyką i chorągwiami do grobu; a za nią jak za okrętem zamykające się fale żywego oceanu.

Gdyby tu Marja była! Ona przeczuwa wieś i tęskni do niej; razem z nią przypatrywalibyśmy się cudnym widokom przyrodzenia, razem czytaliibyśmy, grali i dumali. O! co za życie. Ty Boże, coś tyle stworzył cudów, nie możesz dać człowiekowi na chwilę takiego szczęścia o jakim marzym, do którego tęsknim? Dla czego wszystko nas przestrasza i odejmuje ufność w Ciebie? Dla czego najlepsi z ludzi nie wierzą w szczęście i pielgrzymują z spuszczoną głową i smutnem obliczem?

Codziennie mówię o tem z matką, ale ją nieszczęścia dawne bojaźliwą uczyniły. Strata męża, dzieci (bo nas było kilkoro) odebrały odwagę na zawsze. Modli się i spodziewa, ale nie w tem życiu. Przecież, kto żąda tak nie wiele jak ja? Cały wieczór byliśmy sami z matką.

— Młodemu twemu sercu, — mówiła, — cały teraz

świat zamknięty w jednym przywiązaniu, ale to piękne i szlachetne uczucie nie jest przecie celem człowieka, ani jego najwyższym dobrem. Słusznie ci mówił Wrzosek, potrzeba być użytecznym ludziom naprzód, doskonalić się samemu, szczęście serca idzie dopiero za tem.

— A pogodzić się z tem czyż nie może? Człowiek uspokojony na sercu tem chętniej dopełni obojga warunków.

— Nie, dziecię moje, człowiek szczęśliwy ucieka w głąb siebie, aby używał tego co posiada, łatwo on zapomina o obowiązkach. Trzeba być całkiem swobodnym, aby się poświęcić ludzkości, lub udoskonaleniu siebie. Jam kobieta, ale czuję to przecie. Dla tego u nas najpiękniejsze powołanie duchownego, co się święci dla ludzi, wydziedziczone jest ze związków, coby je krępować i do ziemi przykować musiały. Szczęście odbiera człowiekowi siłę i usypia go. Miałżebyś mój Juljusz, z twemi talentami i piękną duszą, zagrześć się na wsi i żyć tylko sobie?

— Nie, matko droga, ale zdaje mi się, że ani własnemu udoskonaleniu, ani użytecznemu wpływowi i usługę społeczeństwu, nie przeciwi się ciche szczęście domowe, którego pragnę. Gdy będę spokojny, wówczas dopiero potoczę wzrokiem do koła siebie swobodnie i rozpatrzę się w tem, co mam czynić.

Matka zamilkła.

— Rzecz nieuchronna, — dodała, — ty musisz uczynić co ci się zdaje do szczęścia prowadzić, ale nie daj Boże, bym była prorokiem, będziesz żałować później. Odezwie się co teraz w duszy zamarło i westchniesz za utraconą swobodą.

Zegar w sieniach wybił dziesiątą, stary Fabjan przy-

szedł z lampką do pokoju matki, dając znać, że czas nam się rozejść; rozeszliśmy się, nie umiając zgodzić na jedno. Do późna czytałem Wilhelma, Goethego. Życie! wielka zagadka! Goethe... pisarz wielki!

30. *Lipca.*

Co trzy dni posyłam na pocztę; nie ma i nie ma znowu nic od niej. Lękam się o jej zdrowie, drzę cały; Wrzosek pisuje, ale nie donosi, przecież gdyby co okropnego, (na myśl samą drzę i stygnę), możeby mnie uwiadomił! Milczenie wszakże coś znaczy. Miałaby list zastrzegnąć gdzie na pocście. W głowie mi się przewraca! I obcy człowiek zimny, szyderski, rozłamałby pieczętkę aby naśmiewać się z czystego jej uczucia, aby je poplamieć brudną myślą. Nie, nie, przypuszczać tego nawet nie mogę, tak mnie to burzy i nęka.

Dobra Cesia była wczoraj u nas, chodziliśmy po ogrodzie.

— Co ci to kochany kuzynku, — spytała ze swą zwyczajną pogodą i spokojem, zwracając ku mnie jasne, śmiejące się oczy. Dawniej byłeś weselszy; teraz ja, matka twoja, mój ojciec, wszyscy postrzegamy, żeś smutny, zamyślony, jakby ci co ciążyło. Nie śmiem ci się dopominać ufności dawniejszej? przecież, mówią, że wypowiedziawszy smutek się zmniejsza.

— Tak ci się zdaje Cesiu, ja jestem jak zawsze, ani mniej ani więcej niespokojny i smutny, wierzaj mi.

— Musiałeś się zakochać gdzieś w Wilnie.

Zamilkłem.

— Nieprawdaż — dodała, — że zgadłam?

— Słyszałaś co może.

— Nic, tak mi coś szepnęło w ucho, mimo woli.

— A gdybyś zgadła ?

— Żalby mi cię kuzynku, bo ci z nami źle i nudno być musi. Powracaj do Wilna, a kiedy ci tam znowu źle będzie, przyjedziesz wówczas do nas, my zawsze jednym cię przyjmiemy sercem. Na wsi dłużej ludzie jednakowi, trudniej się zmieniają.

Pierwszy raz widziałem ją trochę wzruszoną; dobra Cesia, chciałbym jej dotrzymać słowa i wybrać męża jakiego warta. Tak łatwo wdzięczni jesteśmy za słówko pociechy.

1. *Sierpnia.*

Niedaremne były przeczucia; wszystko się skończyło, skończyło okropnie!

List Marji.

Piszę ze łzami, ostatni raz; krótko trwało marzenie, nie bez powodu nie chciałam wierzyć w szczęście, w przyszłość. Chwilkę mam tylko wolną, żeby ci oznajmić, żeśmy dla siebie powinni być obcy na wieki. Na stoliku leży mój wianek ślubny, koło mnie suknia panny młodej, jutro przysięgnę na obowiązki, które spełnię święcie. Rodzice mieli prawo wymagać ofiary z dziecka, żądali jej; stanie się zadość. Ale ty nie nie wiesz. Muszę zebrać siły, aby ci o wszystkim oznajmić. Po wyjeździe twoim, ojciec mój utracił zajmowane od kilkunastu lat miejsce. Położenie nasze pogorszyło się. Całym mieniem pozostał znajomy ci domek i ogródek, a na

nich długi. Nie godzi mi się, dziś mniej niż kiedy, badać dla czego w tej chwili właśnie zgłosił się sowie-tnik z formalnem oświadczeniem o moją rękę. Żałowano mnie, byliśmy sami; padłam im do nóg, powiedziałam że kocham ciebie, że ci przyrzekłam, że wzięła pierścione-² i przyrzeczenie twoje; zapewniłam ich, że ty nie zawiedziesz nas. Ale ojciec słuchać nie chciał, matka na ciebie nie śmiała rachować. Jedynym sposobem uniknienia niedostatku było oddać mnie jemu. Ze łzami w oczach żądali bym nie odmawiała; on obowiązywał się utrzymywać rodziców, popłacić ich długi i zaspokoić przyszłość. Wierz mi mój drogi, wszystko co córka powiedzieć może rodzicom, powiedziałam; wszystko com uczynić mogła, zrobiłam. Ale przywiązanie nie wchodzi w żadną rachubę na tym świecie; i my go już nie rachujemy! Nie boleć nade mną, spełnię obowiązek, a potem umrę. Czuję to... umrę prędko i lepiej mi będzie gdzieindziej. Nie staraj się widzieć ze mną, na co powiększać ciężki smutek i do rozpacz się przywodzić. Rozstańmy się tęsknie żegnając do zobaczenia, a cała przeszłość niech nam będzie snem uroczym.

On śmieje się z moich łez; mówiłam mu że cię kocham, że kochać cię będę. To przejdzie odpowiedział, wiedziałem o tem, ale się tem wcale nie niespokoję.

Biedna matka płacze, ja ją pocieszam jak mogę, a co się dzieje w sercu, Bóg to wie jeden.

Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów, na zawsze. Proszę i zaklinam cię, zapomnij o mnie. Pierścione-² twój zostanie przy mnie, nie jako znak związku, ale jak ostatnia pamiątka. Powrócisz do Wilna, nie szukaj mnie, nie staraj się spotykać, nie widzimy się więcej; chyba we snach i myślach naszych. Jutro rozdziela nas na

zawsze. Daruj mi, jam niewinna; przebacz swoją boleść, jak ja mojej niepamiętać będę rodzicom. Wszystko się skończyło, nie miałamże powodu nie ufać w przyszłość?

M...

List pana Wrzóska.

— Pomiedzy innemi miejskimi plotkami, donoszę ci (co może i zmartwi), że panna Marja jutro wychodzi za mąż za znajomego urzędnika. Tak to mało na serce ludzkie rachować można, kochany Juljuszu. Nie trap się tem, proszę, nie warto. Różne okoliczności spowodowały tę nagłą determinację. Regent utracił miejsce, został bez kawałka chleba, a pretendent znajomy jest z zamożności. Panna Marja wcale się nie drożyła i nie namyślała nawet. Widziałem wprawdzie łzy na oczach, ale te prędko oschną zapewne.

Tak, mój młody przyjacielu, rzeczywistość zawsze zabija marzenia, a choć to ciężko i smutno, przykujmy się do rzeczywistości. Ona rządzi człowiekiem. Widziałem cię w Wilnie tak rozgorączkowanego, że nie wiem jak tę nowinę przyjmiesz. Pozwól sobie przypomnieć, żeś nie kobieta, i że wielkiem nieszczęściem nie zowie się osobista przykrość, ale klęska ludzkości, ale upadek moralny. Kto nie umie znosić nieszczęścia mężnie, ten nie potrafi i szczęśliwym być nigdy. Rozpacz jest utratą przytomności i cechą słabych; a kto rozpacza ten głupieje. Ani też przypuszczam, żebyś to inaczej, jak filozoficznie miał wziąć. Powiedz sobie, że na podobnych uczuciach nie budować, nie rachować nie można. Powzdychaj trochę, popłacz nawet w kątku, ale idź dalej swoją drogą. Ani długiego smutku, ani łez wielu wypa-

dek tak spodziewany, tak przeczuty, nie wart. Ja od początku wiedziałem, że się to tak skończy; marzenia młodości zawsze się rozbijają o rzeczywistość. A potem, chciałżeś, aby wielce niepewnej nadziei gołąbkowania z tobą, poświęciła rodziców i swoją przyszłość? Toby było tyrańsko, mój drogi. Bądźmy rozumni. Piszę do twojej matki, aby ci się zasklepiać w desperacjach nie dawała. Mojem zdaniem, najlepiej by ci teraz do Wilna nie powracać.

Nie wiem tego z pewnością, ale mi się zdaje, że mnie temi czasy interesa w wasze strony zapędzą. Może nawet nie wiele ten list przybycie moje uprzedzi. Bardzo rad, że to tak w porę dla mojego serca się składa. A zatem do zobaczenia tylko.

30. Sierpnia t. r.

Teraz z zimniejszą krwią mogę myśleć o tem; wszystkie okoliczności stają mi przed oczyma wyraźniej, jaśniej. Ja sam wszystkiemu winienem, łudziłem się nadziejami, które ziścić się nie mogły. Wszak ona nigdy przyrzekać mi nie chciała, nie przyrzekła, wszak jakby przeczuwając co na nas spaść miało, smutnie patrzyła w przyszłość. Ona niewinna, ja pokutuję za własne zaślepienie. Czemuz nie było uroczyście mówić z rodzicami, zapewnić ich o sobie? Byliby dla szczęścia Marji wstrzymali się z poświęceniem jej, byłbym im pomagał, byłbym oddał wszystko. Ale po cóż teraz napróżno wywoływać co się nie stało, a stać się było powinno. Szczęście mojego życia zniszczone na wieki. Każdy raz w młodych chwilach spotyka w pielgrzymce swojej ten ideał, którego obraz przyniósł z innego świata; ale raz tylko :

szczęśliwy kto go pochwycić potrafił. Kto utracił, ten się z nim drugi raz nie spotka nigdy.

Idealna postać owa rozprysnie mu się na tysiące cząstek; w każdej kobiecie upatrywać będzie coś ze swojego ideału. ale w żadnej całego. Próżna byłaby nadzieja, drugi raz nigdy już tak człowiek nie kocha; pierwsze wrażenia pękły. powtórzyć się mogą, ale będą to owe kwiaty późnej pory, co wykwitają na bocznych łodygach blade, wątłe i bez zapachu. Już mnie o tem nie myśleć. Zamknę się w sobie i pocznę życie inaczej. Surowiej teraz staje mi ono przed oczyma, walką, bojem, pochodem wojennym! Naprzód, śmiało. nie mamy nic do stracenia prócz życia; a cóż znaczy życie? Marzenie we śnie? A co śmierć? Może sen bez marzenia, może sen z marzeniem, jak Hamlet powiada. Jedno warto drugiego. ni mniej ni więcej! O! głupie życie! marne życie!

Od kilku dni przyjechał pocciwy Wrzosek. Ani matki, ani mnie zwieść nie potrafi zmyślonemi powodami podróży. widzę, że przybył umyślnie dla mnie... i dziękuję mu za to. Stary myśli, że mnie swą wesołością nadrobioną rozweseli; szamocze się też próżno dzień cały. Jak nie cenić tego złotego serca? jak jeszcze nie kochać ludzi? O! nie, nic mnie nie może wywieść z miłości ludzkości jaką mam i przekonania, że złe jest na ziemi wyjątkiem. Żaden zawód nie zrazi mnie; człowiek sam zawsze winien sobie, nie powinien ufać nadto w siebie, ani budować wiele na przyszłości. A potem? potem? Wiele wybaczyć potrzeba ludziom, bo któż nie czuje słabości swej. Wszelkie złe pochodzi ze słabości, złości nie masz w człowieku właściwie. Patrzmy także, jak ta biedna ludzkość ma być cnotliwą zawsze, zawsze

szlachetną, gdy nikt nie myśli, aby ją ku temu usposabiać? Większa część braci naszej żyje nie pojmując siebie i życia.

Łzy mi w oczach stają, gdy widzę z jaką prawdziwie macierzyńską czułością stara się smutek mój rozetrwać matka, jak stary pan Tadeusz czuwa nademną, jak wszyscy otaczający w milczeniu śledzą każdy mój krok, jak nawet podkomorzy i Cesia weszli do tej miłosiernej ligi. Niepodobna nie być wdzięcznym, chociaż w sercu człowiek się boleśnie uśmiecha, pytając, nie jest-li ta natrętna pociecha, co cię ogarnia zewsząd, raczej ciężarem niż ulżeniem? Napróżno starają się mnie oderwać od myśli mojej, chodzę i żyję nią i z nią. Gdybym tak przed kim wylać się potrafił, szczerze, otwarcie, całkowicie? mówią, że to ulgę przynosi?

Poczeiwa Cesia wspólnie z matką i podkomorzym, przekonani, że jestem zawołanym myśliwcem, zapalonym Nemrodem, przygotowała mi wielką obławę w lasach swoich. Ale Wrzosek nie opuścił mnie i tu. Stanął ze swoją Lepage'ówką na sąsiednim stanowisku i zabawiał mnie rozmową.

Dwór Stanisławowski, jego intrygi, jego życie i cały ten dramat dwubarwny, na którego obliczu połyska francuska cywilizacja uśmiechnięta, wielkimi słowami prawiąca, grzeczna a zepsuta; w którego środku łzy i krew i przekleństwa pokoleń, cały ten dramat rozwija się w jego opowiadaniach wybornie. Czemuż nie jestem przytomniejszy, pamiętniejszy, aby to wszystko spisać. Cały czas prawił mi o balach dawanych dla księżnej kurlandskiej, o Karuzelu na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem i t. d. Nareszcie, gdyśmy zeszli ze stanowiska i siadać mieli na bryczki:

— Słuchaj, panie Juljuszu — rzekł — powiedz mi, długo to tak będzie?

— Co takiego?

— A ten twój, licha wart, romansowy smutek?

— Alboż wiem?

— Bo przyznam ci się, że mi się zdaje, jakby go już dosyć było. Nie męcz przyjaciół, i co najgorsza... matki; wać nie wiesz co ona cierpi.

— Życia bym nie żałował, aby jej oszczędzić boleści; ale powiedz mi, jest-li to w mojej mocy?

— Niechybnie. Zaczynj wać od udawania, przez sumienie, a przywykniesz do swego położenia i nie będziesz się objawiał ze smutkiem. Wiesz co ci jeszcze powiem, gdybym był w twojem położeniu, umyślnie bym grał wesołość, aby swego smutku na ludzkie wejrzenia nie podawać.

Mówił jeszcze długo w tym sposobie; uważałem, że się nie spodziewał, aby smutek mój miał trwać tak długo. Myślał, że jak pospolicie młodzi, w pierwszej chwili będę sobie życie odbierał, a trzeciego dnia się zakocham! Ale mi szczęściem nigdy na myśl nie przyszło odebranie sobie życia. Nie mamyż jeszcze w niem tylu ciekawych do uczynienia na sobie doświadczeń, tylu z niego użytków? Jeśli nie jest złem, to zawsze głupstwem lub szaleństwem jest samobójstwo. Mój smutek cichy jest głęboki, ale nie skończy się tak prędko.

Chcąc biedną matkę moją pocieszyć, *grałem*, wedle rady pana Wrzoska, swobodniejszą myśl, bo wesołości nie mogłem. Mówiłem wiele, udawałem, żem zapomniał o wszystkim, rozsnuwałem dalekie projekta?

Widziałem radość na twarzy starego przyjaciela i wejrzenia, jakie rzucał na moją matkę. Po objedzie

znalazł się otwarty fortepjan; usiadłem grać; ale ledwie dotknął klawiszów, ten dźwięk tyle mi przypomniał niepowrotnego, nieodzyskanego, utraconego na zawsze, żem uciec musiał do ogrodu, bo zdaje mi się, żem płakał.

Nie chcę, wyrzekam się muzyki! To także marzenie podnoszące człowieka, egzaltujące go, marzenie miłosne; a ja jużem się ich wyrzekł... Żegnaj cię mój serdeczny Beethovenie! Chciałem malować, i na pędzlu znalazł się obrazek, co mi przypomniał przeszłość, rzucam więc pędzle na zawsze. Są inne przedmioty surowsze, wzniosłe, a nie prawie z pospolitem życiem do czynienia nie mające, którym się oddać mogę. Nieraz zapewne zechce mi się jeszcze dotknąć klawiszów, porwać za ołówek; ale mam wolę, i wolą rozumną pokonam pragnienie nałogowe.

Przeznaczeniem człowieka nie jest szczęście, ale spełnienie powinności, ale wzniesienie się moralne bojem, walką, cierpieniem, bodaj męką całego życia. Dziękuję ci Boże, żeś mi to na wstępie młodości, srogiem, ale potrzebnem razem przypomniał!

— Dzięki ci Boże! a! ale ciężka to próba i sroga boleść... i całej potęgi wiary potrzeba, żeby wyrzec chrześcijańskie: *stań się wola Twoja!*

1. Września.

Powracamy razem z panem Wrzoskiem do Wilna za dni kilka; nie chciałbym, nie życzyłbym znowu zobaczyć tych miejsc, ale potrzeba, muszę i uczynię jak powinienem. Przeboleję, cóż z tego? Boleść jeśli nie zabija, to podnosi człowieka. Witaj mi bodźcu wielkich czynów, podnieto myśli genialnych, witaj mi boleści, którą sam Bóg Chrystus znieść się nie wahał i uświęcił. A cóż te

mizerne cierpienia nasze, przy niezmierzonych mękach Zbawiciela? Godziż się jedne przy drugich wspominać?

Wracamy więc do Wilna, kończąc nauki, aby się potem poświęcić cały użytecznemu zawodowi jakiemu. Dotąd studjowałem filozofję i literaturę, ale tego mi teraz za mało; będę się uczył czego innego, inaczej. Przez filozoficzne i literackie prace mało u nas użytecznym być można jeszcze; one mają przystęp tylko do wybranych, do niewielu.

Kilka dni ostatnich muszę poświęcić odwiedzinom, pożegnaniom. Dziś byliśmy u podkomorzego, który mnie czule ścisnął.— Jedź, jedź, a powracaj nam co prędej— rzekł— bo tęskno tu bez ciebie i matce i przyjacielom.— Cesia przeprowadzała ulicą... mówiliśmy z nią o mojej matce, o jej ojcu.

— Pod twoją opieką zostawiam matkę moją— rzekłem — nie zapominaj o niej proszę, przynajmniej póki tu będziesz blisko; bo wiem pewnie, że nie długo ktoś nam ciebie pochwyli. Nim powrócę, zmienisz zapewne i stan i nazwisko.

— Żartujesz Julku — odpowiedziała — zastaniesz mnie trochę starszą, ale zresztą taką jakąś zostawił. Nie pójdę za mąż tak prędko. Po co się mam spieszyć? Nie bój się o mamę, ja ją tak kocham, będę z nią często.

Gdyśmy się rozstawali, pocałowała mnie w czoło tym pocałunkiem czułym a czystym, co po sobie gorącego nie zostawuje śladu. A jednak tęskno mi było po rozstaniu; dziwne serce ludzkie, tak łatwo lgnie do wszystkich? Biedneśmy my istoty, słabe, kruche i nigdy siebie nie pewne.

Pan Wrzosek został z podkomorzym, ja powracałem sam, konno. Śliczny był wieczór jesienny. Spotkałem

znowu towarzystwo z Drzewnej, które wyścigałem już raz na gościńcu. Na ten raz mogłem mu się lepiej przypatrzeć, bośmy dłużej z sobą jechali. Ojciec, brat jeden i dwie siostry składały orszak, z którym jak pół-znajomy powitałem się. Rozmowa żywo i poufale prawie się zawiązała.

Ojciec, człowiek lat około pięćdziesięciu, olbrzym z postawy, całkiem ma minę angielskiego gentlemana; ubiorem go nawet przypomina. Ryżo-siwych włosów, ogromnych brwi nachmurzonych, rumianych policzków, z krótko podciętymi włosy i bakembardami, ubrany był w kurtkę jasną i botforty. Siedział na koniu pięknej krwi, młodym i ognistym, którego zażywał uczenie i zręcznie. Syn, wysmukły, chudy, żółty, ale także ryży, z uśmiechem na ustach głupkowatym trochę, na mie-rzynie kłusował. Najdziwniej wydawały się dwie siostry. Obie brunetki, czarno-okie, śmiałe, żywe; ale jedna piękna zupełnie, druga prawie brzydka. Kierowały swo-jemi ładnemi konikami jak amazonki prawdziwe i młodsza (ładniejsza) przesadziła w moich oczach rów, nie zadrżawszy na siodle nawet.

Po kilku ogólnikach musiałem się wymówić z podzi-wieniem mojem, że panie mogły znajdować przyjemność w tak niezwykłym kobietom zajęciu końmi i myśliwstwem (prowadzono za niemi charty).

Ojciec się uśmiechnął.

— Byłem dawniej wojskowym, lubię konie, polowanie; córki mi się mimowolnie do tego przyuczały. I nie myśl pan, żeby to było jedyne ich zatrudnienie! Ale na wszystko jest czas, wolę je widzieć u mego boku na koniu, niż w domu za romansem francuskim niby bardzo

rozumnym, a w istocie wiatrem nadzianym! Ba! jeśli nie gorzej jeszcze.

— A cóż to złego — spytała Emilja, młodsza — że lubim konie?

— Złego? albożem powiedział. Gdyby mi się co podobnego mimowolnie i bez myśli wysliznąć miało, najmocniej przepraszam. Uderzyć mnie tylko musiało, co nie jest wcale u nas pospolitą.

— Mnie się zdaje — dodała starsza — że koń i pies miłsze mi jeszcze, dla tego właśnie. A jak to wesoło, zabawnie, słyszeć dziwne dziwy z tego powodu wymyślających ludzi, którym kobieta na koniu zdaje się czemś nakształt potwora? Co też to o nas prawić muszą w sąsiedztwie?

— Zaręczam pani — przerwałem — że w sąsiedztwie nic nie mówią. Nasza okolica milcząca i dość pusta.

— Drugi raz przecie spotykamy pana wracającego z sąsiedztwa podobno?

— Tak, od krewnych.

— Od podkomorzego?

— Tak jest. Jeździłem go pożegnać.

— Pan opuszcza te strony?

— Wracam do Wilna, do ksiązek.

— A! — rzekł ojciec — kończyć zapewne kursa. W uniwersytecie? ślicznie!

Syn się uśmiechnął, panny także.

Jechaliśmy czas jakiś milczący. Stary przypatrywał się pilnie mojemu koniowi i mnie.

— Pomimo małej naszej znajomości — rzekł po chwili, pozwolisz pan zrobić sobie jedną uwagę?

— Najchętniej.

— Tycze się ona konia i osiodłania pańskiego — kończył z powagą.

Syn i córki uśmiechnęli się do siebie znacząco.

— Koń nie jest utrzymany jak być powinien.

— Bardzo być może, bo ja mało się znam na tem i ludzi do tego nie mam.

— Szkoda, koń wcale nie zły; ale nogi i uszy wystrzydz i lepiej by włos utrzymywać należało, to raz; powtórę mało wyrobiony w pysku, to widać.

— Ojciec ma jeszcze na sercu, żeś go pan wyprzedził wówczas.

— Mundsztuk za ostry dla źrebca. Nie dziwuj się pan, ani mi miej za złe, że go chcę uczyć; bo to nad siły moje wstrzymać się, gdy widzę co koło konia nie wedle formy i reguł. A koń, powtarzam, wcale dobry, gdyby był w moim ręku...

W tej chwili pomknął się zając, niedaleko z kotliny i charty spuszczone ze smyczy. Mój nauczyciel kiwnął tylko głową i przesadziwszy rów sunął najpierwszy za psami. Za nim syn, za tym córki. Ja naturalnie przypatrzawszy się pogoni trochę, posunąłem powoli do domu. Szczęśliwi ludzie, których koń, pies i zając zajmować mogą tak silnie. Nie mamże słuszności utrzymywać, że świat jest niewyczerpanym skarbem? Ile tu zajęć, ile przyjemności tak rozmaitych dla wszystkich? Spojrzałem na dom, w ulicę; smutno mi się zrobiło znowu: przypomniałem, jak pełen nadziei przyjeżdżałem tutaj, jak inny całkiem powrócę do Wilna. Kilkadziesiąt dni rozdzielały dwie tak różne epoki mego życia: wiarę w szczęście, od wiary w obowiązki i świętość cierpienia. Czemużem tego nie przeczuwał, czemu nie wierzył, gdy

mi przepowiadano? Zapewne dla tego, że zawsze sły-
szałem o rozpaczliwej bezrozumnej, o rozczarowaniu odejm-
jącem wszelką poezję życia, a tych i teraz pojąć nie
mogę. Wierzę jak wierzyłem w ludzi, w cnotę, ale nie
wierzę w szczęście na ziemi. I lepiej: kto się niczego
nie spodziewa sobie, wiele może dla drugich.

2. Września.

Im bliższy dzień wyjazdu, tem smutniejsi jesteśmy
wszyscy. Matce zapewne się zdaje, że narazony na
jakieś niebezpieczeństwa, nie radaby mnie wyprowadzić od
swego boku, narzeka na konieczność rozstania. Pan
Wrzosek zamyślony chodzi, pociera siwych włosów, lub
staje w zadumie przeciw okna, jak zwykł, kiedy się
czem frasuje. O sobie nie ma co mówić. Podwójnie
ciężko mi na sercu. Wyjeżdżać ztąd, wracać tam, jest
to boleć dwa razy. Nie chciałbym narazić się na przy-
pomnienie... a muszę.

Całe dni pracuję nad sobą, i nieraz ze łzami
w oczach, ze łzami, których się ciężko wstydzę; walczę
z sobą, aby mężstwo, aby odwagę wyrobić, której mi
chwilami braknie. Wzywam imię *obowiązku*, aby mi
świeciło na przyszłość, wzbudzam w sobie szlachetne
popędy, rozgrzewam się myślami, gdy nie mogę sercem.
Nadto świeże rany jeszcze, nadto krwawe. Nie prędko
odzyskam swobodę i przytomność; szczęścia, nadziei...
nigdy!

Pocciwy stary nasz przyjaciel zмага się i wysila
na dowody, że w moim wieku wszystko się odzyskuje,
że jak u płazów odcięte członki, odrastają serdeczne
nadzieje, utracone marzenia. Ja czuję, że to może być

prawdą dla płazów, ale nie dla mnie. Nadto wiele rachowałem, nadto zabrnąłem daleko w nadziejach.

Wszystko zapewne odzyskać się może, krom raz utraconej wiary w cokolwiek. Ja nie mam już wiary w urzeczywistnienie ideałów, w możliwość szczęścia na ziemi.

Całkiem różne mamy pojęcia: Wrzosek pojmuje miłość czemś trywjalnem, jakimś popędem zwierzęcym, który czyni wybór, ale nigdy absolutnie nie przywiązuje się do jednej istoty; ja to uczucie wielkie z Platonem razem, anamnezą niebieskich widzeń, wcieleniem ideału piękności przyniesionego z innego świata, czemś raz tylko rozgrzać mogącym i unieść nas w obłoki. Jakże się pojąć możemy wzajemnie?

Każdy ma swój jedyny ideał, mówię z głębi serca. Dla niego wszelka piękna, dowcipna, młoda kobieta grać może ideału rolę. Myślę, że my dwa, każdy swem przekonaniem w tej mierze, malujem dwa wieki; on ubiegły, ja biegący. A u niego i u mnie wynikły one nieznacznie z całej więzi pojęć o świecie, duszy i życiu.

Kto wie zresztą; myśli on tak istotnie, czy udaje przekonanie takie, sądząc, że okazaniem jego mnie pocieszy i z ciężkiego wyprowadzi smutku?

Jutro wyjedziemy zapewne.

Dziś chodziłem z pożegnaniem do moich przyjaciół tutejszych, prostych ludzi wiejskich, strzelca, ogrodnika; do konia potem, do ogrodu, drzew i miejsc znajomych. Wiążemy się ze wszystkim co nas otacza; a ta nieuchronna jednostajność natury jest dla nas jakby miarą, co wybitniej wskazuje nam zmiany ciągłe, jakie w nas zachodzą.

Kto wie, jak znowu te miejsca powitam? Żegnałem

je tak swobodny, wesół i pełen złudzeń, co mi sercem do głowy biły; powitałem rzeczywistością szczęśliwą, nadziejami żywemi; żegnám znowu w żałobie po jednej, po wielkiej nadziei... szczęścia. A jak znowu powitam te miejsca?

Wszystko tu jak było wczoraj, nawet wedle słów tęsknych Karpińskiego, nie pochyliło się znacznie ku starości. Dom, drzewa, wody, trwają jakby jedna tylko noc przedzieliła pożegnanie od przywitania. Ławka pod kasztanem tylko się głębiej zasunęła w ziemię trochę, i jeszcze na niej znać daty wycięte studencką ręką. A na mojej-że duszy znać-li ręką matki pobożnej zapisane prawdy święte, prawdy wielkie, co ze mną umrzeć powinny?

O! zatarły się nieco; ale są jeszcze.

4. *Września.*

Jesteśmy już daleko od domu. Pożegnałem cię znowu ze łzami dobra, najlepsza matko, i pamiętać będę twoje słowa na odjeźdźnym, któremi chciałaś mnie pocieszyć.

Niech ci Bóg błogosławi, żal mi cię, że cierpisz; ale nigdy więcej, nawet radą nie przyczynię się do cierpienia twego. Kieruj się jak cię serce natchnie, a pamiętaj o mnie; ja cię zawsze równo kocham i będę kochać. Będę kochać i tę, którą wybierzesz.

Bądź spokojna, nie uczynię już wyboru. Wszystko skończone. Jak wywołany cień, ukazała się postać anielska i znikła; drugi raz żadne ją nie wskrzesi zaklęcie.

Nie zapomnę nigdy waszego pożegnania, poczciwi starzy przyjaciele moi, coście się zebrali na ganek, aby mnie raz jeszcze uściskać ze łzami i oczyma przepro-

wadzić, a może serdeczną modlitwą. Wy nie jesteście słudzy, wyście najwierniejsi druhowie moi. Nigdy nie zapomnę o was, a daj wam Boże nieopłacone zawdzięczyć.

Kiedy powóz ruszył od ganku, Wrzosek miał łzy na oczach, ale je pokrywał, ocierał i burczał, udając, że się śmieje z tych czułości. Całą drogę potem narzekał na skobiecieństwo serca, jako na jedną z klęsk wielkich dla przeznaczonego do działania i boju... mężczyzny.

Biedny człowiek, jakże usilnie pracuje, żeby się okazać gorszym i innym niżeli jest w istocie.

Powtarzam zawsze to wielkie moje pytanie, które coraz z innego widzę punktu. Co to życie? co to szczęście? Czem życie dwóch ludzi związanych z sobą a podobnych sobie, czem życie różnych charakterów gwałtownie spojonych? Na dnie ciągłych sprzeczności, któremi obsypuje mnie towarzysz podróży, czuję ja napróżno, że się na wiele godzimy rzeczy, przecież ta różność zdań mnie męczy. I zapytuję się w duchu, czy sprzeczność czy zgodność charakterów jest rękojmią szczęścia? Żle mówię: szczęścia nie ma, jest to próżne imię stanu naziemskiego; mówmy lepiej, rękojmią spokoju pożycia.

Nie zgodziłbym się tu na pospolite w tej mierze pojęcia. To, co zowią charakterami zgodnemi, jak dwa jednoimienne bieguny magnesu, odpycha się wzajem. Potrzeba więc sprzeczności, by do życia budziła? Cemuż mnie męczy kochany Wrzosek? Bo czuję, że co innego ma w sercu, co innego na ustach. Myśli, że przykładem swoim zrobi ze mnie człowieka zimnego na wszystko i przez to szczęśliwego. On w chłodzie stoicznym zakłada szczęście... Biedny stary!

Całą drogę prawiliśmy o tem.

— Wierzaj mi, — mówił, — nie trzeba czuć, nie trzeba nic kochać, trzeba się zahartować na kamień, życie ograniczyć w małej liczbie potrzeb, a wówczas zbliżym się do szczęścia.

— Jest to nauka starożytnych, ale nie przeto lepsza. To, co zowiecie cierpieniem, czego się lękacie, unikacie, jest właśnie życiem. To, co zowiecie szczęściem, jest pół-śmiercią. Dobre to było takie szczęście dla świata starożytnych, co z tej strony grobu mieścił wszystko, dalej nic nie widział, i obrachowując zyski boju i straty, doszedł że lepiej nie wojować, bo nie ma o co. Dziś zmieniły się rzeczy. Mamy przyszłość i cel. Celem jest udoskonalenie nasze, wzniesienie moralne; a do osiągnięcia tego celu idziemy przez boleści, płacim je łzami; dumni będąc i radzi w sercu ofiarom. Stoicyzm godzi się tylko dobrze z niewiarą, z materjalizmem.

Jest to egoistyczny obrachunek strat i zysków i wstrzymanie się od uczestnictwa w życiu czynnem. Ale powiedźcie mi szczerze, gdyby takim przekonaniem cały jeden kraj żyć myślał, coby ztąd wynikło?

— Przypuszczenia nic nie dowodzące. Cóż człowiek wygrywa, gdy czuje wiele? że wiele cierpi.

— Zapominacie, że ten tylko może cierpieć wiele, kto wiele się nasycił, kto bardzo był szczęśliwy. Wszystko to się równoważy i opłaca.

— Z tą różnicą, że dobra chwila leci, a zła się wleczce.

— Kochany panie Tadeuszu, wszystko co minęło, jakby równo trwało, Czas jest złudzeniem terażniejszości, nie ma go, za nią wyszedłszy.

— Często cierpimy za jedną godzinę życie całe.

— I słusznie! Jedna godzina warta była życia. Wszystko co jest, jest jak być powinno i ściśle najściślej sprawiedliwem.

— Jesteś niepokonanie uparty!

— Możeż być inaczej? Jestem młody i pewien tego, co trzymam za prawdę?

— I nie wierzysz w doświadczenie starości?

— Wierzę w to, że wzrok słabnie, ucho tępieje w podeszlejszym wieku.

— Dziękuję! i rozum zapewne.

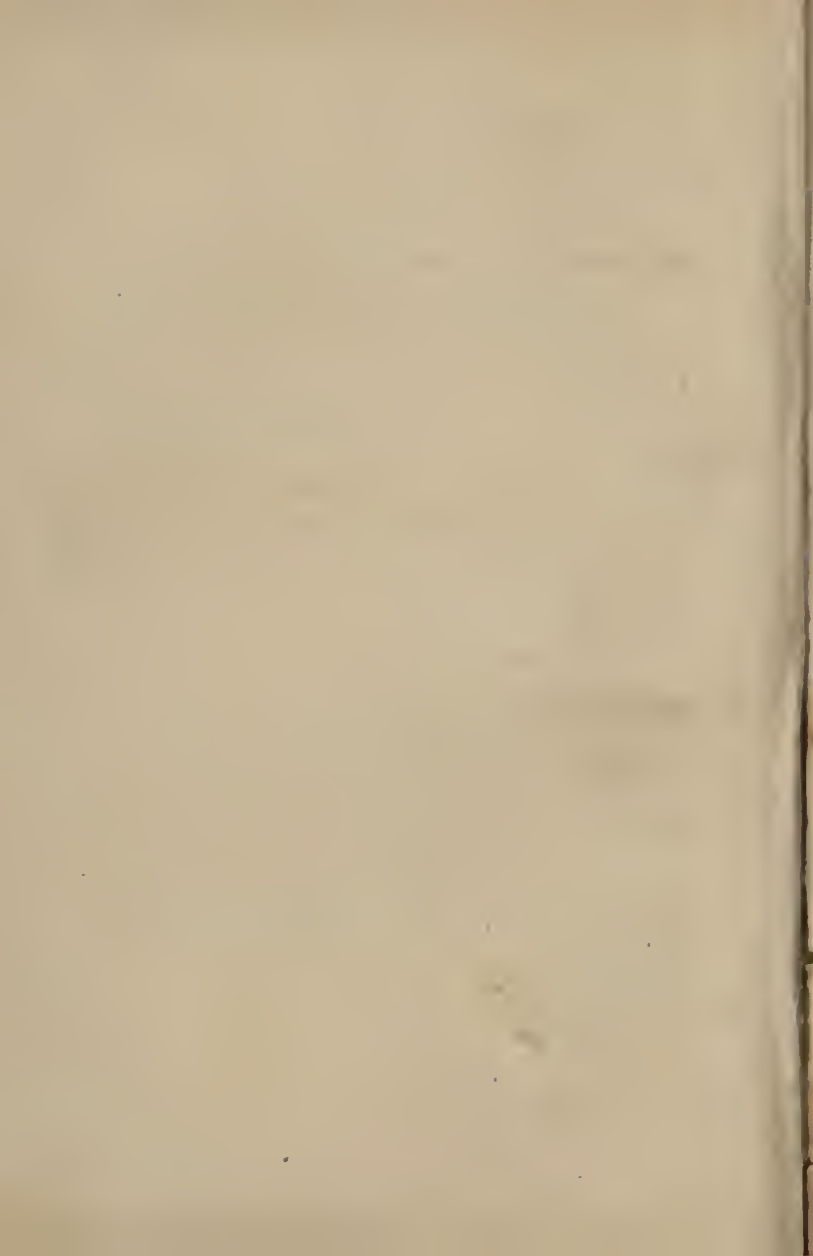
— Nie; ale pojęcie żywego i czynnego życia, od którego się starzy usuwać muszą.

— Tak tedy myśmy wam niepotrzebni? zawali-drogi? kłaniam się.

I chmurno zakończyła się nasza rozmowa.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

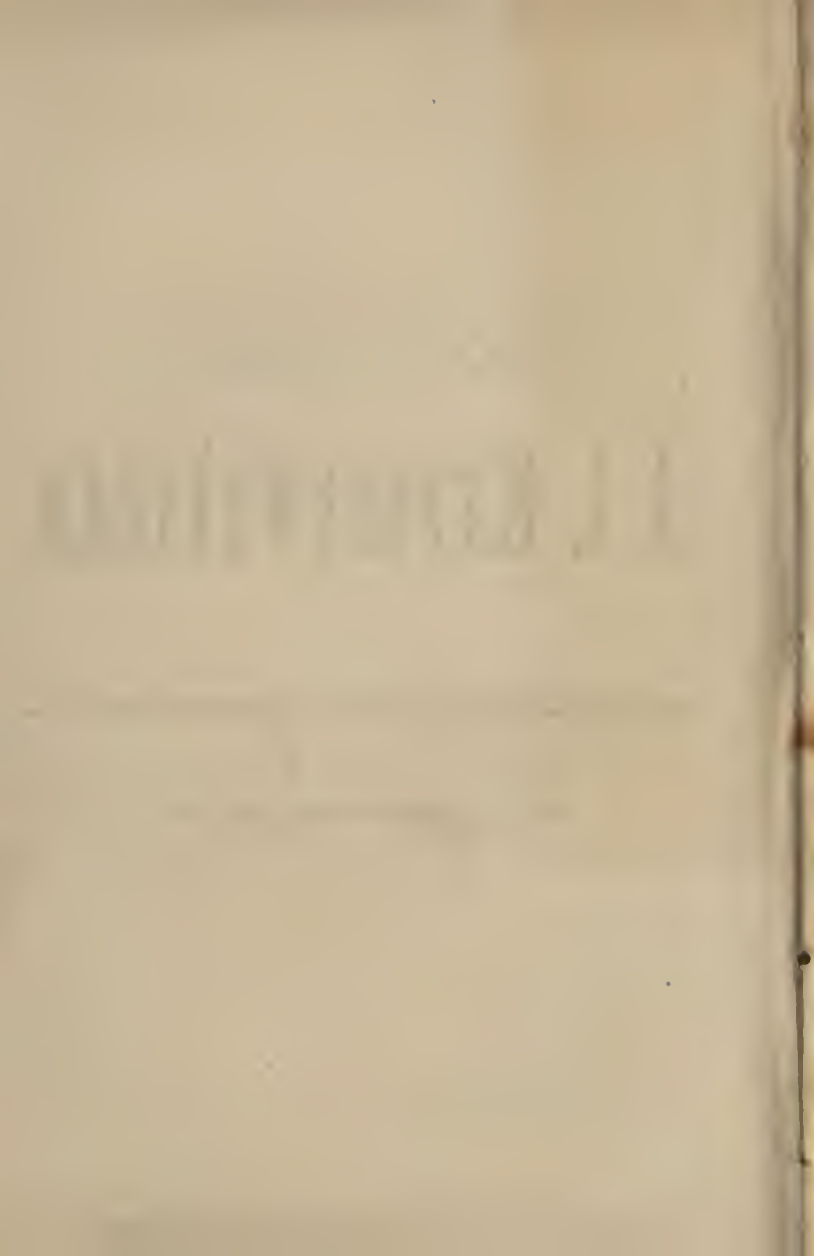




ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwudziesty trzeci.



PAMIĘTNIKI NIEZNAJOMEGO

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Człowiek urodzony z niewiasty, żywiąc przez czas krótki,
napelnion bywa wielą nędz.

Który wychodzi jako kwiat, i skruszony bywa, a ucieka
jako cień, i nigdy nie trwa w tymże stanie.

Księgi Job. B. XIV, w. 1. 2.

Człowiek podobny stał się marności, dni jego jako cień
przemijają.

Księgi Psalmów, Psalm CXLIII, w. 4.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Antora.

TOM DRUGI.

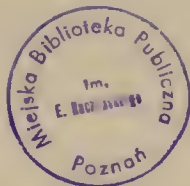
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.

Drukiem Kornela Pillera.

10. Wrzesnia (Wilno).

Znowu jestem w Wilnie; ale jakże mi się moje stare znajome miasto inaczej teraz wydało!

Kiedym się ku niemu zbliżał, biło mi serce, choć wlokąc się po piaskach; nie widziałem go jeszcze, czułem tylko, że coraz bliżej tej, która już moją nie jest, być nie może, nie będzie. Bo gdyby nawet dziwny los zwrócił mi ją swobodną, taż to sama teraz byłaby Marja! O! nie! z objąć cudzych, smutna, rozczarowana, prawie splamiona zaprzędaniem swoim, nie byłaby już dziewczicą moich marzeń. Tej nie ma na ziemi; żyje tylko w pamięci i sercu.

Był wieczór jesienny; na zachodzie ciemniały złotą frendzlą oszywane chmury, pływając na jaskrawo czerwonym niebie; wiatr przynosił nam z daleka dźwięki urywane dzwonów wieczornych i głuchy turkot miejski. Zawsze taż sama odwieczna skarga samoluba, którą powtarzają od wieków, kręciła mi się po ustach. Czemu natura była wesoła, czemu ludzie nie smucili się ze mną? I uśmiechałem się sam z dziwnego wyrzutu, jaki naturze i ludziom czyniłem! Biedne duchy wygnane, czegoż bo nam się nieraz zachciewa?

Ujrzałem wreszcie czarne wieżycy kościołów wypływające na niebie; otoczyło nas miasto, gwar, szum, życie; byliśmy w Wilnie.

Wrzosek grał wesołość jak doskonały aktor, grał ją z poczciwego serca, choć widocznie także był smutny. Ja milczałem ponuro, słowa na sobie wymódlz nie umiejac. Wszystko co mnie otaczało, było wspomnieniem; wszystko mi mówiło: straciłeś na zawsze! Wysiedliśmy przy Ostrej-bramie, powóz powlókł się dalej, my zastanowili; chciałem się pomodlić, nie mogłem; dech mi zabijało, zdawało się jakby powietrza zabrakło; pierś się zmagala, chcąc je pochwycić... napróżno. Nie widziałem nic, nikogo, a tłum co się snuł koło nas, migał mi niepoznany przed oczyma. Przeszedłem ulicę z spuszczoną głową, w towarzystwie mego poczciwego starego, który szyderstwy chciał mnie z odrętwienia zbudzić. Co chwila spotykaliśmy przechadzających się, drżałem myśląc, że spotkać mogę ją, Marję... ale Marję nie moja, spowszedniałą i uwieszoną na rękę najprozaiczniej brzydkiego stworzenia, które się jej mężem zowie, obraną z uroków dla mnie, kto wie? może smutną także, może także wlokącą się jak ofiara na ołtarz, nieprzytomną sobie z cierpienia. Szczęściem nie napotkaliśmy jej przecie. We wrotach domu, na którego niższem piętrze jest kawiarnia, mnóstwo mężczyzn przesuwalo się; minąłem ich nie widząc. W tem czuję się pochwyconym za rękę i zimny a wesoły głos woła mi w ucho:

— Kochanego pana!

— A! któż — pomyślałem — tak mnie kochać może?

To sowietnik, który skończywszy partję w bilard, wychodził z kawiarni.

— Znowu tedy w Wilnie? — spytał pokazując mi

połamane zęby przez otwarte usta — znowu tedy w Wilnie? Mam panu za coś podziękować — dodał w pół szydersko.

— Mnie? za co?

— A! a! pamiętasz pan, gdyśmy wzajemnie życzyli sobie szczęścia, owego wieczora wracając z przechadzki w burzę? he?

— Pamiętam.

— Pańskie widać życzenie było z serca i skuteczne. Wie pan? ożeniłem się! cha! cha!

I spojrzał na mnie zwycięsko, ja na niego zimno.

— A! a! widzisz pan! cha! cha! Niech-że pan po starej znajomości odwiedzić nas zechce. Mieszkamy w tym samym domku znajomym, proszę, moja żona całkiem muzyki zapomina... wyrzekła się fortepjanu zupełnie.

Strzałą poleciałem na górę, nie chcąc słuchać więcej! Ciężko mi było na sercu. Wpadłem na starą moją kwaterę, co była świadkiem tylu marzeń słodkich, którą teraz witałem utraciwszy pierwsze, najdroższe złudzenie młodości... w szczęście.

Ale tuż za mną wtoczył się nieprzyjaciół.

— A! pau tu stoi? — zawołał — pozwól mi odpocząć, zgrałem się w bilard, cały jestem w potach. Nigdy więcej *à la guerre* nie pójdę. Pan wracasz ze wsi? Jakże żona moja będzie rada, gdy jej powiem. Wrócą się muzykalne wasze wieczory. Pan nie myśl, żebym ja był zazdrosny... Wiem, że to głupstwo!

Nie wiedziałem sam, co temu dziwnemu natrętowi odpowiedzieć.

— Każ-że mi dać fajkę!

— W ten moment, ale zaledwie wysiadłem z powozu i jeszcze się nie rozpakował.

— A! kiedy tak, to nie przeszkadzam, lecę z dobrą nowiną do domu. Marylka będzie kontenta! I ja się cieszę. Bardzo go prosimy do siebie.

Ledwie wyszedł, rzuciłem się na kanapę odetchnąć, krew mi biła w czoło i jak sznury ognistemi, żyły opasywały czaszkę; czułem ją bolesnemi strumieniami po całym ciele mojem biegącą, wszystko drgało we mnie, jak drga żywe mięso gdy je rzeźnik płata. O! rzeźnik! Napróżno! nie pójdę, nie zobaczę jej więcej! nie chcę, nie mogę. Nie ma już Marji mojej! Jest inna, żona cudza, prozaiczna pani domu, małżonka pana urzędnika. Zdaje mi się, że każdy pocałunek jego musiał plamę na jej białej twarzyczce zostawić.

11. Września.

Powiedzmy to sobie, powtórzmy sto razy, zapiszmy, aby nam było przytomnem co chwila. Człowieka celem nie jest szczęście, człowieka celem jest cnota. Cnota, która obejmuje sobą spełnienie obowiązków, moralne wzniesienie się, udoskonalenie, ofiary, wszystko. Człowieka celem nie jest szczęście... a kto życie pojął fałszywie, zapatrzwszy się na to, że jedne rzeczy go głaśzczą, drugie kolą, ten tylko stękać potrafi.

Wyżej idźmy, wyżej, na Boga, wyżej! Szczęście! jest to czarodziejska gwiazda, która nie spada na ziemię; często za nią brać chcemy to iskry domowego komina, to błyszczące race fajerwerku; ale gwiazda świeci w błę-

kitach, okiem tylko pościgniona. Szczęście jest w siódmej gdzieś sferze, w niebieskich eterach Platona, w ognistym Empireju, nie szukajmy go tutaj nadaremnie.

Bądźmy wielcy, bądźmy olbrzymami, bądźmy czyści, odrzućmy z siebie ciało, abyśmy mogli dolecieć kiedyś do tej gwiazdy, którą tylko widzieć ztąd można. Tu nie ma szczęścia, tu jest obowiązek do spełnienia, kielich do wypicia, męczeństwo do odważnego przeniesienia i... jedyna pociecha... nadzieja śmierci i innego gdzieś szczęścia... w lepszym życiu.

Kto zapisał sobie na czele drożnika swego: *szczęście*, ten nie znajdzie nawet pokoju i wiecznie tylko narzekać będzie. Narzekanie jest dowodem słabości. Precz z dziecięcym narzekaniem i kobiecymi żałami! precz z głupim marzeniem szczęścia! niech się niem bawią dzieci.

Wieczorem.

Odczytuję com zrana napisał; potrzebuję się przejąć tą prawdą wielką, a w głębi serca jeszcze mam pozostałość jakąś słabości, jeszcze kole niedotrawiona nadzieja. Smutne życie, ciężkie życie, starajmy się uczynić je użytecznem ludziom, starajmy się podnieść moralnie nad egoistyczną namiętność.

Kazanie! prawię sobie kazanie!

Dwa głosy szemrzą w głębi duszy mojej.

Jeden mówi mi o cnocie, drugi o szczęściu zawsze, o tej bajce niańki, którą ludzi zwodzi, którą mnie zawiódł już dawniej. Nawet w głębi człowieka życie objawia się sporem i walką. Te dwa głosy z jednej duszy

mojej pochodzą. Jeden jest mową ducha, drugi mową ciała językiem duszy tylko. Omylić się łatwo.

A! w głowie mi się zawraca! Nie mogę usiedzieć nad stolikiem, pójdę.

O północy.

Nie wiedząc sam dokąd, wyszedłem, przesunąłem się przez miasto, nic nie widząc, przepłynąłem przez bulwar, wpadłem na Antokol; tam mniej ludzi, powietrza więcej, jest czem tchnąć. Ani wiem jak minąłem Tivoli, zaszedłem do Sapieżyńskiego ogrodu, usiadłem.

Zaledwie mogłem oczom moim wierzyć. Naprzeciw mnie, na drugiej ławce siedziała pani generałowa. Jakże zmieniona! wszystkoż się mienić musi tak, aby żyć.

Różowy rumieniec na twarzy, oczy iskrzące i wesołe, uśmiech na ustach ożywionych, strój wytworny. Obok niej nie staruszka już owa, ale mężczyzna.

A! to więc nowa próba jakaś! Mężczyzna młody, przystojny; miałem mu się czas niepostrzeżony przypatrzyć; z krasą siły i zdrowia na twarzy, prawie otyły; z wyrazem jakiegoś zadowolenia zwierzęcego i szyderstwa razem w oczach niebieskich i wydatnych wargach; jak karmin rumianych. Któż to? nowy mąż? nowy kochanek? Ledwie miał czas spytać siebie, gdy generałowa poznawszy mnie, wstała z ławki, podeszła żywo i chwytając mnie za rękę:

— Jakżem szczęśliwa, że pana widzę! Od dawna szukam go. Gdzieżeś był? mówiono] mi, że na wsi. Pozwól, abym cię poznała z moim Jasieńkiem, z mężem moim.

I powiódłszy mnie do ławki, zmusiła do poznania

z młodym towarzyszem, który powitał mnie niedbale dosyć, obojętnie, ale wesoło i bez cienia najmniejszej zazdrości.

Nie pojmuję tych ludzi! Ja bym był piekielnie zazdrosny! gdyby moja żona tak czule powitała się z nieznajomym.

Dalszy ciąg przechadzki musiałem odbyć z nimi. Ani słówka o przeszłości, o smutku, o zawodach, szczególnie!

Młody człowiek jest dla mnie zagadką. Najmniejszego w nim śladu młodości. Może mieć lat dwadzieścia kilka, a stary jakoby przeżył sześćdziesiąt. Sapał chodząc z nami i uskarżał się na to, że pani Emma (tak żonę nazywa) ma pasję przechadzki.

— Ja wolę fajkę, kanapę, książkę.

— Ty zawsze wolisz spoczynek, jesteś Sybaryta.

— O! z tem się wcale nie taję. Lubię to tylko, co mi miło i robię to co mi lubo.

Spojrzałem nań zadziwiony.

— Epikurejczycy mieli słuszność — dodał — życie całe się zamyka w użyciu.

Spojrzałem na panią Emmę zdziwiony bardziej jeszcze. Ona wesoło potrząsała główką, uśmiechnęła się figlarnie i klepiąc po ramieniu męża, dorzuciła:

— O! o! obgadujesz się kochanku!

— Szczera prawda! Wracajmy do domu. Zaczyna być chłodno. Wieczory jesienne nie są wcale zdrowe. Zresztą jeśli pani Emma chce zostać dłużej, pozwoli mi odjechać, zostawiam ją nie samą, a powóz po was przyszlę.

— Pojedziemy razem — sucho odpowiedziała kobieta.

Wygodny wiedeński kocz czekał na drodze, siedliśmy. Mąż, którego Emma zwała Jasiem lub Jasieńkiem, dobył

cygara i starannie opatrzywszy lepsze, podał mi jedno, sam wziął drugie.

— Emma lubi zapach cygarów — odezwał się pozie-
rając na nią.

— Ja jednak palić nie będę — dodałem.

— Proszę pana.

Odmówiłem. Jasieńko zapalił swoje, odetchnął jak człowiek zmordowany, któremu nareszcie udało się wypocząć, rozparł jak mógł najwygodniej i puszczając kłęb sinego dymu, odezwał powoli:

— Pan wraca ze wsi?

— Ze wsi wracam.

— Wiś byłaby wyborną, gdybyśmy na niej żyć umieli; na przykład jak Anglicy gdy na wsi mieszkają. Ale u nas z darów Bożych nie korzystają; *comfort*, to słówko cudowne, jest rzeczą całę nam obcą.

— Nic dziwnego, że naród, co niedawno był jednym wielkim pułkiem stojącym na granicy cywilizacji od barbarzyństwa i pilnującym, by dzicz nie załała Europy, nie rozumie *comfortu*; pojmujemy za to heroizmy wszystkie i poświęcenia bez wyjątku.

— To śliczne, ale do czego się to przydało? — spytał. — Życie jest użyciem, a my go nie używamy.

Żona uśmiechnęła się.

— Daj pokój Jasieńku — przerwała — mówisz z największym idealistą jaki być może, nie wyprowadzajże swoich maksym na plac, poczekaj aż się lepiej poznacie.

— Będę powoli nawracał pana — rzekł Jaś. Wjeżdżaliśmy w miasto; niespokojnem okiem powiódł mąż po domach i szepnął żonie:

— Każemy się zatrzymać; i żeby cię nie niecierpliwieć moją gawędą, pójdę z panem do cukierni. Czuję

potrzebę coś przełknąć rozgrzewającego, jeszcze mi objad dokucza, wstąpił gdzie.

Pani Emma zarumieniła się, spuściła oczy, zacięła usta.

— Znajdziemy toż samo w domu, — odparła. Jaś rozparł się szeroko, rzucił do pół tylko dopalone cygaro i zamilkł. Powóz wtoczył się w piękną kamienicę, której pierwsze piętro zajmowali ci państwo.

Miękki dywan uścielał wschody, po których bokach piętrzyły się wazony z wonnemi kwiatami. Weszliśmy do salonu pełnego woni, oblanego światłem przyémionem i urządzonego z wyrachowaną wytwornością wygodek. Po kątkach stały różnego kształtu fotele, kanapy wyginały się dziwnie obładowane poduszkami, przybierając różne kształty, kilka otwartych książek leżało po stołach i na ziemi.

Jaś rzucił się w najbliższe krzesło, wskazując mi osłabłą ręką drugie, pani Emma milcząc uszła z pokoju, zostaliśmy sam na sam.

— Nic tak nie chłodzi jak kieliszek dobrego francuskiego starego wina, nieprawdaż? — spytał.

— Na tem wcale się nie znam — odpowiedziałem, — nie piję nic prawie.

— Serjo?

— Najprawdziwiej.

Jaś dziwnie spojrzał na mnie i westchnął głęboko.

— Tak to ludzie nie umieją użyć niczego, rzekł cicho, droga młodość! ale ona przechodzi na twardych bifsztjkach traktjeru niegodziwego i cieplej wodzie z brudnych karafek wypitej. Dopiero gdy siły już nie pozwalają ani jeść, ani pić, gdy się zużyły narzędzia przyjemno-

ści, poznajemy się na ich wartości. Gdybym miał siły pańskie, pańską młodość...

— Nie myślałbyś o tem pewnie.

— Dla czego?

— Czyż warto?

— Ba! zapewne mi powiesz pan coś o poświęceniach, obowiązkach, przeznaczeniu człowieka. *Connu!* znajome, oklepane, stare! Żyjmy każdy dla siebie; to moja ostateczna maksyma. Świat nie ma wdzięczności za poświęcenia i żartuje sobie z tych co mu palą ofiary.

— Dla mnie, — dodał wychnawszy i oblizując cygaro, wielcy ludzie to są ci, co wymyślili butelki na wino, doskonały ser, wysmienitą potrawę jaką, lub co rozumowali jak Brillat Savarin nad powiększeniem przyjemności naszych.

— Z kolei mógłbym spytać, czy serjo?

— Najistotniej. Ani się tego zapieram, ani wstydzę, dla mnie życie jest w zmysłach.

— A dusza?

— Ogniskiem co je spaja, tłem na którym malują się wrażenia zmysłowe.

— Nic-że więcej?

— Nic więcej. Może choć teraz wypalisz pan cygaro?

— Ale żona pańska.

— Jej dym nie szkodzi, sama pali *papelity* i *cygarcty*. Wolisz jakie?

— Najłżejsze.

— I ja czasem wolę lżejsze. Nie rozumiem tych ludzi, co absolutnie wyrokuje o jakiej rzeczy... zła, dobra. Wszystko dobre w czasie i miejscu. Pieprz używa się wysmienicie do potraw, których smak podnieść potrzeba, assafetidą wycierają rądle. Tak i cygara; ja palę różne.

Zadzwoił; wszedł wymuskany sługa.

— Podaj *Caballeros*.

W milczeniu posłusznem wyszedł cicho stąpając po dywanie służący i zjawił się natychmiast z pudełkiem cygarów w jednym ręku, z zapaloną spirytusową lampką i lontem w drugim.

Jasieńko szeptał coś nachylonemu do niego. Pani Emmy nie było. Podano wkrótce wina na tacy srebrnej. Skosztował, spojrział przeciw światła, powąchał.

— Butelka nie musiała być dobrze zakorkowana, przynieś inną, — rzekł. — Nie ma bukietu. Chciałem pana poczęstować wybornym starym Johannisberger, ale to choć nie zepsute, nie ma zapachu wcale. Tymczasem zapach nadaje winu nową i nieporównaną zasługę. Nim przemawia ono do dwóch zmysłów razem. Co więcej, zapach jest rękojmią smaku, dwa bowiem te wrażenia chodzą z sobą nierozdzielnie. W katarze tracimy smak także.

Uśmiechałem się mimowoli, ta naiwna a serjo rozprawa wydawała mi się czemś osobliwszem i zupełnie nowem. Nie pojmowałem, aby tak głęboko przemyślać można o jadle i napoju.

Podano drugą butelkę, ale w tej Jasieńko sam opatrzył korek.

— Podaj także *Chester*; prędko tam może być kolecja?

— Tak prawie jak gotowa.

— I mój szczupak? Spytaj o niego.

Zostaliśmy się sami; Emma weszła nareszcie; (ale chwilowa chmurka, która przesunęła się była po jej czole, już znikła.

Spojrzała na butelkę i śmiejąc się zawołała:

— Czyż już?

— Pani Emma dotąd się nie nauczyła pojmować życia jak ja! A wiesz, że dla szczęścia w małżeństwie potrzeba koniecznie jednostajności gustów? Staraj się więc o to.

— Gdybymże ja zażądała, abyś się do moich przystosował.

— Nie możesz mi wymawiać, bym tego nie uczynił. Musimy oboje, jak dwaj woźnice w wielkim śniegu, po trochu każdy z drogi sobie ustąpić. Ja przecie nawykam do muzyki.

— Jakto? — przerwałem, — nawykasz pan?

— Chciałżebyś pan żebym ją lubił?

— Jak można nie lubić, nie przepadać za nią! — spytałem znowu.

— Serjo? Muzyka a skrzypienie drzwiami równe czyni na mnie wrażenie. Jest to nieprzyjemny pisk lub hałas, nic więcej.

Po obiedzie nie daje spokojnie trawić, przy jedzeniu nie dozwala nasycić się przyjemnością, sen rozbija; i chcesz pan żebym ją za to kochał?

— Więc pan nawet nie umiesz marzyć przy muzyce?

— A! nie rozumiem marzenia, chyba przy kieliszku Marascino po dobrym obiedzie.

— Mówiłam panu że epikurejczyk.

— Szczycę się tem; bo pewien jestem, że pojąłem życie, jak się jedynie pojmować powinno. *C'est la seule bonne manière.*

— Chodźmy do fortepjanu, — odezwała się wzruszwszy lekko ramionami Emma.

— Dajże nam przecie skończyć kieliszek.

— A! prawda! nie uważałam.

Długie nastąpiło milczenie. Jasieńko cały się zatopił w kieliszku; pił powoli, smakował, zajadał serem i popijał znowu.

— To są bydlęta! — zawołał nareszcie, odpowiadając na zapytanie, które sam sobie był zadał.

— Kto? co?

— Ci co się npijają, — odpowiedział. — Pić można tylko aby smakować, aby wywołać te mary i wesołość, których Chińczycy szukają w opium; ale pić do utraty przytomności, smaku, zmysłów! Fi! Nieprawda, że wino przednie?

— Doskonałe.

— I nie dziw! Schloss-Johannisberger dwudziesto kilko-letni. Co za złocistość! co za tłustość! Jaki bu-biet! *Admirable!* Wypijem jeszcze po kieliszku i do-syć. Nadużycie sprzeciwia się użyciu, robi niesmak, któ-rego chronić się i unikać potrzeba.

Pani Emma, którą ta rozmowa widocznie męczyła, zwróciła ją nareszcie do innych przedmiotów. Poczęli-śmy mówić o literaturze. Postrzegłem z zadziwieniem, że Jasieńko zdrowo, dowcipnie sądził o niej, że czytał wiele; ale widać razem było, że szukał w czytaniu przy-jemności tylko, a głębiej zastanawiać się nie chciał, bo uważał myślenie za ciężką pracę.

13. Wrzesnia.

Nieraz myślałem poglądając na kwiaty, dla czego wykwitły, gdy z nich nie ma być owocu, kiedy noga przechodzącego, bydle łakome, chłód lub skwar, zni-szczyć je mają? To życie ludzkie tyle razy poczyną się nadzieją, kończy niczem. Biedny Adam!

W młodości życie staje przed człowiekiem z rękoma pełnemi obietnic, nadziei, wspaniałych przyrzeczeń, bogato strojne, głową w niebiosach, uśmiecha się, otwiera ramiona i pokazuje przyszłość! przyszłość za mgłami, ale w tych mgłach widzi uparta nadzieja wspaniałe gmachy, żyzną krainę mlekiem i miodem płynącą. I młody idzie, leci, rzuca się w życie, pomiatając wszystkim co spotyka, szafując sobą, zdrowiem, myślami, idzie do tych mglistych krajów swej wyobraźni, co się mu potem (jeśli wyżej już wznieść się nie potrafi) wydają tylko piaszczystą wydać mają. Na drodze nieraz go co powstrzyma, ale młodzieniec odpycha wszystko, rozbija, byle biegł dalej a dalej. I niczego mu wówczas nie żał, bo zdaje mu się, że go czeka bogata za wszystkie ofiary zapłata. Ani mu mówić wówczas że kłamia nadzieje, że zawodzi przyszłość, nie uwierzy! Ani go wstrzymać w pędzie, cichem szczęściem, spokojem, ani go ukołysać słowy smutnego doświadczenia; niczemu, nikomu, nigdy nie uwierzy.

Ale są ludzie, którzy prawie nie mają młodości, nie znają co marzenia jej i nadzieje. Ci ludzie urodzili się z gotowem życiem, z przeznaczeniem odkrytem, odrazu ujrzeni co ich czeka i zimno patrzą na wszystko. Są drudzy, co wszystko zdobyć muszą, pożądać i pragną wiele, bo nic nie mają. Świat marzeń szeroki dla nich, bo zaludniony tem wszystkim, czego im braknie; miłością, dostatkiem, sławą. Uplatają sobie troiste wieńce: złote, różane i laurowe, a w nie skroń ubrawszy, marzą. Jeśli prawda, że w nadziejach i marzeniu jest jedyne szczęście bez przebudzenia, zawodu i przesytu; najszcześliwszy zapewne, kto we snach tylko dotknął ustami kielicha, tak zwanych przez się roskoszy, i nie dopijał

go na jawie do gorzkich mętów. Na jawie jestże *szczęście* (wyraz dziwny!) bez odwrotnej strony, bez jutra, bez zawodu? kto szuka szczęścia tylko, nasycenia, ten zrywa zawsze owoce z nad martwego jeziora, co mu się popiołem w ustach rozsypia.

W wiosnie życia, kiedy człek cały nadziejami rozkwita, innego mu nad nie nie potrzeba pokarmu; chleb, woda, niebo pogodne i marzenia, wijące się niebieskimi wstęgami, jak szerokie rzeki z umajonemi brzegami... i dosyć dla niego. Znosi pracę, niedostatek, upokorzenia, szyderstwa, a w duszy jego dzwoni nadzieja, wołając: za wszystko przyszłość zapłaci, za wszystko, i za głód i za łzy i za krwawy rumieniec upokorzenia i za długie dni samotności... za wszystko!

Biedny nie wie, że każdy wiek ma swoje cierpienia, a nic za nie nie płaci, jeśli wyższego nie dopatrzysz celu; nie wie że młodość tem tylko szczęśliwsza, iż nie żyje rzeczywistością prozaiczną, ale ideałami, jutrem, marzeniem którego wcielenia się spodziewa; że ten sen co go człowiek wyniósł z nieba, nie może się urzeczywieścić na ziemi. A gdy świat rozbudzi ze snu zupełnie, otworzy oczy, o! po wszystkim! po wszystkim wówczas i na wieki rozbrat ze szczęściem. Trzeba innego celu. Reszta niedojedzonego życia to mozolny ciężar do dźwigania, a co krok mnożą się zawody kończące się dopiero, jedną tylko niezawodną... śmiercią.

W młodości?... ale któż tego nie wie? każdy kto był młody i odwrócił się potem popatrzeć na uciekającą młodość, musiał westchnąć nad nią. Są i tacy co nigdy nie byli młodzi, i co nimi pozostaną do śmierci. Tacy to jedni szczęśliwi, świat ich przecie staremi dziećmi nazywa, on szydzi; bo go boli to szczęście, którego za-

zdrości, któreby im wydarł, gdyby mógł, bo sam użyć go nie może. Stary zazdrośnik!

Biedny Adam! ten był prawdziwie młody i pił z czarowanej czary, pił aż się upajał i szalał. Ubogi, bardzo ubogi żył z ciężkiej pracy, z bezsennych nocy, z nudnego wlewania nauki po kropli do głów dzieciennych; wybladły, wycieńczony, zmordowany na ciele, trzymał się przy życiu nadzieją swojej złotej przyszłości, do której szedł z taką w nią wiarą, z taką pewnością o jej niechybnem osiągnięciu, jakby go minąć nie mogła.

Kiedym się nad nim nieraz użalał, że cierpiał, że był ubogi, że tak ciężko pracował, odpowiadał mi wzgardliwym uśmiechem jak gdyby mówił: nie użalaj się nademną, jest coś co wszystko nagrodzi. Z niewymownym zapałem rwał się do nauki; ale wyobrażał sobie, że ona ma być drabiną, po której dójdzie na wysokości marzeń; pił ją zewsząd, i z prelekcji nauczycielskich i z ksiąg i z żywego świata i z doświadczeń i z rozumowania; chwycił bez wyboru, byle więcej a więcej. Cały zajęty nauką, miał ją przecież tylko za środek do dopięcia celu swego, za drogę do szczęścia, do sławy, do bogactwa. Pragnął tych rokoszy życia, których nie kosztował nigdy, co mu się zdawały nieprzepitem morzem nektarów. Nieraz nad księgą w nocy, rzucał się na kolana, wlepił nieruchome oczy w ciemność i tak wychodził na przechadzkę do raju swych myśli, w nim błędząc aż do dnia. Serce bijące pragnieniem mówiło mu: wszystko to mieć będziesz! wszystko!

Oto kobieta jak anioł piękna, jak dziecko biała i rumiana, z koralowemi usty, z giętką kibicią, z okiem

czarnem, z toczonemi ramiony, z piersią w czarę zaokrągloną, czeka na ciebie, wyciąga ręce ku tobie i szepcze z cicha: jam twoja!

Oto tłumy co wience wiją, klękają, podnoszą oczy łzawe wdzięcznością, wołają imie twoje; poklaskują i wywodząc na wyżyny, głoszą jakieś wielki.

Oto sypie ci się pod nogi złoto; rozrzucasz je garściami do koła, kupujesz wszystko co kupić można. A czegoż kupić nie można? Oto twoi ubodzy krewni otoczyli cię w zadziwieniu i tulą się pod skrzydła twoje, a ty ich wyprowadzasz z nędzy, z cierpienia i błogosławią imie twoje.

I jak nie miał chciwie pragnąć wszystkiego Adam, gdy od kolebki ustami nie tknął żadnej roskoszy życia, ni razu się nie odczarował posiadaniem, nasyceniem, ani nawet zbliżeniem ku celowi swych pragnień gorących. Sierota, dzieciństwo spędził na łasce ludzi, co pokazywali go dumnie, jako świadectwo miłosierdzia nad biednymi, nie wiele się o niego troszcząc; częściej goryczą karmiąc niż nadzieją. Tak przy kuchniach zgłodniałym psom rzucają kość, i biją kiedy się zbliżą połasić, kiedy o pogłaskanie poproszą. Dobroczyńcy jego za chleb ze wzgardą wyrzucony sierocie, bolesnem upokorzeniem płacić sobie kazali, posługi przykreml, łzami, za które przecież srodze się gniewano. Licho okrywszy ciało, dawszy mu strawę z okruchów swego stołu, nie pomyśleli o duszy. Na co go uczyć? mówili. Ubogi, niech pracuje, niech nie wychodzi ze swego stanu. Jak gdyby ubogi powinien pokornie nawet ze swym rozumem ustępować przed bogatym; jak gdyby nauka, oświata, były tylko w rękę możnych użyteczne i dobre, a w rękę ubogich mieczem szalonego.

Tak on wzrósł na śmieciskach, na wzgardzie, aż jedząc chleb spleśniały ze łzami otwarły mu się bramy raj u nadziei; obudziła się żądza nauki, żądza wywyższenia, wyjścia z otchłani na biały świat szczęśliwych ludzi.

Począł pracować. Przejście z dzieciństwa do młodości ciężkie mu było; jeszcze dzieckiem prawie zaczął pracować jedną pracą na życie, na chleb, drugą na przyszłość.

Tak z utrapionego dzieciństwa przeszedł do złotej młodości, złotej obietnicami, a ciężkiej jak kajdany. Ale za nią, ale przed nim, światniały tak piękne krainy!

Adam, kiedym go poznał, wstąpił był już w swą młodość, skończył szkoły i z tłumoczkiem na plecach, kijem w ręku, w wytartej sukni, z kilką książkami pod pachą, przyszedł do uniwersytetu sam jeden nie mając nikogo znajomego, żadnej opieki, żywej duszy co by się nim zajęła. Pierwszą noc w Wilnie przespał u wrót kościelnych, sparty na kiju. Nazajutrz pierwszego spotkanego młodego nazwawszy bratem, spytał o co mu było potrzeba, i już miał na prawdę brata. Wszyscy bo współcześnie braćmi sobie być powinni, a ubogiemu każdy ohoćtnie serce wyciąga na rękę. Jest to braterstwo jednych losów, jednych uczuć, jednej młodości.

— Nie masz znajomych? kwatery? — spytał Adama współluczeń.

— Nic! nic, ani nawet pieniędzy, — odpowiedział spokojnie i bez wstydu Adam. Przyszedłem pieszo, a w drodze żyłem razowym chlebem, wodą i nadzieją.

Podali sobie ręce, westchnęli i poszli. Adam miał już przyjaciela i doradcę, znajomych, kwaterę i stół, którym się z nim współluczeń z serca podzielił; potem

znaleziono mu obowiązek, jak nazywano, korepetytora, dozorcę. Ciężkie zaprawę kajdany do dźwigania, ale je niosła z nim z jednej strony młodość, z drugiej nadzieja, i lekkie mu były, nie czuł ich na nogach. Przy swoim ubóstwie Adam wysoko nosił czoło, bo sam już na chleb zarabiał, nikt mu go z łaski nie dawał. Tym pierwszym pomyślnym skutkiem wzmogły się marzenia świetnej przyszłości.

Gorąco wziął się do nauki. Był to jeden z tych uczniów co nie opuścili jednej godziny, którzy nie chorowali, bo ich choroba zjadła im więcej niż zdrowie, więcej niż zapracowany grosz... czas, czas najdroższy; co nie bawili się, bo mieli przed sobą przyszłość brzemiennej wyższymi nad wszystkie, jakich teraz dostąpićby mogli, roskoszami; co nie próżnowali, bo pilno im było dojść upragnionego celu.

I pożądana nauka w otwarte wrota łała się strumieniem, wszystkich prześcigał, wszystko zgadywał, wszystko pojmował, nic nie zapominał. Co drugim trudnem, jemu było igraszką; silna wola zastępowała mu miejsce zdolności nadzwyczajnych, wychowanie, usposobienie, których mu brakło; silną wolą szedł naprzód, nie czując że walił mury i gruchotał palisady. Miło było i straszno razem patrzeć na tego człowieka z tak zimną krwią i z takim zapałem idącego naprzód a naprzód, pod niebieską chorogwią nadziei. Pierwsze trudności przełamane, pierwsze lata nowicjatu przebyte uczyniły Adama pewnym siebie i monomanem prawie, tak silnie już wierzył w wielką swą przyszłość. Gardził wszystkiem co spotykał po drodze; przyjaźnią, przyjemnostkami życia; pięknymi kwiaty co rosną nad brzegiem młodości, póki się ona w szerokie, na łożysku piaszczystem, nie

rozleje później jezioro, którego fale igrają tylko z kamymi i muszlami. Jemu te kwiaty na nic, jemu lotus kwitnie dalej; deptał co napotkał, pomijał ze wzgardliwym uśmiechem. Częstośmy go wzywali pomiędzy siebie na młodzieńcze zabawy, wówczas stanął, odwrócił się, spojrzał, wzruszył ramionami, wskazał na książkę którą niósł pod pachą i szedł dalej.

Długo tak, długo trwało, ale zawsze być nie mogło. Samą nadzieją ciężko i coraz ciężiej wyżyć mu było, począł chmurzyć czoło i wzdychać; począł nawet wątpić, w co dawniej wierzył tak silnie. I często dla gwaru ulicy, dla pięknej twarzy, dla pary oczów, co jak dwie gwiazdy spadające mignęły przed jego oknem, rzucał księgi na kolana i dumał a dumał. To znowu wychodził z założonemi rękoma na przechadzkę po nad Wilję sam jeden i siadał gdzie myśleć, marzyć. Chciał wcześniej skosztować nagrody trudów swoich, bo mu zasychało gardło od pragnienia.

Niespokoił się jak podróżny, co widział w lesie światło od okna ciepłej gospody i do drzwi jej trafić nie mógł. Dziecięciu pracy, wychowalcowi cierpienia, chciało się już chociażby odetchnąć lżejszem powietrzem. I młodość mówiła mu: jeszcze wszystko przed tobą i lata i nauka i wielkie morze... napij się ze strumyka, ochłódź usta spalone.

— Jutro, jutro — odpowiadał Adam. — jeszcze wytrzymam. przeboleję. a potem wszystko moje, cały świat, cały raj.

Adam rzadko chodził do kościoła, bo dobroczyńcy jego nie namaścili mu ust modlitwą, nie przeżegnali piersi krzyżem Chrystusowego pokoju, nie uwieńczyli głowy nauką boską cierpienia i poświęceń. A nic, nic

nie biło mu serce na głos dzwonu, na świętą pieśń kapłana; leciało to wszystko jak potok z gór po głazie, co ledwie go z pyłu omyje, ale nie zmiękczy, nie przejmie. Były jednak chwile jakiejś tęsknoty, które przyszły w drugim perjodzie jego życia; były chwile, w których wiedziony niewidzialną ręką anioła-stróża, co mu go matka u Boga uprosiła, szedł do kościoła, oparty o słup stawał, myślał. Wówczas myśli jego przybierały barwę dziwną, smutną i wątpił o sobie, o wszystkim, i szukał coby zastąpić mogło, gdyby utracił wszystko... a nie widział jeszcze. On się nie modlił w kościele, ale potrzebował być w nim czasem i podumać; ciągnęło go coś szaremi mroki w pusty kościół.

Raz z przechadzki niedzielnej wbiegł on do św. Piotra. Wnętrze kościoła oblane zmrokiem wieczornym, dziwacznie się wydawało w pokrzyżowanych cieniach i światłach mdłych od kilku lamp i świec i od kilku okien. Na lazurowym tle sklepienia ulatywać się zdawały anioły białe, które tam pokładł snycerz, jakby zwieszzone w powietrzu; kilku dziadów siedziało u proga, a jedna kobieta klęczała w ławce. Adam wszedł, oparł się i dumał, nic, nikogo nie widząc, całą duszą w dumaniu. Nawet kobiety nie spostrzegł, choć każdy inny najpierwejby ją tam zobaczył. Była młoda, a jak cudnie piękna! Nie młodość tylko i świeżość piękną ją czyniły, ale rysy twarzy jakby idealnego rysunku boskiej jakiej Madonny. Na białą i ledwie zarumienioną życiem twarz spadały czarne połyskujące włosy, z pod których świeciło czoło marmurowe, ni jedną marszczką nie przecięte. Pod niem paliły się czarne oczy osłonięne rzęsy długimi, nos prosty grecki przedłużał linię czoła, a pod nim znowu nie wielkie usteczka w łuk zagięte, czegoś

smutnym uśmiechały się wyrazem. Ował twarzy kończyła broda wdzięcznie zaokrąglona. Smutny spokój był w oczach i ustach, chrześcijańska zda się rezygnacja na nich spoczęła i oblała je niewymownym swym urokiem. Ale tak li było w istocie, czy to tylko twarz włożona do kościoła razem z kapeluszem? O! pewnie włożona to twarz tylko, w której wdzięcznie było kobiecie; bo z pod smutku przegląda wesele, jak różowa z pod białej sukni balowej, z pod rezygnacji niecierpliwość.

Spojrzała na Adama i zdziwiła się. On na nią ani patrzył, ani się ku niej obrócił, ani był ciekawy jej pięknych oczu, jej anielskiej zobaczyć twarzyczki. Wszedł nie schyliwszy głowy i stanął z oczyma wlepionemi w ciemny głąb kościoła. Kobieta zakaszłała, zaruszała się, zaszeleściła jedwabną suknią, westchnęła. I nie spojrzał jeszcze! nie spojrzał na nią! Cóż mu jest? — zapytała w sobie. Bardzo nieszczęśliwy, albo najszcześliwszy, że świata nie widzi i widzieć nie pragnie i niczego nie szuka w koło siebie.

I westchnęła raz drugi, a westchnienie poszło napróżno, tylko od niego zamigotała lampa przed obrazem. Wyraz smutku miłego ustąpił z twarzy kobiety i weszły na nią ciekawość, niecierpliwość, niepokój. Bo czemuż nie spojrzał na nią?

I przyglądała mu się z ciekawością, aż uznawszy go młodym i pięknym, podwójnie się zdziwiła. W tej chwili Adam się odwrócił i oczy się ich spotkały; kobiecie paliły się niecierpliwością; mężkie osłaniała mgła łez, co nie wydobywszy się jeszcze z powiek, pod niemi krążyły.

A taka była siła łzawego spojrzenia, przez które łowygląda tysiące myśli o przyszłości, że przed niem za-

chwał się wzrok kobiecy i bezsilny upadł na ziemię. Ale podniósł się raz drugi i spotkał już inne wejrzenie. Adam całą duszą patrzył na kobietę, jakby ją pierwszy raz w raju u boku swego zobaczył; pierwszy raz, najpierwszy w życiu, zabiło mu serce niepokojem miłości, pierwszy a najpierwszy raz spotkał się oko w oko ze swoją narzeczoną przyszłością, tak mu się zdawało i powiedział w duszy: oby tak być mogło! oby to była przyszłość moja!

Niestety! spełniło się życzenie; była to cała jego przyszłość!

Kobieta poruszyła się z ławki i wyszła z kościoła, Adam pociągnął się za nią. U drzwi biorąc święconą wodę, obejrzała się, postrzegła go, zarumieniła się, obróciła raz jeszcze i z bijącym sercem, dumna zwycięstwem swem wyszła. On patrzył, patrzył i cały był w oczach, cały oczyma. Ale wkrótce załamał ręce i stanął wryty na progu smętarza; piękny powóz zajechał po nieznajomę, która siadła do niego, spojrziała raz jeszcze tylko i wskazawszy ludziom ręką na miasto, otulona salopą odjechała. Adam byłby szedł na koniec świata za nią, gdyby szła pieszo, ale za odjeżdżającą powozem, nie pogonił. Z innego to świata istota, pomyślał, jeszcze ja od niego daleko, ale kiedyś w nim będę... o! będę. I począł wracając do domu dumać, a dumanie zaprawiło się żółcią i octem, bo myślał już jak nieprędko wejdzie w upragniony świat, on co jeszcze tak był nisko, i ile lat upłynie i powiednie łodygami bez kwiatów. I ona, dodał w myśli, uwiednie także.

A młodość odpowiedziała mu potrzęsając swój niewyczerpany róg obfitości: nadziei. Za nią będzie sto

innych i stokroć wdzięczniejszych. A serce westchnieniem rzekło: sto tamtych, za tę jedną.

W tumanach pyłu znikł powóz, a Adam podobno nie rychło wrócił do samotnej swej izdebki.

Czegoż mu teraz ciasno i duszno, i wziąć się nie może do przerwanej pracy, napróżno niedawno przerwanych myśli nie chcąc związać. Usiadł, otworzył książkę; wlepił oczy, czytał, ale nie wiedział sam co robił, po głowie wlokły się jakieś cienie szeleszcząc jedwabnemi sukniami, migając czarnemi oczyma, napróżno je opędzał, przychodziły znowu i jeszcze i jeszcze, aż zniecierpliwiony, rzucił książkę, wziął za czapkę i wyszedł; nie chciał się sam przed sobą przyznać, jakie na nim wrażenie sprawiło jedno spojrzenie kobiece. Powiedział sobie, skłamał sam przed sobą, że był chory. Bez celu wyszedł zaułkiem na ulicę zamkową, pociągnął się około akademickich murów i wprost ciągle idąc, zaszedł aż ku teatrowi. Adam raz tylko od czasu swego pobytu w Wilnie był w teatrze i to gwałtem prawie zaprowadzony; teatr zdawał mu się dzieciństwem, zabawką próżną bez celu i znaczenia. Teraz mijając wrota wiodące do niego, zastanowił się i sam nie wiedząc co i dla czego czyni, wszedł, kupił bilet, wsunął się na parter.

Sztuka już się była zaczęła; pierwsza aktorka wileńska panna Izabella G... występowała w roli kochanki, a nie wiem kto grał ulubionego. Słowa aktorów wywołały rumieniec na twarz Adama, słuchał ich chciwie, a wstydził się za tych, co je wymawiali. Miłość zdawała mu się czemś tak świętem, że ją udawaniem profanować, głoszeniem jej tajemnic znieważać nie godziło się. Ten człowiek, co wczoraj jeszcze śmiał się z miłostek, co nie wierzył w poetyczność kobiety, dziś już całkiem

nawrócony słuchał, bolał słuchając, i marzył nie o wczorajszej przyszłości swojej, ale o miłości tylko. Nagle zapragnął jej z całą siłą, z jaką przed chwilą chciał zdobyć wielką i świetną przyszłość. I mówił sam przed sobą: byleby ustami dotknąć tej złoconej czary, a pójdę dalej! Chwila stracona odzyska się łatwo i sił nabiorę, wytrwałości, cierpliwości. Nie wiedział, że kto dotknie tej czary złoconej, upije się pierwszą kroplą, nie jest panem siebie, a często potem dopijać musi męty, nie mogąc od nich oderwać: nie będąc już dość silny, by się cofnąć.

Adamowi serce biło gwałtownie, oczy pałały, wołał w duszy: *kochać! kochać!* I obłąkanym wzrokiem powiódł po sali. Na lewo, tuż nad nim w łoży, sama jedna siedziała niedawno widziana kobieta.

Poznałby ją wśród tysiąca, chociaż nowy strój odmienił ją wielce. Ubrana była z całą wytwornością kobiety, co chce oczy zwrócić na siebie, co trochę dumna jest ze swej piękności. Strój jej świecił może zbytnią ilością błyskotek, ozdóbek, ale one nie raziły, bo były dobrane do siebie i z sobą zgodne. Adamowi wydała się piękniejszą jeszcze, idealniejszą; jemu, co tak rzadko widywał kobiety wyższego świata. Spojrzał na nią i zarumienił się zdumiony, uradowany; ona patrzyła także, widocznie go poznała. Podniósł kilkakroć głowę i zawsze spotkał jej oczy, co niby przypadkiem przebiegając salę, na nim się chwilę zastanowiły.

— Kto to taki? nie wiesz kto to taki? — spytał ściskając mnie za rękę i wskazując na łożę.

— Co ci się stało! — zawołałem — ty w teatrze? o! zgroza!

Adam się zmarszczył i powtórzył nie tłumacząc się i nie odpowiadając. — Kto to taki? znasz ją?

— Kogo?

— Tę kobietę.

— Ale nie jedna tu kobieta — odpowiedziałem śmiejąc się.

On znowu brwi namarszczył niecierpliwie, jakby się obawiał, żeby mu nie uciekła, nim się dowie kto jest.

— Ot ta! — I wskazał oczyma ściskając mnie coraz mocniej za rękę.

— To! to pani S... pani Paulina.

Adam powtórzył moją odpowiedź machinalnie, wpa-
trzył się we mnie i szepnął:—a wiesz ty gdzie mieszka?

Znowum się rozśmiał.

— Adamie, oszalałeś czy co?

Niecierpliwie się wstrząsał.

— Zakochałeś się w niej? Jakże dawno?

— Dziś ją pierwszy raz widziałem — odpowiedział miarkując i sam niby z siebie śmiejąc.

A śmiech ten był tak przymuszony, że aż mi się przykro od niego zrobiło.

— Mieszka niedaleko ratusza, w domu... Adam za-
ledwie to posłyszał, odskoczył i stanął znowu na miejscu,
z którego mu najlepiej było patrzeć na łożę Pauliny.

Ale nie sam jeden rzucał w nią wzrok ognisty, z par-
teru pełno wejrzeń do tej łoży leciało; a żadnego nie
odpychano, na niektóre odpowiadano pół uśmiechem, na
inne skinieniem głowy, na inne jeszcze zimnym wzro-
kiem co to mówi: Ja cię nie znam i znać nie chcę.

Uważałem, że oczy kobiety częściej zwracały się na
Adama, przelatywały po nad nim, padały gdzieś daleko
i wracały znowu, a mijając go, dotykały znowu. Pod

każdem jej werzeniem Adam cały się płomienił, wstrząsał i nim sztuka skończyła, nieszczęśliwy całkiem postradał głowę.

Ruszano się do wyjścia, on poskoczył, przebił się przez ściśniony tłum, stanął u drzwi, czatował, aby ją widzieć raz jeszcze. Oczy ich znowu się spotkały, ale wejrzenie nie nagrodziło Adamowi boleści, jaką uczuł widząc tę kobietę otoczoną rojem młodzieży, uśmiechającą się do niej, mówiącą głośno, odwracającą się to tam to ówdzie, szafującą sobą dla wszystkich. Smutny powrócił do siebie i padł na łóżko w swej izdebce. Miał się przygotować na jutrzejszą próbę, nie potrafił. Spuścił się na to co już umiał, zaczął marzyć i zasnął.

Przebudzenie było zgryzotą, niesmakiem, wstydem dla niego, przypomniał sobie wczoraj i zarumienił się, zaczął czynić wyrzuty i gwałtem wrócił do nauki. Ale nie z dawną swobodą umysłu, zapaleń; rozdwoiły się myśli, chęci, nauka nie szła do głowy. Niepodobna szczegółowie opisać postępów namiętności i zmian biednego Adama; powolnie przyszedł do zupełnego zaniedbania się. Wymawiając się sam przed sobą, poprawę odkładając na jutro, stał się innym cale człowiekiem; zaczął dniami całymi przechadzać się pod oknami Pauliny, biegać, szukając jej, do kościołów, na przechadzki, na teatr. A ona? nie zgromiła go wejrzeniem, nie zraziła obojętnością, nie odepchnęła; owszem rzucała nań swoje najsłodsze spojrzenia, czasem przelotnym witała uśmiechem, czasem pokazywała mu się w oknie, a śmiała się w duszy z biedaka, któremu zawracała do ostatka głowę. On nie widział, jak go nadbiegającego wieczorem pod okna, wskazywała szydząc palcem przyjaciółce, gościom, jak wyśmiewała chód jego, spojrzenie, miny, jak

się zakładała, że go znajdą w kościele, na przechadzce.

Trwało to dosyć długo. Adamowi dość było tylko patrzeć na nią, widzieć ją z daleka, złapać wzrok lub uśmiech, co go sobie inaczej tłumaczył, gdy najczęściej był tylko uśmiechem szyderstwa, czasem dumy.

Bał się zbliżyć do niej, aby cały gmach urojeń i marzeń, dotknięty palcem rzeczywistości, nie runął. Nie-doświadczony, pełen prostych myśli i nadziei, miał on jakby przecucie niebezpieczeństwa instynktowe, znał przytem jak położenie towarzyskie dzieliło go od tej kobiety, jak z innego była świata, lękał się do niej przystąpić; a choć pochlebiał sobie, że go przyjmą najlepiej, nie chciał próbować jeszcze, może też duma go wstrzymywała. W pół roku stawszy się pośmiewiskiem współ-towarzyszów, za pierwszą zrzecznością wejścia do domu pani S... chwycił ją i z bijącym sercem pospieszył.

Byłem tam gdy wszedł; naprzemian czerwony to błądy, niezgrabny, przełęczniony, nie wiedząc co zrobić z sobą. Ktoś go przedstawił pani S..., która nadzwyczaj zimno, jakby pierwszy raz widząc go w życiu, powitała z góry i prędko odwróciła się. Biedak upadł na najbliższe krzesło, spuścił oczy i zdawał się zabity. Postąpiłem ku niemu, zawiązałem rozmowę.

— Na Boga — rzekłem po cichu — odważniej Adamie, wzbudź w sobie gniew, jeśli się umiesz gniewać, dumę jeśli możesz; ale nie miej tej miny okradzionego.

Ścisnął mnie za rękę i szepnął, mimowolnie czyniąc swoim powiernikiem: — Widziałeś jak mnie przyjęła?

— Tem bardziej nie pokazuj po sobie, żeś to głęboko uczuł. — Podniósł głowę, odszedłem, ale widziałem, jak obłąkanym wodził wzrokiem ciągle ku niej błagające zwracając wejrzenie.

Paulina była w najgorszym humorze, zbliżyła się do tego, co wprowadził Adama i kwaśno zapytała:

— Kogoż to mi pan prezentowałeś?

— Młodego człowieka wielkich nadziei.

— Nadzieje zwykle zawodzą — odpowiedziała — o to nie pytam, ale któż to taki?

Zmieszał się przyjaciel domu.

— Jak mam pani powiedzieć? — A po chwili dodał:
— ubogi, sierota, ale...

Paulina już słuchać nie chciała.

— Dla czego-żeś go pan wprowadził? — spytała groźnie.

— Więcej ani ja, ani on tu nie przyjdziemy — odpowiedział urażony biorąc za kapelusz.

— Ale pan mnie nie rozumiesz — przerwała żywo Paulina — ja nie umiałam się zapewne wytłumaczyć; *ne vous fâchez pas, vous êtes comme la poudre, s'enflam-mant pour rien*. Chciałam tylko wiedzieć, kto to taki?

Odeszła źle pokrywając zły humor, bała się, aby zapalony młodzik jej nie skompromitował. Wybierała też dla niego najsurowsze spojrzenia, najwzgardliwsze w rozmowie słowa; unikała go widocznie. Adam wyszedł z tego nieszczęsnego wieczora chory, rozbity, gniewny na siebie, na przyjaciela, na Paulinę, na kobiety, w ogólności na świat cały.

Nadchodził egzamin; przygotować się do niego nie mógł i spodziewanego stopnia z nagrodą, co całe jego stanowiła bogactwo, nie otrzymał.

Z rozpaczą spoznał w przyszłość; rok znowu potrzeba mu było pracować, rok dłużej czekać, rok życia stracić. Pobiegł szalony pod okno Pauliny, a jej uśmiech nagrodził mu wszystko, uśmiechnęła mn się, spoznała, jak spoglądała i uśmiechała się, gdy ich nikt nie widział,

gdy ją to kompromitować nie mogło. Nie wiedząc co czyni, Adam wbiegł do niej. Nadspodziewanie przyjęła go. Siedziała sama jedna w swoim saloniku na kanapie, wskazała mu krzesło, zaczęła rozmowę. Biedny zakonchany, zrozpaczony, chciał jej wyznać swoją miłość szaloną, chciał do nóg jej upaść prosząc, by go raz na zawsze odepchnęła; napróżno. Niekroć rozmowa nachylała się w niebezpieczną stronę. Paulina zrećnie zwracała ją w inną, i szydersko, zimno, wyrywała mu odwagę. Nareszcie ktoś trzeci nadszedł i tak się wszystko skończyło. Paulina skryła swój uśmiech i wejrzenia, stała się zimną, obojętną, prawie gniewną. Adam powrócił do domu zrozpaczony.

Nazajutrz rano mijając jej okno, spotkał się z wejrzeniem słodkiem, z ukłonem i kilka kwiatków upadło mu pod nogi. Znowu był szczęśliwy. A kobieta? śmiała się z niego. Jak dzieci igrają z ostrym nożem nieraz, tak kobiety z nami; ostry nóż i skaleczyć przecie i roztrzaskać się sam może. Ale one w to nie wierzą.

Pani S... była wdową od trzech lat i zupełną woli swej panią, wiedział o tem Adam i karmił się nadzieją. Nie wiedział kto Paulina i nic nie znał prócz jej twarzy i spojrzenia, nie dowiadywał się też o nią, z nikim prawie o niej nie mówił. Ona tymczasem rzucając mu jak jałmużnę wejrzenia i uśmiechy, już była ręką swą przyrzekła innemu, a tym innym był zjedzony od trądu, krzywy, łysy, w rudej peruce P...

Adam nic o tem nie wiedział. bujał w marzeniach i nie troszcząc się już o swoją przyszłość, wszystko poświęcił najszaleńszym nadziejom. bez podstawy, bez kształtów wyraźnych w jego nawet oczach.

Jednego wiosennego wieczora, gdy cała ludność

Wilna wysypała się na Antokol, ku Tivoli i Sapieżyńskiemu ogrodowi, Adam zamyślony, popychany od tłumu, szedł powoli ku św. Piotrowi. Powozy i ludzie mijali go; wszedł do kościoła otwartego, choć dnia tego nie było święta ani nabożeństwa. Zakrystjan rozścielał dywan przed ołtarzem najświętszej Panny. Adam siadł w ławce, podparł się na rękę i dumał. Zakrystjan zmierzył go ciekawemi oczyma, ruszył ramionami i odszedł. Został sam jeden, przypominał sobie pierwsze z nią spotkanie i porównał swe życie dawne z teraźniejszym; wyglądając z tego nowego świata na przeszłość, widział ją biedną, zimną, bez liścia i kwiatów, nie rozumiał jak w niej mógł tak długo wytrzymać.

— A teraz? — rzekł w sobie.

— Teraz żyję — odpowiedział.

— A przyszłość? — spytał głos wewnętrzny.

Nie na to nie odpowiedział, lecz w duszy swej powtórzył wielkie kłamstwo, którem się codziennie upajał. Ona mnie kocha! Cóżby znaczyły jej spojrzenia, jej uśmiechy i te kwiaty wyrzucone z okna, które mi wyschły na piersi; i te półsłowa tajemnicze? Ona mnie kocha.

Długo a długo tak marzył; już zmierzchać zaczynało, kościół świecił tylko kilką oknami, coraz słabsze rzucającami światło, czas było wyjść, powrócić do domu; on siedział. Nagle ruch się zrobił w kościele, zaczęto chodzić, świece zapalać u ołtarza, kilka osób przebiegło, szeptało. Organy zapiszczały raz i zamilkły. Adam podniósł głowę. Były-li to przygotowania pogrzebu czy wesela? Nie wiedział, nie spytał, pozostał. Turkot powozów dał się słyszeć, wkrótce potem szelest we drzwiach:

ciekawie odwrócił głowę. Spojrzał: w ciemnościach zaświeciła biała długa suknia.

Drobnym, szybkim krokiem szła pani młoda przed ołtarz a mijając Adama, odwróciła głowę, uśmiechnęła się raz jeszcze, jeszcze raz, by go dobić. Obok niej szedł narzeczony ze wszystkimi swemi krzyżami na piersiach, w nowej rudej peruce, w białej kamizelce i czarnym fraku. Adamowi na ten niespodziewany widok ścięły się zęby okrutnie, oczy stały słupem, zawołał coś wielkim głosem po łacinie, rozśmiał się, poskoczył ku drzwiom okręcając się na jednej nodze i zniknął.

Niedawno przechodziłem około ratusza, spiesząc do jednego ze znajomych; biegłem szybko trotuarem, aby się rozgrzać, gdy nagle w poprzek drogi wyciągnięte nogi czyjeś wstrzymały mnie. Cofnąłem się, aby minąć, jak mniemałem, żebraka, i spojrzałem na niego. Oparty plecami o ścianę, siedział na gołym bruku z głową pochyloną na piersi, na krzyż założonemi rękoma, podarte szmaty akademickiego munduru okrywały go. Długie włosy osłaniały twarz żółtą, zbrukaną, zarosłą. Pomimo wychudzenia, zmiany, poznałem biednego Adama, o którym już wprzód słyszałem, że skutkiem zbytecznego przykładania się do nauki, przed samemi egzaminami zwarjował. On także wlepił me mnie oczy i uśmiech przebiegł mu przez usta. Przycisnął ręce do piersi, zamarmotał coś pod nosem i wlepił oczy w okna przeciwległej kamienicy.

— Doktor filozofji! Ona mnie kocha!

Te kilka tylko słów wyraźniej wymówionych zroznać mogłem.

— Adamie! Adamie! — zawołałem — nie poznałeś mnie? Co ci to jest?

Uśmiechnął się znowu szydersko, i wskazując mi ręką, abym szedł dalej, kładł palec na usta, potem szepnął: — Otrzymałem posadę, jedziemy, czekam na nią. Ona mnie kocha! nie wierz temu co ludzie mówią.

Smutny odszedłem od niego. Później widziałem go raz jeszcze, ale już w szpitalu Bonifratrów. Nie wiem na jaką uroczystość, zebrało się wiele osób do kościoła, aby usłyszeć amatorską muzykę i widzieć obłąkanych.

Kilku ich stali niedaleko drzwi lewych z kościoła do szpitalu wiodących. Tam z dziecinną ciekawością kobiety, młodzież z uśmiechem na ustach, z wesołą twarzą szli patrzeć na najsmutniejszy widok w świecie. Mijając szybko te drzwi, na które patrząc dreszcz mnie przejmował, ujrzałem bladą twarz Adama z jego wiecznym na ustach uśmiechem. Jakaś kobieta strojna wytwornie, z lornetką w ręku zbliżyła się ku drzwiom i spojrzała w głąb, a patrząc pobladła, zaczerwieniła się płomienisto, zadrżała. Zastanowiłem się mimowolnie; Adam patrzył na nią i palce kładł na usta, jakiś niebiańskiego szczęścia wyraz rozlał się po jego twarzy, jak gdyby czarowny sen mu się ziścił, jakby ujrzał otwarte niebiosy; patrzył... patrzył... a mnie, spoglądając na niego, aż źle się robiło. Kobieta jeszcze trzymała lornetkę w ręku, ale drżała ręka i całe jej ciało, jak od silnego uderzenia, chwiało się. Oczy obłąkanego wlepione w nią w obliczu wszystkich, trzymały ją niepojętą siłą na miejscu, choć chciała uciekać, choć dałaby może pół życia, aby być o sto mil ztamtąd. Nareszcie odwróciła się od niego blada, nieprzytomna i chciała odejść. Adam rzucił się za nią do drzwi; na ten szelest spuściła głowę przełęczniona i upadła. Wszyscy pobiegli ją ratować, a okute wrota szpitalu z trzaskiem się zawarły i za niemi

słysząc było krzyk i wrzawę i szamotanie się, których muzyka zagłuszyć nie potrafiła.

Paulina przysłała wkrótce do siebie, lecz chora powróciła do domu. Mąż to przypisywał znużeniu i powietrzu wiosennemu; ludzie różnie mówili. We trzy dni potem byłem u niej na wieczorze, i wszyscy wybornie się bawili, a gospodyni uśmiechała się tak wdzięcznie, tak miłuchno, tak swobodnie jak zawsze.

O matko moja, gdy czytać to będziesz, nie drżij nad synem swoim. Głęboko w sercu trwa boleść, krwawi się rana, ale głębiej jeszcze tkwi inne pojęcie przeznaczenia człowieka. Adam wierzył w szczęście na ziemi i pracował na nie tylko; ja nie szukam go tutaj, i życie, jako spełnienie świętych obowiązków, uważam. Dla tego dziwny mi się zdaje Werther Götthego. Co za egoizm! co za poziome pojęcie człowieka celu! co za puszczenie cugli namiętności!... O! można kochać i kochać na wieki, na wieki bez nadziei a jednak żyć; żyć dumnym zwycięstwem nad sobą, cierpieć, milczeć i spełniać kielich jak gorzkie lekarstwo. Alboż człowiek dla siebie tylko stworzony? Nie, w społeczeństwie całym jego miejsce. Niczem on, wyrwany z niego; nikczemnym odosobniony, odcięty; wielki, gdy się siebie dla wszystkich zapiera, gdy się poświęca i uważa tylko za część całości. A wszelka część sama przez się biorąca się, fałszywą i ułomną jest. Pamiętajmy żeśmy winni siebie ludzkości, i obowiązani życie swe spełnić do końca.

15. *Wrzesnia.*

Rozmyślałem, rozmyślałam, jak mam się stać użytecznym. Kręcę się w kółku, z którego wynijść nie mogę. Do jednego jam niezdolny; do drugiego czując powołanie, małe przewiduję korzyści.

Bez zawodu, najszczytniejszem powołaniem jest stan kapłański, owego pocieszyciela ubogich, stróża stojącego u łóżka konających, co słowa pociechy niesie ku uleczeniu wszelkich boleści duszy. Ale mamże siły po temu? Nie uwodzę się i odpowiadam sobie: nie. Wielkie, święte jest powołanie katolickiego kapłana, który się zapiera rodziny swej, świata, nazwiska, majątności, aby służył wszystkim co sługi nie mają, aby bolał wszelką boleścią i wszystkie łzy ocierał. Zakres czynności jego ogromny, niezmierzony, wspaniały; ale gdzież we mnie siły, by taki ciężar wziąć na siebie? Nie, nie; za wysoko spojrzałem.

Piękny także jest stan lekarza, czyniącego dla ciała to, co kapłan dla duszy, gdy pojmie wielkość swego powołania, gdy na nie patrzeć będzie jako na obowiązek dla ludzkości, nie zaś jako na chleba kawałek dla siebie. Ale w tych dwóch stanach nie mieści się wyłącznie wszelka użyteczność człowieka. W każdym pracować dla drugich i użytecznym być można. Pisarz, który myślą swą, jak pelikan piersią, karmi naród; artysta, co wciela idee wielkie i wzniosłe, nie sąż w innej sferze pracownikami znakomitymi dla ludzkości?

Wszystko cokolwiek podejmie człowiek z myślą nie-samolubną, w widokach dobra bliźnich, na korzyść ich pójść musi. Ale nie każdy szczęśliwy trafi na myśl

prawdziwie potężną, co po sobie, jak pług na roli, zostawia żywną skibę. Jedni z odwróconą ku przeszłości w tył głową idą; drudzy naprzód spoglądając, inni pod nogi. Tak! ale wszelka praca dla ogółu, widocznie korzystna lub nie, jest piękną, jest wielką przez to już, że nie samolubną.

Pracujmy! Nauka ciężka, mozolna, będzie mi lekarstwem na rozdarte serce; pociesz mnie, że się ludziom na coś przydam. W szczęście nie wierzę; nie jest ono, tutaj przynajmniej, przeznaczeniem naszym, i połowa błędów ludzkich wynika z dziwnego wyobrażenia o szczęściu ziemskim, o podobieństwie jego. Losy ludzi i losy ludów zmarniały nieraz w tem ciasnem pojęciu. Jak po skalistej drodze ku górze idąc, wspierajmy się wzajem, by ulżyć trudu; ale nie myślmy, by znaleźć spoczynek aż u wierchołka.

Wiara w szczęście zgubną jest; ona poniża i obala człowieka; z nią nic wielkiego się nie godzi. Nie mierzymy życia rzeczywistego ideałami, które w nas żyją; nie uczynajmy tej próżnej walki, w której zwyciężeni być musimy. Marja zamknęła za sobą wrota raju i zaparła niemi drogę złocistym fantazjom. Żyją one i żyć będą w duszy, ale na świat nie wynijdą. Bądźcie zdrowe sny mojej młodości, wróćcie we mnie. Surowe życie, spełnienie obowiązków, poświęcenie, ofiary czekają na mnie. Bez ofiar nie ma cnoty.

O! któż wypowie, co się we mnie dzieje!

16. Września.

Odwagi, odwagi! Niech serce boli, przeboli. Niech się ludzie naśmiewają, sumienie śmiech ich obraca w pochwałę i plecie z niego wieńce. Nie chcę widzieć Marji! Na cóż mam truć jej spokojność, szarpać ją wspomnieniem, które nie ma związku z przyszłością?

Utrapiiony mąż zdaje się mnie ścigać. Wczoraj spotkaliśmy się w ulicy; napróżno chciałem uciec od niego, schwycił mnie pod rękę i nie dał pokoju, aż prawie gwałtem wyrwać mu się musiałem.

— A! przecież pana spotkałem! — zawołał. — Cóż to jest, żeś nas nie odwiedził? Myślisz może, że cię tylko przez grzeczność zapraszam, ale na honor, nie. Szczerze, najszczerzej chcę, żebyś u nas bywał. Moja żona smutna; porzuciła nawet fortepjan i muzyki się wyrzekła; zmiłujże się, bywaj u nas, może ją potrafisz rozweselić. Wiem, że się kochałeś w Marji, ale to nic! Ja nie jestem zazdrośny. Tamto przeszło i skończyło się, a przyjaźń spokojna może zwyczajne młodzieńcze, przechodzące zapęły zastąpić.

— Prawdziwie — odpowiedziałem — umiem cenić jego przyjaźń, ale... czas mi nie pozwala.

— O! o! a mogłeś niemal co dzień bywać u rodziców dawniej, wszakżeśmy się spotykali.

— Daleko mniej miałem zatrudnień.

— Facecje, panie, blichtry. Tem się nie wymówisz. Znam ludzi. Musisz być u nas i bywać często; uczynisz to jeśli nie dla mnie, to dla mojej żony.

Przyciśniony, zmieszany, musiałem wreszcie odpowiedzieć jasno i wyraźnie.

— Pozwolicie mówić z sobą szczerze ?

— Właśnie proszę o to.

— Myślisz pan, żem kochał Marję, jak kochają pospolicie młodzi mojego wieku ludzie, szalenie a krótko i płocho. Mylisz się; kochałem ją i kocham, przywiązanie moje jest w całej sile i w całej boleści.

— Więc chciałbyś ją widzieć zapewne ?

— Pan dręczysz mnie! — zawołałem z rozpaczą prawie.

— Bynajmniej! Chcę mu ulżyć — zawołał śmiejąc się. — Nie jestem zazdrośny; kochałeś, przekochasz się i zostaniesz naszym przyjacielem.

— Pan więc nie widzisz niebezpieczeństwa ?

— Żadnego! Moja żona jest to anioł; pan musisz być uczciwym człowiekiem — dodał — samo jego postępowanie dowodzi tego. Wolę żebyście widywali się; tym sposobem owa zawołana miłość, w którą ja nie bardzo wierzę, prędzej ostygnie.

Spojrzałem mu w oczy i uciekłem. Urzędnik stał w miejscu i śmiał się jakimś niepojętym dla mnie śmiechem. Uciekając od niego wpadłem do pani Emmy zupełnie nie w porę. Było to tylko co po objedzie. Ona czytała książkę u okna; Jasieńko w szerokim krześle, paląc fajkę, drzemał. Byłem niepotrzebny, alem postrzegł się dopiero wszedłszy.

— Sam widzę — rzekłem — jak nie w porę moja wizyta; ale schroniłem się od człowieka, który mnie gonił, którego uniknąć nie mogę.

Jasieńko witając się obojętnie, milcząco, dał mi do zrozumienia, że mogłem wysmienicie schronić się w sieni, nie wchodząc do salonu.

— Odpoczywaj pan, nie przeszkadzam — dodałem —

ja zaraz odchodzę. — Pani Emma rzuciła książkę i zbliżyła się ku mnie. Jasieńko ocieżyła wznosząc powieki, nieznacznie się uśmiechnął.

— Trafieś pan — rzekł powolnie. — na trzeci i ostatni akt poobiednego odpoczynku, to szczęście. Mogę już mówić. Trzeba bowiem żebyś wiedział, iż trawienie jest mozolną pracą, która wedle reguł odbywać się powinna. Pierwszy akt tego gastrycznego dramatu jest niby przygotowaniem, ekspozycją. Drugi zajmuje wszystkie władze, ogłupia człowieka i wprowadza całą duszę do żołądka. W trzecim jesteśmy nieco wolniejsi, bo z gruba obrobiony materiał już się zamienić musiał w tę masę jednorodną, z której pożywny chyl się wyrabia.

Pani Emma parsknęła przymuszonym śmiechem.

— Otóż i nczona teorja! — zawołała spoglądając na Jasieńka.

— Wszystko może i musi mieć teorję swą — odpowiedział poważnie gastronom. — Użycie wszelkich darów przyrody wedle pewnych odbywać się musi prawideł, jeśli chcemy z nich tak korzystać, aby żadnej pruszynki przyjemności nie stracić. A tak powinniśmy. Jedzenie jest jedną z najwyższych życia rozkoszy, ale potrzeba umieć jeść i trawić.

— Mąż mój mógłby być profesorem w tym przedmiocie — przerwała Emma i spojrzała na mnie usiłując udać wesołość.

— Jestem zaledwie uczniem, zwłaszcza co do rozdysponowania stosownej ilości, jakości i następstwa potraw. Francuzi i Anglicy są mistrzami w tym względzie. U nich to wszystko wyrozumowane, nam pozostaje uwielbiać ich i naśladować. Dotąd karmiliśmy się, żarli, obżerali, aleśmy nie jedli. Karmić się a jeść, to wcale

co innego. Jeść mało kto umie u nas. Tak samo upić się potrafi każdy wyrobnik, pić rzadko kto. Jest to nauka, albo sztuka, *si vous voulez*, jak inne. Użycie życia! wielka, wspaniała rzecz!

— A! panie — zawołałem — pierwszy to raz słyszę coś podobnego; gotów jestem choćby przez ciekawość tylko zostać uczniem jego.

— I bądź pewien, że wielebys się nauczył rzeczy, o których ci się nie śniło. Tysiące rozkoszy leży dokoła nas, które pomijamy przez niewiedzę, psujemy pospiesznie, bydlęcem użyciem, lub których pojęcia nie mamy. Użycie zasadza się na sprzecznościach, podsyca umiarkowaniem. Cała to nauka. A nauka ta ma swoją filozofję.

— Cuda mi pan mówisz! — rzekłem śmiejąc się.

— Niestety nie jestem w stanie kursu mu całego wyłożyć. Nie mam dość przytomnego umysłu: kończę trawienie, które dziś mozolniejsze jest od innych dni. Nieszczęsne obżarstwo, ta szkaradna wada, nieprzyjaciółka prawdziwej rozkoszy, ciąży mi na żołądku. Nie dość miałem rozumu w czasie objadu; a rozum równie jest potrzebny nad talerzem, jak gdzie indziej. Wypiłem też wcale niepotrzebnie dwa kieliszeczki *maltańskich kropel* (*Gouttes de Malte*) przeciwko zwyczajowi. Przedziwna krzyżówka sarnia skusiła mnie; jestem ciężki i pełny jak beczka. Muszę dłużej w krześle pozostać i jeszcze kilka fajek wypalić. Fajka zaraz po objedzie przeszkadza trawieniu; nieco później ułatwia je. Wszystkiego potrzeba tylko umieć użyć!

Słuchając Jasieńka, który perorował, wpatrywałem się w żonę; szukałem w jej oczach odpowiedzi na pytanie:

— To-li jest twój ideał?—I dziwiłem się, że kobieta tyle razy zawiedziona, mogła na ostatku tak grubo się omylić i wziąć brzuch za serce!

Niepojęci są ludzie!

Na twarzy Emmy przechodziły tak różnych uczuć wyrazy, żem zbadać nie mógł, jakie zasadnicze uczucie je rodziło. Niekiedy wesółła i odmłodniała, rumiana, swobodna; to znów ze zmarszczonem czołem, zamyślona, mimowolnie wzdychająca, była dla mnie całkowitą zagadką, której wyjaśnienie musiałem na przyszłość odłożyć.

Jasieńko kazał podać sobie fajkę. Emma zaprosiła mnie do fortepjanu, który wyniesiony został do jej gabinetu, tak aby głos jego nie raził uszu nienawidzącego muzyki Sybaryty. Zaprosiwszy mnie abym grał, sama usiadła w oknie i spakłszy się na rękę, zadumała. Wiedziałem jak namiętnie czciła Beethovena i począłem grać marsz pogrzebowy z symfonji heroicznej.

Jej twarz rumieniała się coraz, oczy błyszczały, osłoniły się powiekami i kilka łez ukrywanych spadły na rękawiczkę. Te łzy były mi odpowiedzią zagadki.

Nie była więc szczęśliwą z Jasieńkiem?

Nie śmiałem jej pytać o to; godziłoż się? Ale jak kobieta takiego dowcipu, rozumu i doświadczenia mogła choć na chwilę pomyśleć, że się zgodzi z tą głową leżącą na żołądku?

Zamyślony odegrywałem jej z Beethovena, com tylko mógł sobie przypomnieć: solą jego Koncertów, motywa Sonat, tęskne jego Adagia, anim się porachował z czasem. Przerwał mi skrzyp otwierających się drzwi i wchodzący Jasieńko w watowanym surducie, kapeluszu na głowie, z laską w rękę, cygarem w ustach. Twarz jego choć nieco zmęczona na młodego chłopca,

jakim się mógł nazwać, świeciła przecież zdrowiem; niebieskie oczy połyskiwały dowcipem szyderskim.

— Może jużście się państwo nasycili muzyką—rzekł.
— Gdybyś mi pan chciał łaskę uczynić, poszlibyśmy razem na przechadzkę. Jeść i chodzić nie umiem sam jeden. Powrócim do Emmy na herbatę.

Zerwałem się od fortepjanu i wyszliśmy.

Nie mogę wypisać naszej rozmowy; była to dziwna mieszanina gastronomicznych rozpraw, dowcipnych uwag i skeptycznych szyderstw ze wszystkiego. Jasieńko dziwnie był otwarty i dobroduszny.

— Pan jak uważam — mówił — jesteś jeszcze w tym perjodzie młodości, w którym się wierzy we wszystko piękne, szlachetne i z daleka błyszczące; ja w nic nie wierzę, prócz *użycia*. Staram się pomnożyć liczbę przyjemności życia, to mój cel. Bardzo kocham ludzi, radbym im służyć; ale kosztem siebie i mojego szczęścia, drogooby było. Ofiara potrzebuje zastanowienia wielkiego; bo daremna ofiara jest po prostu głupstwem.

— Ale zawsze heroizmem.

— Heroizm ze trzech stron przytyka do głupstwa, a z czwartej tylko do nieznanej jakiejś dla mnie krainy.

W tym sposobie i ze swego właściwego stanowiska rozwiązywał wszystkie wielkie zagadnienia. Koniec naszej rozmowy był osobliwszy. Spytał mnie z zimną krwią i uśmieszkiem dowcipnym:

— Dawno pan znasz moją żonę?

Odpowiedziałem otwarcie.

— Nieporównana kobieta! — dodał — co za wyrozumiałość, jaka dobroć! Tyle mi wybacza!

— Przywiązanie tłumaczy wszystko... miłość.

— O! tylko nie miłość — przerwał. — Ona mnie lubi,

ale nie kocha; robi co może, nie wymagam więcej. Wiem o kimś, kogo kochała, kogo może kocha jeszcze— dodał — ale nie jestem zazdrośny.

I spojrział mi w oczy szydersko.

Chciałem go pożegnać. Prawie gwałtem wprowadził mnie z sobą do domu.

— Wiesz pan co — rzekł siadając w krzesło — będziemy sobie wzajemnie użyteczni. Ja cię nauczę żyć i używać, ty mnie nauczysz może bez mozołu i pracy, którą się brzydzę, zbliżyć się do przybytku nauki. Chciałbym coś umieć; ale nabywanie mnie zastrasza.

Rozśmiałem się.

— Nie śmiej się pan, to rzecz całkiem serjo. Potrzebaby rozdumać, rozważyć, wyrachować, czy nauka warta pracy i czasu, który jej poświęcam?

— Ona podnosi człowieka.

— Tak! tak! i odrywa go od żywego świata, w którym jedynie jest na miejscu. Nauka jest martwą.

— Ona owszem obdarza nowem życiem.

— Nie lękaj się pan, nie będę jej uwłaczał, umiem ją cenić. Ale dla mnie wielkiej wagi zagadką jest: nabyć jej bez mozołu.

— To niepodobna. Chciałżebyś dobyć złota, nie kopiąc się w głąb ziemi?

— Wszystkiego chcieć można. ale nie wszystkiego dopiąć podobna. Myślę od dawna nad tem, jakby nabyć nauki nie pracując. Pan mi będziesz pomagał.

— Zupełnie nie pojmuję, jak do tego dojść można.

— Doprawdy? Ja zaś myślę, że to rzecz podobna. Nauka rozproszona kawałkami się znajduje w książkach lekkich; można ją łapać w rozmowie, jak łapią ryby w mętnej wodzie, można się wiele domysleć, wysnuć

z czegoś wiadomego i tak powoli nabędzie się nauki nie pracując.

Emma zagryzała usta; ja milczałem.

— Pan mi musisz do tego pomódz, — rzekł Jasieńko, — wycisnę z pana co tylko będę mógł, uprzedzam.

Było tak późno, żem ich musiał pożegnać.

17. Września.

Pocziwy mój Wrzosek, widząc jak się znowu biorę do nauki chciwie, po dawnemu, jak spełniam wszystko co spełniać powinienem, jak wszedłem w dawne życie z pozorną spokojnością, ma mnie za uleczonego. Ścisnąc mnie za rękę wczoraj, winszował że nie chcę bywać u Marji.

— To ślicznie, — dodał, — mało jest ludzi co by się na to zdobywać mogli, ale ten sam heroizm przekonywa mnie, że twoja miłość była w głowie nie w sercu. Miłości serdeczne nie dają się rządzić głową; miłości tylko w głowie siedzące, głowy, to jest rozumu słuchają.

Tak dalece stary przyjaciel nie pojmuje, żeby panem siebie być można. O! jakże się we wszystkim myli, mając mnie za uleczonego, bo choroba weszła wewnątrz! sądząc żem nigdy prawdziwie nie kochał dla tego, że miłość nie rozwiązała się u mnie szaleństwem.

Dziwna rzecz! ludzie żeby pojęli siłę jaką, potrzebują koniecznie widzieć ją, jak wodę wyrrywającą groble, kruszącą tamy, łamiącą zapory; cicha siła nie wchodzi w ich rachunek.

A jednak, ja jeden tylko wiem, jak głęboko we mnie przywiązanie młodzieńcze do mojej anielskiej postaci, co mi się zjawiała, tęskno spojrzała i znikła; ja jeden

wiem co cierpię, co mnie kosztuje nie widzieć jej; wyrzec się, gdy nic prócz pojęcia świętego obowiązku, do tego mnie nie zmusza.

18. *Września.*

Dziś mieliśmy długą rozmowę ze starym przyjacielem; jak zawsze udawał że w nic nie wierzy i zapędziwszy się wydał z tem co umie, a co ukrywa jak występki. Dla czegoż, spytałem go, zaszłście tak daleko, głęboko w naukę, której żadnej nie dajecie wiary, co dla was jest tylko umysłowym łamańcem, gimnastyką myśli?

— Tere fere! — odrzekł, — naprzód ja nic nie umiem! A jeśli co tam gdzie i pochwyciłem, to powiem właściwie tak. Oto drudzy kiedy im źle na świecie, uciekają się po konsolację do butelki, inni do gry, inni w rozpustę się nurzą, inni muchy biją i fajkę palą dla dystrykcji, a ja czytam i potrochu uczę się.

— Nie wierząc w naukę.

— Wybacz kochany Juljuszu, gdy ci to powiem; nie ma niepewniejszego nic nad naukę. Człowiek ma przed sobą niezmierny świat, niepoliczony twory, ogrom nieprzebyte faktów i stosunków. Nauka, umiejętność są poznaniem, są opanowaniem tego ogromu, są wykryciem praw, któremi się on rządzi. Tymczasem każdy szuka, grzebie się za nauką w swoim kątku i z odłamku buduje prawo na całość; każdy co innego papla, każdy odrobinę prawdy uszczknął, a nikt nie doszedł całej. I tak być powinno. Walka umysłowa ze światem, który człek podbić usiłuje potęgą swą duchowną, jest i będzie

nieskończoną. Jakże mam wierzyć w naukę, gdy każdy wiek ma swoją?

— Możecie więc nie wierzyć w nauki, ale musicie wierzyć w naukę. Możecie nie opierać się na stanowisku dzisiejszem, ale niepodobna wam zaprzecć dążności wielkiej.

— I wiodącej ku czemu?

— Właśnie ku podbiciu wszystkiego co jest.

— Kiedy? — spytał Wrzosek.

— O! — zawołał rzucając się na kanapę i zapomniawszy na chwilę udawania: — kiedyś może, ale w świecie innym, oczy się nam otworzą i pojmiemy mgnięciem oka to, nad czem tutaj próżno wieki się mżolą. Ale na ziemi, gdzie zmysły nam kłamią, gdzie rozum we wnioskach ze zmysłowych wrażeń wyciąganych kłamie, gdzie musimy być na jednej stronie prawdy, a nigdy osiąść jej całej nie możemy, tak że poznanie zawsze cząstkowe być musi, i im cząstkowo doskonalsze tem jednostronniejsze; ale tu! nic nie umiemy, nic umieć nie możemy. Pozostaje nam wypiwszy do dna umiejętność ludzką, zawołać: pragnę! i paść spragnionym, wyznając że nic nie umiemy; pozostaje pewną dla nas tylko nieświadomość nasza, tylko nieudolność.

— A to według mnie najwyższy szczybel doskonałości, — przerwałem mu. — Zważcie, jakiej potęgi umysłowej potrzeba, jak dalekiego wejrzenia w to co doskonałe, aby uznać słabość swą i ograniczenie. Istota tylko taka jak człowiek może powiedzieć sobie: niedoskonały jestem. Wyznanie to podnosi ją i nową siłą obdarza.

— Siłą nieufności w siebie.

— Potężną.

— Ujemną.

Wrzosek puścił się w dowodzenia. Tu dopiero okazał jawniej niż kiedy, co umiał. Nic obcem mu nie było. Wyłożył mi historję astronomji i rzucił okiem bystrem na niedostateczności rachunków i określonych przez Kepplera i Newtona praw mechaniki niebieskiej. Niedocieczona natura gwiazd obłoczkowych różnego rodzaju, obserwowanych przez Herschela, obrót słońca, jego plamy, zmiany w ruchu ciał niebieskich, w samym obrocie ziemi niewytłumaczone oscylacje naszej kuli, dostarczyły mu materiału przeciwko umiejętności ludzkiej. Fenomena cyrkulacji krwi w człowieku, zadziwiająca budowa helmintów, ich rodzenie się, przekształcenia rozmaite, przyszły potwierdzić jak nie wiele umiemy jeszcze. Zeszliśmy do metody obserwowania i tłumaczenia natury, ja dowodząc że Bakona źle dotąd pojęto; on, że rękojmią postępu jest żmudna obserwacja i zbieranie, konfrontacja drobnych faktów.

Nie mogłem mu wystarczyć w tym szybkim rzucie oka na umiejętności, które on posiadał, a ja ledwie ich miałem ogólne wyobrażenie. Byliśmy od siebie daleko, jak synteza od analizy; naostatek wpadliśmy na przedmiot umiejętności ścisłych.

Tu przecie, myślałem uderzyć czołem będzie musiał przed nienaruszoną prawdziwością wniosków matematycznych i potęgą myśli ludzkiej, co je wywiodła z praw materji.

Ale nie !

— Matematyka cała, — odrzekł, — jest mozolną definicją, dowodzącą w nas bezsilności tylko. Cała umiejętność materji i jej form jest dochodzeniem prawa, które jest jedno i proste, a które pozostało nam zagadką. Dla tego naprzykład, mówiąc o naturze linji, musimy

mozolnie stawić ją w stosunku do wszystkich znajomych linii, porównywać, przecinać, aby dojść jej natury. Wszystkie twierdzenia matematyczne są cząsteczkami definicji jednej. Stosunki linii do przestrzeni, przestrzeni do brył, nabywamy powolnie przymierzając, porównując i myląc się.

— Matematyka się nie myli, — rzekłem.

— Jeśli się nie myli co do wniosków, to myli się ich niekompletnością. A uznasz sam pan, że prawda nie cała nie jest prawdą? Cała nienaruszona pewność matematyki zasadza się na przypuszczeniu oderwanem, idealnem, dwóch ilości jednakowych, równych a obok siebie nie w sobie egzystujących. Tymczasem pokażcie mi dwie istoty jednakowe zupełnie i całkiem sobie podobne?

— Punkt, linja, przestrzeń, bryła, są abstrakcjami i określeniami materji nierównej wartości nawet, bo jedna tylko bryła w istocie egzystować może, reszta rodzi się i żyje tylko w myśli. Do tego, nie wiesz waćpan zapewne, dorzucił, że w wielu bardzo prostych kwestjach, na rozwiązanie praw nie mamy i jesteśmy w oczekiwaniu. Matematyka jest tem, czem wszelka umiejętność ludzka, kupą materiału, z którego człowiek swoje gniazdo myśli buduje; nic więcej.

— Ale uznając to wszystko, uznacież także, iż nauka jest niepotrzebną? — spytałem.

— O! nie! ucz się kochanku, — rzekł śmiejąc się, — choćby tylko dla tego, abyś mógł powiedzieć w końcu, że nic nie umiesz. Wszyscy się uczym dla tego. Każdemu pokoleniu nowemu zdaje się, że stoi u szczytu, że pochwyciło i objęło prawdę, a prawda jest w nie-

biosach, na łonie Bożem; koniec tylko białej jej szaty obwija ziemię, i za ten koniec chwytamy.

Pomimo tę pozorną wzgardę nauki, Wrzosek każdy jej postęp śledzi, cieszy się każdym odkryciem i rozpala nowym krokiem jaki ludzkość cała czyni, w ślad za wielkimi ludźmi, co jej przewodzą. Ale po chwili zająęcia, zapału, opuszcza ręce i woła odczarowany: o! to nie dosyć!

19. *Września.*

Patrzac na mnie nie wierzą ludzie, że cierpieć mogę, że boleję i płonę wewnątrz! Wielka siła i moc nad sobą najtrudniej się pojmują.

Dziś widziałem ją znowu. Myślałem że nigdy nie ujrzę jej więcej. Trzebaż się było spotkać z nią w ulicy, wśród tłumu i po rozstaniu, co wiecznem być miało, co rozerwało wszystko wiążące nas, znowu się zobaczyć.

Szedłem z moim starym przyjacielem, rozprawiając jeszcze o nauce ludzkiej i o przeznaczeniu człowieka. Wielkie zagadnienia upajają i odrywają nas od teraźniejszości. Nagle czuję się schwytanym za rękę i głos znajomy męża Marji wita mnie ze śmiechem.

Ale on nie sam, ona z nim. Postrzegłem tylko kobięcą suknię i nie śmiałem podnieść oczów, drżałem jak zbrodniarz przed sądem, nie wiedząc co począć z sobą; powitałem ją nie widząc; mówiłem, a sam nie wiem com powiedział. Jakieś niezrozumiałe wyrazy z ust mi się rwały, przedzielane oddechem duszącym. Powietrza zabrakło piersiom, wszystko kręciło się do koła. Chciałem, nie chciałem i nie śmiałem spojrzeć... Nareszcie podniosłem oczy. O! strach mi było, aby ten obraz

nowy nie zatarł w mojem sercu anielskiego oblicza mojej dawnej Marylki. Bałem się zobaczyć ją zmienioną, przeistoczoną do nie poznania.

Spotkałem jej oczy niebieskie i uspokoiłem się; burza osiadła, jakby cudem.

Jej twarz powagę tylko, głębszy smutek i rezygnacji wyraz anielski zyskała; zresztą nic się w niej nie odmieniło. Oczy pływały w mgłach i łzach, usta były blade, lice białe, a pleć stała się przezroczystą prawie. Cierpienie upiękniło ją jeszcze; bo widać było cierpienie eiche, co się nie skarży, co na zewnątrz się nie objawia, a zwija się w sobie i pożera człowieka. Zdawało mi się że urosła, ale ona schudła tylko.

Urzędnik zawrócił się do pana Wrzoska, a mnie zostawił z żoną. Oboje nic mówić nie mogliśmy, idąc obok siebie, podnieść oczów nie śmieli. Ukradkiem tylko oblałem ją wzrokiem moim; ani wiem czy na mnie spojrzała. Uczuła wreszcie Marja, że głębokie wzruszenie trzeba było dla przyzwoitości pokryć obojętną rozmową dla świadków; zaczęła mnie pytać o moją podróż, o matkę. Odpowiedziałem kilką słowy pomieszzanemi.

— Jesteś szczęśliwa? — spytałem po chwili.

Ona nic nie odpowiedziała, łzy kręciły się jej pod powiekami.

— Nie bywaj u nas, — odpowiedziała po chwili, — proszę cię; nie bywaj. Na co rozdrażniać wspomnieniem serce, kiedy przyszłość nie nasza. Bądźmy obcy sobie.

I znowu milczenie... tylko mój stary z przymuszonym głośnym śmiechem zabawiał urzędnika. Szliśmy tak dość długo ulicą, a męki tego pochodu wypowiedzieć nie potrafię.

Jej twarz mieniła się także z bladej na płomienistą,

z płomieni w siny prawie marmur; kilka razy zdawała się bliska upadnienia i musiałem ją podtrzymywać. Dotknąłem jej ręki, drżała jak liść, biedna.

Urzędnik nas nie puszczał i głośno się zaprzysięgał, że musimy zajść do niego. Im bliżej byliśmy znajomego mi muru i ogródka, którego od powrotu mego nie widziałem, tem bardziej kręciło mi się w głowie. Chciałem zobaczyć belweder; ale go nie było.

Domyśliłem się; ona to wyprosiła zapewne, aby go zbito; i dobrze. Pocóż miał stać dłużej. Pomimo całej odwagi w jaką się uzbroić usiłowałem, kilka razy łzy mi nabiegały do oczów i krew do serca. Spojrzała na mnie.

Furtka się otwarła i weszliśmy do ogródka. Wszystko jak dawniej było, prócz tego belwederu, co zniknął; na jego miejscu prosta drewniana ławeczka.

— Moja żona lubi się tu modlić, — rzekł urzędnik, i długie godziny pędzi tu na modlitwie. Miły... bo kątek, — dodał.

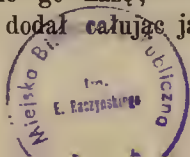
Przeszliśmy i wstąpili do domku.

Kwiatki czy dla pory jesiennej, czy nie wiem już dla czego, znikły z ganku i pokojów. Czysto było i porządnie, ale zimno i smutno. Fortepjan stał na dawnym miejscu, ale zamknięty i opuszczony; nót koło niego nie było.

Urzędnik pobiegł go otwierać i prosił mnie i żony, abyśmy grali i śpiewali.

— Nie mam nót i wiesz dobrze że nie śpiewam, — odpowiedziała; — a fortepjan musi być zupełnie rozstrojony.

— Jutro nastroić go każę, — rzekł mąż; — bo ty moja rybeko, — dodał całując ją w czoło, — nie po-



winnaś zapominać muzyki. Da Bóg dzieci, dobrze aby matka była pierwszą nauczycielką, takito zawsze grosz oszczędzony.

Marja zbladła, potoczyła wzrokiem i usiadła usiłując się uśmiechnąć.

Rozmowa coraz to podnoszona, padała, nie było sposobu jej utrzymać. Ciężko coś nam wszystkim, a wesołość zbyt rubaszna Wrzoska, widocznie udana i przybrana, zmieniła się w ponure zamyślenie. Jeden mąż Marji kręcił się usiłując przyjąć nas gościnnie i serdecznie. Ona wkrótce wyszła, a my pożegnaliśmy go. Biegłem aby minąć co prędzej furtkę, ogródek, ulicę, nie podnosząc oczu, spiesząc, jakbym uciekał. Cały dzień chodzę i uspokoić się nie mogę. Są w życiu wstrząśnienia, po których wrócić do spokoju nie łatwo.

Jakby to dobrze umrzeć było!

10. Października.

Dawno już, nie pamiętam kiedy, zamknąłem ten mój dziennik; teraz otwieram znowu. Dzisiejszy dzień powinien być zapisany w nim na zawsze, jak boleść zapisała go w sercu. Widziałem ją znowu, kto wie, to może raz ostatni. O! teraz mogę tak mówić, bo Marja kona. Ona poprzedza mnie na lepszy świat, na inny.

Z rana wszedł pan urzędnik do mnie, ale zmieniony i pomieszany. Usiadł, otarł z potu czoło i wyciągając ku mnie rękę, spytał ceremonjalnie o zdrowie.

— Wiesz pan, po co do niego przyszedłem, — rzekł prędko potem. — Musisz pójść ze mną, być u mnie; niegodzi się odmawiać tego umierającej.

Porwałem się bezprzytomny.

— Tak, tak. Porcjanko, Wróblewski, wszyscy zdecydowali że umrzeć musi.

Wstał i począł się przechadzać, i on także cierpiał bardzo; pocierał ręką po czole, aby nie pokazać łez, które dłonią zbierał.

Stałem milczący, słowa nie mogąc przemówić.

— Chodźmy, — rzekł, — proszę pana idź ze mną. Wahałem się jeszcze.

— Marja o to prosi. Wyznała mi wszystko.

Kochała pana. Nie wierzyłem w miłość, nie wierzyłem żeby trwać i zabijać umiała... to moja wina. Chodźmy!

Wyszliśmy słowa do siebie nie mówiąc, w milczeniu przeszliśmy ulice wiodące do tego domku, gdzie ją raz pierwszy tak młodą i życia pełną, teraz tak bliską śmierci miał zobaczyć. Cicho otworzyła się furtka i zamknęła za nami, spotkaliśmy wracającą z apteki służę i ojca który nas nie zobaczył, choć na nas patrzył.

W jej panieńskim pokoiku, który zapuszczone firanki zaciemniały, zastałem Marję na krześle, poduszkami obłożoną, wyschłą, zwiędłą; o! nie wypowiem jak strasznie zmienioną. Przecież jeszcze uśmiech spokojny, prawie wesoły, chrześcijański, blade jej usta przebiegał. Musiałem paść w krzesło, aby nie potoczyć się na ziemię. Ona wesoło niby zwróciła się ku mnie.

— Chciałam pana pożegnać, — szepnęła zmienionym, słabym głosem. — Pocziwy Ludwik był tak dobry, że mi tego nie zabronił. Wszak i lekarze niczego już nie bronią skazanemu na śmierć. Wobec tego wielkiego rozwiązania snu, który zowiemy życiem, na progu innego żywota, można się pożegnać przynajmniej, — dodała. I wyciągnęła ku mnie rękę zimną, wychudłą, drżącą.

Pocałowałem ją płacząc. Mąż usunął się do drugiego pokoju, zakrywając twarz oblaną także łzami.

— Wszyscyście samoluby tylko, — mówiła dalej poglądając ku mnie. — Po cóż te łzy i żal? alboż nie wierzycie w przyszłość, w inne życie? alboż to koniec wszystkiego, tych kilka chwilek na ziemi? Gdy człowiek poznał siebie, poczuł się czemś nieśmiertelnem, miałby zginąć na wieki jak trawa w ziemię wdeptana? Na co te łzy panie Juljuszu; wieczność przed nami wszystkimi, znajdziemy się tam i na zawsze.

— Ja się śmierci nie boję, — dodała uśmiechając się, — wiem że umrę prędko, ale mi was żal, a nie siebie. Żyć to cierpieć, żyć to walczyć, umrzeć to spocząć. Nieprawdaż? Wiara daje mi spokojność, ufność w Bogu i wesołość prawie. Nie lepiejże znajomego kogoś, przyjaciela, szukać wam będzie w innym lepszym świecie, niżeli tutaj, gdzie tak ciężka, niebezpieczna wędrówka; gdzie co krok nogę o kamień, głowę o kamień, serce o kamień rozbić można!

Nie umiałem odpowiedzieć nic na te słowa natchnione. Ona rumieniła się mówiąc; dwie różowe plamki rozszerzały się po twarzy, rozchodziły, płonęły, oczy nabierały blasku, oddech stawał się częstszy.

— Chciałam pana pożegnać i oddać mu pamiątkę jego. Myślałam sobie, że gdyby została przy mnie, przeszła do grobu, możeby to później przykrem ci było?

I podała mi rękę, ałem zwrócił jej pierścionek.

— Doprawdy? — zawołała weselsza; — pozwolisz mi to zatrzymać? Nie śmiałam o to prosić. Ale wdzięczną ci jestem. Niech mnie z tem pochowają.

Milczeliśmy. Mąż przechadzał się wielkimi krokami

po pokoju, ze zmienioną twarzą i załamaniem rękoma; matka płakała z głową opartą na stół.

Ona kazała mi potem usiąść do fortepjanu i zagrać jej Adagio znajome ulubione Beethovena. Ale siły mi brakło i wyprosiłem u niej, aby tego nie wymagała ode mnie. Nie nalegała.

— Wiesz, — rzekła po cichutku, — wczoraj miałam wielkie strapienie. Przyszły mi na myśl słowa pisma świętego, w których Zbawiciel powiedział, że na tamtym świecie nie będzie ziemskich stosunków, męża ani żony. Wnosiłam ztąd, że może nie wolno nam się będzie zobaczyć. Gryzło mnie to, tłumaczyłam sobie boskie wyrazy, że wszystko ziemskie, nawet najczystsze przywiązanie, zerwać się musi ze śmiercią. Dziś dobry mój spowiednik pocieszył mnie. On powiada, że nie tak słowa te rozumieć potrzeba; że dusze się tam znajdują, ale oczyszczone i połączone jedną miłością Bożą. Będziemy razem.

— Chciałam cię widzieć abyś mi przebaczył, — dodała znowu po chwili milczenia, odetchnawszy ciężko. Wiem, czuję, że musisz mieć żal do mnie, ale mogłam że rodziców, obowiązki święte, jednemu mojemu sercu poświęcić? Powiedz.

— Bóg świadkiem, że winę włożył tylko na siebie, — odpowiedziałem; — że m czcił cię jak świętą i wielbił ofiarę spełnioną.

— Mogę przynajmniej umrzeć spokojna. Ten człowiek, którego znasz mało, mój mąż, nie jest jakim go wyobrażasz sobie. Jak ogół ludzi, wydaje się innym, niżeli jest w istocie; serce w nim dobre i spokojna o rodziców umrę. On przez pamięć dla mnie będzie im synem. Gdy umrę, a śmierć mi wcale niestraszna, kiedy

zadzwoń po mnie, pomódl się;... któż modlitwy nie potrzebuje? pomódl się u Ostrej Bramy. Gdybyś mógł prosiłabym cię, abyś mi garść ziemi rzucił na oczy, abyś był na mogile Marji; ale pocóż cię zasmucać?

— Będę, — odpowiedziałem, — zrobię co każesz. Ale pocóż ta tak silna w śmierć wiara? Możesz i powinnaś żyć!

— Nie mogę! nie mogę! wiem że nie będę. I powtarzam ci, mnie to weseli, pociesza, a nie trapi. Śmierci się nie boję; nie wiem dla czego straszna by być miała? Tak dobrze jest umrzeć.

I spuściła głowę na piersi, uśmiechając się. Nie mogłem wytrzymać dłużej, łkanie odbierało mi oddech i mowę; wyciągnioną jej rękę ucałowałem raz jeszcze i uciekłem. Zwracając się na progu spotkałem jej spojrzenie.

Było pogodne, jasne i świeciło nadzieją, jakiej patrząc na życie nigdy nie miało. Uśmiech dziecięcia w kolebce był na ustach, żegnała mnie ręką.

Silne jest życie, gdy takie chwile przeżyć można i wiele może ten, kto je przetrwał. Odwagi! odwagi, oszaleję!!!

15. Października.

Na zawsze! Teraz powiedzieć mogę, sam jestem na świecie, sam na wieki, teraz mi nic nie stanie na drodze obowiązku; i najmglistsza nawet nadzieja odwieść mnie z niej nie powinna. Bądź zdrowa Marjo, bądź zdrów aniele mój, święta moja, ty patrzysz na mnie z niebios i widzisz co cierpię, wiesz teraz jak cię kochałem. Pier-

ścionek mój poszedł z tobą do grobu i powiązał mnie ze światem umarłych.

Nie byłem świadkiem twojej śmierci; ale mogłaś inaczej umrzeć, jak spokojną, ufną i uśmiechającą się do wieczności. Anioł w biele na miękkich rękach zaniósł twoją czystą duszę do niebios.

Zadzwończyły dzwony i nie potrzebowałem pytać kto umarł; płakałem wcześniej. Spełniło się życzenie twoje, zebrałem ostatek męztwa, aby towarzyszyć żałobnemu pochodowi, aby iść za trumną twoją i rzucić ci ostatnie pożegnanie... garstkę piasku na oczy zamknięte.

Czemuż teraz umrzeć nie mogłem?

Nasze dusze spotykałyby się na rękach anioła śmierci i bliżej siebie stanęłyby w niebie. Ale przeznaczony jestem na cierpienie, na losy zakryte przedemną, i żyć muszę.

Żyć więc będę, ale z nią, z umarłą duchem, z myślą o umarłej. Wymodlę sobie u Boga odwagę, której mi potrzeba.

15. *Maja 18...*

Nie wiem czy dla postrzegacza, dla badacza charakterów ludzkich, może być widok bardziej zajmujący, ciekawszy, nad wielkie zgromadzenie młodzieży, tego rozsadnika, z którego ma wyjść towarzystwo przyszłego pokolenia. W niem właśnie jak w rozsadniku, wszystkie kwiaty mają jeszcze ten pozór jednostajny młodości, tę jednakową zieloną wesołość, pod którymi się już kryją zarody charakterów najrozmaitszych, najdziwniej sprzecznych. Oko tylko wprawnego znawcy pozna w młodzińcu ledwie wychodzącym z dzieciństwa, ozdobę lub.

zakale klasy, do której ma się wcielić; jenjusz drzemiący snami młodości, nieznający siebie, egoizm puszczający swe pierwsze kolce i pocziwe warzywo co ma żywić bogatych i ubogich. Tymczasem wszystko to jeszcze zielone, bujne i podobne do siebie, a ci co sądzą opacznie, często najwięcej wróżą po pokrzywie, z której smaczna za młodu zielenina, a na starość chwast nieużyteczny. Najpiękniejsze tymczasem kwiaty wyglądają na paskudne zielsko, najpożyteczniejsze rośliny zdają się czekać piełaczki. Wśród młodzieży jest już w zarodzie wszystko, co ma przyszłego pokolenia społeczność sformować; już są ludzie *in nuce*, co tylko do zupełnego rozwinienia na złe lub dobre potrzebują czasu, słońca, pożywnej rosy i czulej ogrodnika ręki. Ale jak w rozsadniku, nim jedno rośliny wystrzela wysoko, nim drugie rozścielą się po ziemi, nim trzecie wić się zaczną po sąsiednich drzewach, wszystko wschodzi na pozór jednakowo i zielenieje zielonością jednej wiosny, młodości, życia. Są jednak wyjątki, niektóre organizacje tak ekscentryczne, tak dziwne, że się objawiają przedwcześnie, bez pory i wyróżniają zaraz z ogółu. Są to bujne osty kolące już za młodu, lub cudnie wdzięczne kwiaty prześcigające wcześniej wszystko co je otacza.

Nie pamiętam, żeby mnie który z moich towarzyszków tak bardzo zastanowił, tak silne na mnie uczynił wrażenie, jak Marceli Z. I nie dziw; ci co go tylko na ulicy widzieli, nie znając wcale, już nań z pewnym przestachem i ciekawością, zatrzymując się na widok jego, poglądali. Cóż dopiero ci, co go znali z bliska? Marceli, syn ubogich rodziców, od kilku lat sierota, utrzymujący się z niewielkiego pozostałego mu po nich funduszu, wyglądał z powierzchowności na to czem był.

Powierzchność rzadko uwodzi; opatrność dała tylko jednym węzom słodkie i niewinne wejrzenie, częściej jednak w znakach zewnętrznych naturę swych tworów objawiać zwykła. I nie bez przyczyny.

Marceli wyglądał kubek w kubek, jak Ezop starożytnych, z dwoma garbami, na plecach i piersiach; małeńki, kulawy na jedną nogę i nie mogący ruszyć się bez kija, w latach dwudziestu zgrzybiały był na twarzy. Oblicze jego powlekała od ospy poznaczona skóra żółtobiała, bez śladu rumieńca; usta wąskie, tak prawie blade były jak twarz cała, na której tylko jaśniało dwoje błyszczących dziwnie czarnych oczów. Oczy te chwilami zdawały się kosić, czasem patrzyły wprost i szyły się w głąb duszy swoim szyderskim wyrazem. Lecz byłby jeszcze mimo swej ułomności i brzydoty znośny, gdyby nie głęboki dół na lewej stronie twarzy w policzku, w którego głębi nieforemnie pozszywana marszczyła się skóra, żyłkami sinemi poprzecinana. Człowieczek ten drobny, pogarbiony, złamany, z czaszką dziwnie guzowatą i spiczastą, pokrytą krótkim bez połysku czarnym włosem, zdawał się wychodzić świeżo z pod koła jakiejś zbójeckiej maszyny, co go pogruchotała nielitościwie, jak machina. Głowa jego kształtu niewidzianego, nad proporcją wzrostu była wielka i na cienkiej chudej szyi zaledwie się utrzymać mogła, pochylając to w lewo, to w prawo. Znać natura przeznaczyła mu była olbrzymie kształty, które gwałtem skarłały pod naciskiem dziwnych okoliczności nieszczęśliwego dzieciństwa; a losy co ucisnęły ciało i zgmiotły je zostawując tylko potężną głowę na niedołężnem ciele, o dwóch garbach i cienkich pokrzywionych nogach, przygmiotły razem serce w naszym Ezopie, uczucie wszelkie, dając się

rozwinąć tylko umysłowi ze szkodą innych władz, mających wedle teorii popularnej siedlisko w piersiach człowieka. Dzieciństwo upłynęło mu w męczarniach, upokorzeniach, pogardzie, nie miał bowiem matki, a ojciec go nie cierpiał...

Ezop nasz, takeśmy go powszechnie zwali, że wszystkich towarzyszków młodości najdziwniej był zestarzały przed czasem. Miał ledwie lat dwadzieścia gdyśmy go poznali, a już twarz pomarszczona i blada nie kłamała, malując go nam starcem. Skutkiem chłodu który w nim panował, braku uczucia, braku wiary we wszystko, czego palcem nie dotknął, był już obrzydliwie stary; a starość jego tem dziwniej się wydawała, że tłumaczyła żywym językiem młodości. Uczył się najlepiej z nas wszystkich, miał pamięć zadziwiającą, pracował nieustannie i wyobraziwszy sobie zapewne, że skutkiem ułomności powinien być zostać koniecznie wielkim i uczonym człowiekiem, bez trudów nadzwyczajnych szedł po to, co mu się zdawało przeznaczonem. Samem kalectwem swoim odsunięty od naszych zabaw, w których też najmniej smakował, nie mając w sercu uczucia, co by go zajmowało i czas mu na dumaniach próżnych jadło, nabywał więcej nauki w tygodniu, niż drudzy pracując miesiące. Wyższość zaś swoją umysłową cenił wysoce i nią gruchotał tych, co się ośmielili szydersko mu przypomnieć jego nieszczęśliwą postawę. Czytał wszystko co napadł, uczył się czego tylko mógł, bez wyboru przedmiotu i zastanowienia nad użytecznością praktyczną, jakby mu chodziło tylko o połknięcie jak najwięcej, jak najprędzej.

W towarzystwie naszym był dumno szyderski, równo dla mniej jak więcej znajomych, bez litości, pobłażania i uczucia. Miał jakąś przyjemność w odkrywaniu plam na każdym, złego we wszystkim, śmieszności wszędzie, a najbardziej głupstwa i niewiadomości. Wówczas się tylko śmiał kiedy kogo upokorzył, ugniótł, potępił. Dopieroż zacierał ręce, podskakując przechodził kilka kroków, a potem znowu siadał na łóżku z podkurczoną nogą, ogromną chudą ręką zacierając jeżące się włosy i wracając do jakiej książki, którą wyjmował roztwartą z pod siebie. Nigdy go bowiem bez książki spotkać, złapać bez niej nie było można; miał jakąś zawsze a każdą tak wymęczoną, wyczytaną, ponapisywaną, pokreśloną, że znać było jak głęboko się w nią wpijał, jak zupełnie przyswajał sobie co w niej znalazł.

Z nami będąc nielitościwym szydercą, z profesorami i starszymi, których potrzebował łaski, był bezwstydnym pochlebcą, a śmiejąc się krzywemi usty z pochlebstwa własnego, mrugając na tych co go otaczali; tak jednak umiał trafić w słabą stronę, że mimowolnie rozgrzewał swoim pochlebstwem, choć inni w niem wyraźny tylko sarkazm czytali. Wyrażenia jego, w takich razach, miały coś dziwnego, szatańskiego; wszyscy je tłumaczyli szyderstwem, prócz tego, komu były dane za przysmak. Ten je zawsze słodko, oblizując się, przyjmował. Nie wiem, może postawa Ezopa uprzedzała względem niego, może wart był tego nazwania, ale go powszechnie uważano za pierwszego ucznia, zwłaszcza w przedmiocie filologii i języków.

Wszędzie gdzie gołą tylko pamięcią i zimnym rozumem wystarczyć sobie także można, Marceli z upodobaniem się zwracał; pociągały go nauki, w których dla

braku stałych posad, co chwila wywracają się teorie i stawiają nowe. Nie podobalała mu się matematyka dla swej ścisłości; w niej bowiem z końca w koniec jedne się zmieścić nie miało gdzie szyderstwo; gdy tymczasem iluż to komentatorów, ilu filologów, starożytników, filozofów nawet refutować i wysmiewać było można, tak łatwo jeszcze, tak zwycięsko. On, jak Bayle, szukał wszędzie omyłek, usterków, śmieszności, a tak był szczęśliwy znalezioną w sławnym jakim uczonym niedokładnością, grubym błędem, jak drugi z odkrycia ujawieńskiej wagi prawdy.

I w życiu prywatnem, którem żył Ezop bardzo mało, taki był właśnie, jak w swym zawodzie naukowym. Świat widział zawsze z jednej tylko strony, czarnej, brudnej, śmiesznej, ułomnej jak on sam; ludzi z najbrzydszego stanowiska realności prozaicznej tłumaczył, postęпки kalął, dając im cele najpoczwarzniej samolubne. Poznał-li człowieka, szukał zaraz złej strony; dowiadywał się najpilniej o przeszłość, ażeby dobyć różka zasłony odkrywającej czarne wnętrze; znalazł-li kwiat, obrywał go z liści, badając czy w nim nie było co anormalnego. Kochał się w monstrualności, jak drudzy w ideałach, poszukiwał jej w świecie ducha i ciała. W nauce miał szczególne upodobanie walczyć przeciwko prawidłom, wyszukiwać wyjątki i okazywać, że wszystko jest dziełem jakiegoś przypadku, że nie ma normy i prawa ogólnego na nic. Przekonawszy kogo, szydził z przekonanego nielitościwie. Nie wiem co miał w sercu, to pewna, że uczucie żadne nigdy się w nim nie objawiło, a najmniej religijne. Nie znał on matki i nie miał nikogo, co by za młodu wpoił weń pierwsze zasady wiary; potem nauka nie oparta na posadzie religijnej,

jak zawsze gdy sama przez się działa na człowieka, bez pomocy religji, dopuła go do reszty. Nauka uczyniła go skeptykiem systematycznym. Wiedział wszystko co można było powiedzieć przeciw wierze, nie słuchając nawet, co za nią rzec można, potrzeby jej ani czuł, ani pojmował.

Duma jego, pomimo tej skłonności do szyderstwa, co zwrócona na siebie, poprawić go była powinna; duma w nim aż do skaczącej w oczy śmieszności posuniętą była; ona jednak wydawała mu się sprawiedliwą, konieczną i całkiem naturalną.

Z jednego siebie tylko nie szydził nigdy, w jednym sobie nic nie widział nad to, co chciał dojrzeć. Z tej więc strony był najkompletniej ślepy.

Powiedzieliśmy już jak Marcelli uporczywie we wszystkim szukał złej strony, a w żadne dobre wierzyć nie chciał. Szczególny traf zbliżył do niego człowieka zupełnie odrębnej i przeciwnej organizacji. Rafael S... stał z nim w jednym mieszkaniu. Często się bardzo trafiało, że okoliczności sprzęgały ludzi najantypatyczniejszych, w tych naszych stancjach akademickich; i dla tego zapewne ciągly niepokój i wrzawa mieszkwały pod dachem, który powinien był okrywać spokojną pracę i przyjacielskie młodych, sympatycznych istot stosunki. Na stancji, gdzie w oddzielnej tarcicami przeforsztowanej od większego pokoju izdebce stał Marcelli, znajdował się tylko co ze szkół przybyły, młodziutki, wdzięczny jak dziewczeczka, skromny jeszcze i rumieniący się co chwila Rafael.

Miał on zaledwie lat ośmnaście i doprawdy podobniejszy był do kobiety, niż do akademika, miał nawet coś w wejrzeniu, w uśmiechu, w obyczajach. Niebieskie

jego oczy pływały zda się w ciągle krążących po nich i gotowych wytrysnąć łzach, usta rumieniły się uśmiechem niewinnym, włos złotawy lekko się zwijał w pukle na skroni. Szczupły, smukły, z białemi rączkami, cienki w pasie, gdyby włożył kobiecą sukienkę, mimo puszek co mu się już na twarzy wysypywać zaczynał, uszedłby za piękną panienkę. Zważcie jakie wrażenie uczynił na Marcelim nasz ukochany Rafael. Miłość powszechna, którą najpocziwszem sercem pozyskał prędko u towarzyszków, naprzód oburzyła Ezopa, co z przyjaźni naszych i entuzjasmów zwykł był najnielitościwiej szydzić. Nie rozpoznawszy Rafaela, dał nań wyrok od razu: młokos z piękną twarzą a pustą głową. I ruszywszy ramionami wzgardliwie odszedł; ale wkrótce powrócił niespokojny i krążyć zaczął około młodego naszego ulubieńca. Kilka tylko słów o nim jeszcze. Odmalowałem go powierzchownie, spojrźmy w jego przeszłość i charakter. Rafael miał, jak ja, tylko matkę, ojciec go młodo odumarł; był jedynakiem u niej i, jak się łatwo domyśleć, rozpieszczonem dzieckiem. Sercem wychowała go matka, sercem kształciła, uczyła i na serce jego zlała wszystkie starania. W nim też uczucie więcej było rozwinięte niż umysł, ale fenomenem moralnym nie bezprzykładnym, jakąś sympatyczną władzą, razem prawie z sercem, rozwijały się władze umysłu, otwierała głowa. Nie miał nauki, ale co lepsza, zdrowy rozsądek i łatwość do jej nabycia.

Umiejąc niewiele, pojmował wszystko jakoś rażno instynktowie, jak gdyby naturalnie był do tego usposobiony, przygotowany od dawna. Ezop sam się przekonał, że najniesprawiedliwiej nazwał go w pierwszej chwili głupcem i pustą głową. Raz, drugi wdawszy się

z nim w rozmowę i wysypawszy przed nim wszystkie swej mozolnej uczoności skarby, postrzegł, że chociaż Rafael połowy tego co on nie umiał, o wszystkim jednak lepiej i zdrowiej, a nadewszystko łatwiej od niego sądził. Usiłując napróżno zdumieć nauką swoją przybyłego, rozgniewał się w końcu, znajdując go nieporuszo-
nym, nie dziwiącym się niczemu i zimnym na te uczone figle, które tyle drugich zadziwiała. Ezop odszedł prawie gniewny, niemal zazdrosny. Rafael wcale nie tryumfo-
wał. Od pierwszej chwili uczuł on jakąś litość dla biednego garbuska, który pomimo swej wyższości umysłowej, nie miał przyjaciół i wydał mu się nieszczęśliwym.

— Biedny chłopiec! — zawołał, gdy się za Ezopem drzwi jego izdebki zamknęły.

— Biedny! — odparł Adam — zgadłeś! Nie życzę ci wcale z tem odkryciem się popisywać i użalać nad nim. Nic go bardziej nad litość nie gniewa.

— Dla czegoż?

— Zapewne dla tego — odrzekł inny — że Marcelli czuje się wynagrodzony rozumem za ułomność ciała i wcale biednym się nie czuje.

— Raczej dla tego — rzekł ktoś drugi — że czując swą nędzę, z dumy do niej przyznać się nie chce.

Kilka chwil tylko mówiliśmy tak o Ezopie, który już w swojej izdebce mruczał coś czytając po łacinie. Łaciński język i literatura z grecką i hebrajską, stanowiły jego najulubieńsze zajęcie. Izdebka, w której odłą-
czony od wszystkich, umyślnie ją sobie obrawszy, mie-
szkał, ciasna, brudna, ciemna, miała tylko za sobą, że w niej mógł być gdy chciał całkiem sam jeden. Nikt do niej nie wchodził, nikt mu nie przeszkadzał. Jedną jej prawie całą ścianę zajmowało łóżko kulawe, pokryte

dywanikiem, zamiętem prześcieradłem, poduszeczką bez nawlecзки i kołdrą wełnianą bez barwy wyraźnej. Nigdy ono nie było słane, a dzień i noc Marceli na tym barłogu przepędzał, tarzając się w pierzu, przylegającym do jego sukien i wkręcającem się we włosy. Obok był pod oknem stolik zarzucony książkami i świstkami papieru drobnymi, na których pisał uczone swoje notatki drobnym i nieczytelnym, niezmiernie ścisłym a pokręconym i w skrótach charakterem.

Nie wiem czy umyślnie rozcinał papier na tak małe zrzynki, czy je zbierał u nas (bo był bardzo skąpy), ale inaczej, tylko na drobnych świstkach, nie pisał. Pełno ich było wszędzie, po książkach, na stoliku, pod stołem powiązanych sznurkami w paczki. Zresztą, prócz naukowego przyboru, książek, nic tu nie było; wszystko okrywał pył i brud niezmierny. Nigdy nie zamiatano u Marceliego, nigdy nie otwierano jedyne go okna wychodzącego na dachy, sam także nie wiem czy się kiedy umywał. Małeńki stołeczek pomagał garbusowi do włożenia na łóżko i złożenia z niego; co zresztą, pomimo swego kalectwa, bardzo zręcznie odbywał.

Rafał stał z innymi w wielkiej izbie, gdzie kilku miało łóżka i stoliki swoje. Wszystko co go otaczało, co należało do niego, miało w sobie jakiś wdzięk, jakąś powierzchowność miłą i czystą. Lubił kwiaty a nie mogąc ich hodować, stawiał je zerwane przynajmniej na stole. Nad czystem jego łóżeczkiem wisiał obrazek Matki Boskiej, palma Kwietnej Niedzieli, wizerunek patrona, a dalej minjatura matki, która zdawała się patrzeć jak anioł opiekuńczy na ukochane dziecko swoje.

Po modlitwie do Najświętszej Panny, oczy dziecka zwracały się zawsze ku matce, i wieczna lza zawieszona

w nich, staczała się wówczas na białą i rumianą jego twarzyczkę. Szanowaliśmy jego modlitwy i czułe a pocziwe synowskie serce; nikt nawet z najżartobliwszych nie śmiał szydzić z modłów i łez Rafaela, gdy drugiemu nie uszłoby to pewnie bezkarnie. W nim był jakiś urok niewinności, co rozbrajał każdego; nie rozbroił tylko Ezopa. Ezop nazwawszy Rafaela głupcem i przekonawszy się ze wstydem, że uczynił to niesprawiedliwie, nasiał się na to, aby biednemu dziecku wydrzeć tę szczęśliwą spokojność niewinności, to wesele duszy pocziwej, których mu musiał zazdrościć, a nie mogąc ich sam pozyskać, postanowił odebrać mu, aby go niżej siebie jeszcze postawić. Wziął się do tego najzręczniejszemu w świecie. Nie rzucił się bowiem na swoją pastwę z góry, nie wystraszył jej; ale się przyczaił i jak kot pochowwał pazury. Rafael od pierwszego wejrzenia uczuł się zdjętym litością ku biednemu połamanemu garbusowi; zbliżyć się więc było bardzo łatwo. Ezop przybrał najłagodniejsze oblicze i szyderski wyraz twarzy pokrył niezwykłą maską boleści i smutku. Postrzeegliśmy, że się coś nadzwyczajnego gotowało, bo garbusek odchodząc od Rafaela, po długich i tajemnych z nim rozmowach, śmiał się sam do siebie i podskakując, wracał do swej nory, jak lis gdy kurę pochwyci. Przestrzeegliśmy Rafaela, aby się w zbyt ściśle związki z Ezopem nie wdawał, myśmy go dawno i dobrze znali, wiedzieliśmy, że nie miał serca i nie potrafił być przyjacielem nikomu. Ale Rafael uśmiechnął się z anielską słodyczą i odpowiedział:

— Na co go tak srogo sądzicie? On potrzebuje przyjaźni, jest to biedne zbolące serce, co się nigdy wylać nie mogło. Byłbym szczęśliwy, gdybym go nawrócił i moją przyjaźnią ciężki jego los osłodził.

Napróżno chcieliśmy go przekonać; Rafael milczał, ale ilekroć ze swym zdradliwym pochlebnym uśmiechem kroczył ku niemu Ezop, podawał mu dłoń otwartą i witał go serdecznemi słowy. Nareszcie przestaliśmy na to zważać i oswoili się z szczególną sympatją dwóch istot, których pokrewieństwa moralnego nikt zrozumieć nie mógł. Niestety; jest jeden rodzaj sympatji (bo jakże nazwać to inaczej), której nie znaleźmy naówczas. Niezszczęśliwy pod wpływem i władzą jakiejś okropnej fascynacji, leci jak gołąb w paszczę grzechotnika, nie rozwiniawszy nawet skrzydeł do oswobodzającego lotu.

W świecie moralnym tak właśnie, szatańską jakąś siłą jadu pociąga ku sobie wielkie zepsucie. Rodzi ono w niewinnej duszy naprzód wstręt, potem niespokojną jakąś ciekawość, nareszcie magnetyczny pociąg. Nie próżno we wszystkich nauczках moralnych występek nazywa się zarazą, a przestroga jest zachętą do szybkiej ucieczki. Nie walczyć to należy, lecz uciekać. Pewniejsza daleko ucieczka niż zwycięstwo.

Ale Rafael nie domyślał się nawet żadnego niebezpieczeństwa, nie przewidywał, aby jakie być mogło. Garbusek zdawał się z nim doskonale sympatyzować i ujął go naprzód opisem wymownym, naszpikowanym ulubionemi cytatami łacińskimi, swojej nieszczęśliwej młodości, nieszczęśliwego dzieciństwa. W tym opisie tak rzewnym, nielitościwie oczernił ojca, krewnych, matkę nawet, której nie znał; nie darował nikomu. Rafael uczuł to boleśnie, ale mówił sobie i nam: Co chcecie! tyle ucierpiał, nie każdy potrafi, wzorem Chrystusa, nieprzyjaciółom na krzyżu przebaczyć.

— Gdyby zapomnieć przynajmniej — dodał ktoś z nas.

— Serce długo pamięta — szepnął Rafael.

Nieznacznie Ezop wkradł się w zaufanie Rafaela, wymagając od niego zapłaty za swoją ufność, zażądał opisu dzieciństwa, młodości. Chciał poznać lepiej tego, któremu zgubę gotował. Ale nie wiele nowego odkrył w prostym opisie dzieciństwa, młodości, podobnym do obrazu majowego poranku, który, gdyby nie brak ojca u kolebki syna, byłby jednym z najcudniejszych, najprostszych wizerunków wiosny życia. Rafaela wykołysała na kolanach, pod sercem swoim, pocziwa, z duszą poetyczną, wiary pełna matka. Ze śpiewem pobożnym i mlekiem swoim wlała weń wszystkie uczucia piękne, szlachetne, pocziwe, ukazała mu Boga dobroci i ludzi aniołów; świat próby, ale świat szczęścia dla tych, co w nim tylko przejście widzą i drogę, po której się powinni dobre uczynki i miłość. Wszystko złe widział on obłąkaniem i fałszem; wszystką cnotę i piękność, prawdą.

W tem właśnie różnił się najbardziej Marcelli od Rafaela; bo gdy ten dobrą stronę, piękną stronę świata miał za prawdziwą, tamten złą i czarną wyobrażał realną, a za marzenia i złudzenia poczytywał wszystko piękne i pocziwe. U jednego był świat złoty, u drugiego czarny; a kto go innym widział, zwał mu się ślepym. Jak w nauce tak w życiu skeptykiem był garbusek; może zbyt łatwowiernym, ale pocziwie i idealnie ufającym Rafael. Pierwszy w nic nie wierzył krom złą, fatalizmu i rozumu; drugi ozłocił sobie świat nadziejami, opatrnością i uczuciem. Garbusek nie pojmował miłości i śmiał się z niej, Rafael imię jej czcił jak imię bóstwa, bo czuł, że miłość natchnął Bóg, a nienawiść jest tem względem niej, czem chłód względem ciepła; brakiem tylko, rzeczą ujemną, niszczącą.

Zbliżyli się jednak; i biedny pełen zaufania młodzieniec otworzył głębie swego serca Ezopowi, który zajmując we wszystkie jego tajniki, przygotował sobie łatwe zwycięstwo. Widzieliśmy jak po nie sięgał, jak je pochwycił, jak śmiał się otrzymawszy je. O! gdyby można wierzyć we wcielenie szatana, myślałbym, że to był szatan, który zaczął się na najpiękniejszą i najczystsza duszę, aby ją pokalać, gdy rozkwitać zaczynała.

Ile tylko w dniu miał chwil wolnych, wszystkie nasz garbus spędzał z Rafaelem, w poufanych rozmowach. Nie wstydząc się korzystać z niego we wszelki sposób, pożyczając pieniędzy, których nie oddawał nigdy, zabierając książki, posługując się biednym nadto dobrym chłopcem; powoli przystępował do tego, co z piekielnym szyderstwem swoim nazywał dziełem nawrócenia. Domyślając się o co to chodziło, o zepsucie, o odczarowanie, o zgorszenie dziecka, które dotąd w szczęśliwej niewiadomości złego, wyszło na świat z pod skrzydeł matki, począł przed nim garbus powolnie odkrywać to, co nazywał prawdą. Prawda jego była samym fałszem, złem i brudem. Wyśmiał wszelkie naprzd rodzaje przywiązania nieopartego na rachubie i okazał Rafaelowi, że wszystko co w jego oczach miało postać świętą, piękną, szlachetną, było w istocie czarnem, brudnem i cale innem niż się na pozór okazywało.

Ale w początkach boleśnie dotknięty uderzeniem w to co miał najdroższego, jak mimoza, stulił listki swej duszy biedny chłopiec i zamknął cały w sobie. Marcei przeczekał tę chwilę i atakował powtórę. Ilekroć nad czem unosił się Rafael, garbusek zdawał się to sobie notować, aby nazajutrz powstać właśnie na toż samo i inaczej mu okazać. Tak najczystsze, najszlachet-

tniejsze w nim truł uczucia i zaszczepiał skeptycyzm i egoizm, nie biorący się na tym pocziwym gruncie. Wszelką bezinteresowność potępiał, szydził nielitościwie z wszelkiej wiary w przyszłość, ludzi i przywiązanie. Rafael zatruty tym zaraźliwym oddechem, z początku pobladł tylko, zesmutniał i z wesołego, otwartości pełnego chłopca, stał się nieufnym, bojaźliwym. ponurym.

Ezop w żadnym wypadku nie modlił się nigdy; wstając ze swego barłogu, kładnąc się nań, nie przeżegnał się, nie westchnął, usypiał z książką w rękę i szyderstwem na ustach. Kilka razy postrzegł on Rafaela klęczącego przed obrazkiem i modlącego się długo. Zaczął szydzić z modlitwy, którą nazwał dzieciństwem. Z początku milczeniem upornem przyjął to towarzysz, ale gdy garbus z piekielną zaciętością wracał zawsze do swego założenia, dokazał tego, że Rafael począł się naprzód kryć ze swoją modlitwą, odbywać ją rzadziej, krócej; wreszcie zdawało się, że o niej całkiem zapomni.

Ale równo z tym wypadkiem stał się smutniejszy niż kiedy, i twarz, to zwierciadło duszy, poczęła mu się dziwnie mienić. Zawsze równie piękne jej rysy, nabrały jakiegoś wyrazu, co je odarł z idealności dawniejszej; czoło gładkie jak marmur pofałdowało się, oczy zapadły i zachmurzyły, wyschły w nich krążące łzy, a usta opuściła dziewczęca różowość.

Wyobrażenie o kobietach zależy najczęściej w młodych od pierwszych wrażeń, jakie one na nich uczynią, od matki począwszy do pierwszej kochanki. Rafael przyniósł z domu cześć dla kobiety w ogólności i egzaltowane uczucie miłości platonicznej dla kuzynki swej Julji, z którą się razem wychował. To uczucie było

zbrojã, co go przeciw brudnym, namiętym popędom młodości zasłaniać miała; ale Ezop, któremu odkrył serce Rafael, nie dozwolił w sercu pozostać i jednemu, jak je nazywał, marzeniu. On nie znał innych kobiet nad stworzenia, które nie wiedzieć dla czego to nazwisko przybierają; miał o nich wyobrażenia najfałszywsze i najbardziej uwłaczające. Począł naprzód szydzić z plato-nicznej miłości młodego chłopca, a wreszcie ukazał mu jako jedyną prawdę tę szkaradną miłość zwierzęcia, która zamiast podnosić człowieka, upadła go. Tem dobił Rafaela i ostatnie źródło szlachetnych uczuć w nim wysuszył.

Sam zepsuty pociągnął go za sobą w zepsucie. Odezwwały się uspione modlitwą i czystsza miłością namiętności, zawrzała krew i z pobożnego syna wdowy, co nieśmiało podnieść oczu na przechodzącą kobietę, Rafael stał się rozpustnikiem najzawziętym. Ze smutkiem patrzaliśmy na zmiany w charakterze i wyobrażeniach towarzysza, ale nikt z nas poradzić na to nie umiał. Jedynem lekarstwem było oddalenie Ezopa i to, kto wie, czyby pomogło. Skosztował już zakazanego owocu sceptycyzmu i rozpusty; skalał usta i serce, mógłże powrócić do dawnego stanu niewinności?

Ezop cieszył się niewymownie. Nieraz gdy Rafaela długo w noc nie było, gdyśmy nań czekali rozmawiając po cichu, on się wychylał ze swej budki i rzucając okiem po izbie, pytał szydersko:

— A co? nie ma go jeszcze?

Milczeniem odpowiadano.

— Ot, widzicie, jakem go nawrócił — szeptał szybko jak zwyczajnie wyrzucając słowa z ust Ezop i wodząc

po nas swoim żabim wzrokiem: — przyjechał tu dzieckiem, zrobiłem z niego mężczyznę.

— Zepsuleś go!

— Aha! a! zepsulem! prawda! Sami sądźcie, czy teraz nie podobniejszy do człowieka? Przynajmniej pozbył się tchórzostwa i przesądów.

Rafael wracał, a oko garbusa szukało, zda się, na jego twarzy śladów namiętności jeszcze nie zgasłej; jaśniało na widok bladości biednego chłopca, szału zwierzęcego, który nim miotał. Leciał podsycać jeszcze ogień, rozpytując, dorzucając rady, poddmuchując odwagę. Ale pomimo że Rafael puścił był cugle młodości i wyzuł się z dawnej skromności swojej, dziewiczej niewinności, pomimo że przybrał ton jakiś rozpustnika, miotał wyrazami co dlań niedawno niezrozumiałe jeszcze były; pomimo że udawał zupełne rozpasanie na wszystko; znać było, że w duszy została jeszcze reszta uczuć pocziwych, walcząca przeciw namiętnościom. Były chwile smutku, niesmaku, zadumania, a nawet chwile łez, co świadczyły o tej walce, bez nadziei zwycięstwa na stronę duszy i serca. Ciało zwycięskie dobijało wyrrywającą się z zabójczych objęć, czystą niegdyś, dziś pokalaną duszę. Często przez sen dziwne wyrazy wylatywały z ust Rafaela, płakał, odzywał się do matki, oskarżał siebie, przysięgał owej Julji, towarzysze młodości, że się więcej nigdy nie skala. Przebudzeni siedząc na łózkach, słuchali nieraz gorączkowych marzeń Rafaela i boleli nad nim. Ezop śmiał się ze swojej izdebki i z każdego szydził słowa.

Raz, pamiętam, był to wieczór wiosenny, wróciłem z przechadzki z Zakretu, gdzieśmy we dwóch z Kazimierzem, błędząc w milczeniu, napawali się wonią roz-

winionych drzew i czystem powietrzem wieczora. Nie było nikogo na stancji, nawet garbus o kiju powlókł się do bliskiej kawiarni na partję szachów i gawędkę ze swemi przyjacióły, co go przyjęli za wyrocznie i poklaskiwali każdemu jego conceptowi, każdemu gburowatemu żartowi. Rafael siedział przed stolikiem swoim oparty na rękę i płakał gorzko; przed nim leżał list otwarty, list matki z przypisem Julji. Odczytanie tego listu, przypomnieniem złotej, pocziwej i bez zgryzot przeszłości, ścisnęło jego serce. On był zapomniął o matce, o najlepszej przyjaciółce swojej, dwóch czystych aniołach, co mu ozłocili dzieciństwo jego i tak piękną pokazywali przyszłość. Teraz czuł się niegodnym swej matki, niegodnym Julji i płakał. Nadeszliśmy na te łzy, on schował list prędko, otarł oczy i odwrócił twarz, aby na niej śladów wzruszenia nie dostrzeżono. Nie śmieliśmy go pytać o nic.

W tem po głośnym śmiechu poznaliśmy nadchodzącego Ezopa, który postukiwał kijem i krzywą kozią nogą na wschodach. Rafael wstrząsł się, szukał oczyma czapki, jakby chciał wyjść, a na twarzy jego wyrzył się wyraz wstrętu, obrzydzenia, obawy.

— A! a! ty tutaj? — zawołał Ezop.

— Daj mi pokój.

— Cóż to znowu?

— Nic, tylko cię proszę, abyś mi dał pokój.— Rafael chwycił za czapkę i wyszedł szybko.

— Cóż to mu się stało?

Nikt z nas nie odpowiedział.

— Czasem to mu się tak — rzekł Ezop — stara choroba odżywa. Niewdzięczny! pewnie przypomniął sobie dawną Julję, owego czystego anioła, który gdzieś

romansuje z oficerem od ułanów, oczekując na kuzynka! Biedny chłopiec, nie ma najmniejszego charakteru, siły nawet na głupstwo decydujące. Otóż to owo macierzyńskie, babskie wychowanie.

Tak mrucząc wtoczył się Ezop do swojej izdebki. Wieczór upłynął a Rafaela nie było; późno w noc posłyszeliśmy stukanie do bramy a wkrótce wszedł towarzysz nasz i w milczeniu rzucił się na łóżko.

Któryś go spytał, gdzie był tak długo?

Nic nie odpowiedział.

Pospaliśmy się znowu. W godzinę niespełna krzyk i łkania nas zbudziły; porwaliśmy się z łóżek. Księżyc wszedł był i świecił przez okno na pokój. Rafael błądy, w rozpiętych sukniach, siedział z oczyma dziwnie otwartymi i patrzył przed siebie jakby przed sobą widział kogo. Targał koszulę na piersiach i niezrozumiałemi prawie słowy, z krzykiem bolesnym się odzywał.

— Moja matko! moja matko! O! nie dotykaj się mnie; nie dotykaj! Nie wartem już, żebyś mnie przycisnęła do serca! Juljo nie patrz na mnie; jam brudny, wszystko powalane na mnie, we mnie. Serce, dusza, usta, suknie! Nie patrzcie, nie czytajcie mi z czoła. Jam was nie wart, wy mnie już kochać nie możecie, ja was dawną miłością kochać nie potrafię.

Zakrył sobie oczy, płakał i jęczał. Potem się rozśmiał i wzdrygnął się.

— Precz odemnie Ezopie, precz bezwstydnico! precz. Nie pokazujcie się! Oto matka, święta matka moja! precz, precz! Nie tykajcie jej. Oto Julja! precz! wy nigdy nigdzie nie możecie być razem!

I odepchnął stół stojący przy łóżku, a sam potoczył się na ziemię. Rzuciliśmy się ku niemu. Przebudzony

miał okropną gorączkę, z ust buchał mu ogień, czoło zmatowane piekło jak żelazo, pulsa biły na skroniach, a całe ciało suche było jak liść jesienny. Posłaliśmy po doktora; chory całą noc przepędził w szale. Na wrzawę i hałas zbudził się Ezop i z innymi przybiegł do łóżka; ale na widok jego tak się począł szarpać chory, tak rzucać, jakby go chciał udusić, a obłąkanie tak dziwnie się zwiększyło, żeśmy garbusa co najprędzej odprawić musieli. Plunął i poszedł mrużąc do swego barłogn. Wstał po tej słabości z łóżka Rafael, ale do niepoznania zmieniony. Walka wewnętrzna, rozpusta, potem choroba, wyniszczyły go zupełnie; dostał suchot. Kto go pamiętał z świeżą i rumianą twarzą, gdy przybył do Wilna, a spojrzał nań teraz, musiał zapłakać nad okropną zmianą. Szczerściem matka go widzieć nie mogła; ona by była, niedoczekawszy tego drugiego owdowienia, umarła. Po tej słabości odkrył się w nim jakiś wstręt niepohamowany ku sprawcy wszystkiego złego... Ezopowi; więcej go już nie przypuścił do poufałości z sobą, unikał i stali się nieprzyjaciółmi jawnymi, z przyjaciół najserdeczniejszych. Garbus szydził nielitościwie z dawnego ulubieńca; Rafael milczał, gdy o nim mówiono, brwi mu się tylko marszczyły, usta zacinały. Osłabiony, wycieńczony chorobą i lekami, jakby dla zagłuszenia walki wewnętrznej, co go trapiła, rzucił się żywiej niż kiedy do nauki, aby stracony czas nagrodzić. Ale sił mu brakło; co dzień je tracił, co dzień głębiej wpadały policzki, głębiej zasuwwały się oczy jaśniejące chorobliwym blaskiem gorączki, zwiastunki śmierci. Reszta życia wypalała się w niej podniesionym płomieniem.

Nareszcie dnia jednego, u wrót kamienicy zadzwonił

dzwonek księdza idącego błogosławić Rafaelowi na wieczności drogę. On leżał w łóżku podobniejszy skeletowi niż żywemu człowiekowi, oddychał ciężko, ręce blade i suche złożone miał na piersiach, do których cisnął ostatni list matki, zwiędły pączek fijołków i medalik z Najświętszą Panną.

— Niewart was byłem, niewart — powtarzał — muszę umrzeć, umrę. On powiada, że się wszystko na ziemi zapomina; zapomnicie i wy o mnie. I wy! i ona! i wszyscy zapomną... wszyscy. I ona! Ale nie matka! biedna matka!

Chciał płakać, ale nie mógł.

Wszedł ksiądz a po chwili spokojniejszy już usnął Rafael. Gdy się przebudził, był wieczór; prosił, aby mu otworzono okno i wpuszczono powietrza, skarżył się, że nie miał czem oddychać. A spojrzawszy na niebo wiosenne, łzy mu się zakręciły w oczach.

— Mój Boże! taki piękny, tak wesoły świat porzucić. I nie pożegnać się nawet... ostatni raz nie zobaczyć z matką... z nią! O! gdybym choć tam umierał, gdzieś biegając dzieckiem, gdzie jeszcze może są ślady stóp moich; na tej ławce przeciw zachodu, na której bawiliśmy się z Julką.

I zdawało się, że mu serce pęknie z boleści, załamał ręce.

— Na zawsze... na zawsze! O! co to za okropne rozstanie! Po com ja tu przyjechał... po co mnie tu przywieźli! O! moja matko, moja matko! ty będziesz sierotą na starość. I ty... a ja??

W głowie mu się mieszało, tracił przytomność. Chwilę jeszcze biła się w nim młodość i pragnienie życia ze śmiercią; ale piersi nie potrafiły już oddychać

i skłonił piękną jeszcze swą głowę na ramiona płaczących towarzyszków.

W tej chwili wśród uroczystego milczenia śmierci dał się słyszeć z izdebki Ezopa suchy głos grzechotnika.

— A co?

Głęboka cichość odpowiedziała mu na to.

Wyrzał.— Już! już umarł! No, to cóż? Czegożeście pogłupieli? Posyłajcie po księży, niech sobie biorą co do nich należy, albo odeszlijcie trupa do teatru anatomicznego.

Potem nakrywszy głowę, porwawszy za kij, wytoczył się ze stancji, nie spojrzawszy nawet na umarłego, co jeszcze cisnął do piersi list matki i zwiedłe dawno, zeschnięte fijołki, ostatnią czystego dzieciństwa pamiątkę.

We trzy dni potem nieśliśmy na ramionach naszych odkrytą trumnę usypaną kwiatami, na bernardyński smętarz, a na oczach naszych kręciły się łyzy gorzkiego smutku. Nie pamiętam, byśmy kogo tak żałowali, jak biednego Rafaela; nikogo podobno dłużej nie będziemy wspominać. Ilekroć wieczorem otworzy się okno, przy którym skonał, zdawać się nam będzie, że go jeszcze widzimy patrzącego na czyste niebo i wołającego matki, co go usłyszeć nie mogła.

Ezop ma być profesorem języków: greckiego, hebrajskiego i łacińskiego, pracuje nad komentarzem do Lukrecjusza i planem nowej gramatyki hebreo-chaldejskiej.

O! jakże dziękuję Bogu, że straciwszy co mogłem stracić najpiękniejszego, nadzieję szczęścia, nie sterał z nią razem wiary w moje ideały, że mi pozostało jeszcze czyste sumienie, smutna a piękna przeszłość do rozważania i kto wie... jaka przyszłość?

(Długa przerwa dzieli dalszą część dziennika od poprzedzającej; powiedzieć nie umiemy, czy była zapewniona kiedy lub nie? Charakter znacznie odmienny pisma każe się domyślać upłynionych nie już miesięcy, ale lat całych, lat kilku, może więcej).

25. Maja 18...

Wróciła znowu owa cudna wiosna, którą tak kochałem w młodości, co mnie unosiła w krainy marzeń błyskotnych; ale jej czuć już jak dawniej nie potrafię. Wiele się zmieniło we mnie i koło mnie, wiele straciłem rzeczy, które z żadną wiosną nie puszcza zielonej lato-rośli, ani zakwitną więcej. A to com utracił, przypomina się z tem co powraca. Mimowolnie smutek pada na serce i gniecie je, choć głowa i rozum powiadają: taka jest kolej niezmienna; tak jest i musi być zawsze.

Sam jeden zostałem na szerokim świecie, bez pocziwej matki, bez niebieskiej Marji mojej i bez nadziei jaśniejszych dni. Młodość przeszła, zwiędła, pozostała za mną daleko. Pytam siebie: com uczynił? Byłem użyteczny społeczeństwu?

Któż na to pytanie odpowiedzieć sobie potrafi? Probowalem, starałem się; mogę sądzić, czym dopiął celu? Cel ten jedyny trwa jeszcze, ale codziennie mniej czuję siłę, by go dopiąć kiedy.

Wszystkie więc ideały młodości są ideałami bez urzeczywistnienia? Wszystkie? Zapewne. Jak posąg mi-strza greckiego nie jest żadną żywą istotą, tak myśl młodzieńcza nie jest podobną żadnemu życiu rzeczywistemu. Nic jej później odpowiedzieć nie może.

Nigdy ani wierzył w możliwość szczęścia na ziemi, nigdy nie roił aby ono celem być komu miało; ale marzyłem wiele innych nie wcielonych ideałów. Dziś cześć je jeszcze jak boskie idee rzucone nam na pociechę po ziemi, tylko już ich oczyma ciała ujrzeć się nie spodziewam. Sam w siebie nie wierzę. Dłuższe życie i próby przekonały mnie, że nawet użytecznym ogółowi być nie łatwo, a sił mi braknie po temu. W cóż się obróci życie? jaki jego cel będzie?

Wróciłem do domu pustką stojącego; chciałem tym, których najbliżej jestem, poświęcić się; czy wytrwam? Nie wiem.

Mówią wiele o przyczynach, o powodach dla których człowiek pojedynczy skupił się w społeczność, w towarzystwo; nikt podobno nie uważał, że to stan tak konieczny dla człowieka, iż wytrwanie w samotności jest ze strony jego największą ofiarą. Chwilowe osamotnienie jest potrzebą, zupełne oderwanie od świata... poświęceniem. W dawnej już wierze Indji starych, opuścić świat było ofiarą dla bóstwa; a zatem cierpieniem. W istocie, trudno coś straszniejszego wyobrazić sobie: o tobie zapomnieli wszyscy, pustką stoi ci świat do koła. Pustką! jest-li wyraz straszniejszy: brak życia, brak węzłów, brak ognisk przy których byś się mógł rozgrzać. Żelazo rozpala się w płomieniach, stygnie na chłodnem powietrzu. Tak człowiek. Powoli obumierają w nim nadziei, żądze, uczucia, wszystko.

Jakże ciężko, pusto w moim domku; a jak na każdym kroku widzę matkę, której już nigdy nie zobaczę. Starzy słudzy wymarli, jak gdyby tylko czekali chwili, kiedy jej nie będą potrzebni by odejść na spoczynek;

młodzi, obojętni ; dom słyszeć zgnilizną i zbutwieniem ; wszystko dziczeje, chyli się, kruszy, rozpada.

A gdy przypomnę, że marzyłem o szczęściu, że tu dawniej mieścił u boku Marię ; o ! głowa mi się zawraca. Egoista ! nad sobą tylko i zawsze nad sobą płacząc ; a tylu jest nieszczęśliwszych ! !

26. *Maja.*

W tym braku węzłów i stosunków, który mi się tak boleśnie czuć daje, każda nieć co mnie z czemkolwiek jeszcze łączy, jest drogą.

Po długiej pielgrzymce powitałem Cesię daleko czulej, daleko bardziej wzruszony niżelim się mógł spodziewać. W spokojnej prozaicznej egzystencji czas zdaje się tracić swoje prawa, i nieznacznie, powolnie tylko daje czuć władzę swoją.

Kiedy we mnie i koło mnie tyle odmian, tyle klęsk, tu nie się prawie nie zmieniło. Podkomorzy posunął się trochę. Cesia straciła barwę świeżości dawniejszą ; krajczyna całkowicie ogłuchła i zarzuciła jaskrawe wstążki czepeczków dawniejszych, chodzi w aksamitnem staroświeckiem haftowanym czółku ; topole porosły, budowy poczerniały, dom się ukrył w gęstsze krzewy, nie więcej. Ale ten sam tu spokój, porządek, ład i... jak też to nazwać ? Szczęście ? Za wiele ! na to nie ma wyrazu w języku.

Kiedym zajechał przed ganek, nikt nie wyszedł mnie przywitać ; bo nikt ani się mnie domyśleć, ani poznać nie mógł. Wszedłem do pustego salonu, prawdziwego gościnnego pokoju, pokoju od gości, jak go na wsi zowią. Nikogo. W chwilę potem, żywo nadbiegła Cesia.

Widać że nie miała czasu ani się przystroić, ani pomyśleć jak była; z różową twarzą, napiętą chustką bagdadzką, z kluczami w rękę, w czarnym mąką pobielonym fartuszkę; cała pomieszana wyskoczyła pocziwa przeciwko mnie. Jakże jej wdzięczem byłem za to przyjęcie! Jakże je uczułem głęboko.

— Jak się masz! Jak się masz, kochany Juljusz! — wołała z progu biegnąc do mnie. — Tak dawno, tak dawnośmy się nie widzieli. Chodź do ojca, chodź, prędzej, musiał się już dowiedzieć żeś przyjechał i niecierpliwi się pewnie że nie przychodzisz. Papa ma zawsze ten żywy charakter dawniejszy; a tak łaknie ciebie! tyle razy wspominał o tobie.

I porwawszy za rękę poprowadziła do ojca naiwnie wpatrując się we mnie, jakby szukała na twarzy śladów przeszłości i zmian wyciśnionych. Podkomorzy już się nie mógł ruszyć z krzesła; ale wyciągnął ku mnie ręce i w milczeniu przycisnął do piersi. Milczenie pocziwego starca było wymownem; łzy spływały mu po twarzy, płakał tak po matce mojej, a może nademną. A posadziwszy przy sobie, napatrzywszy się ścisnął jeszcze za rękę i westchnął głęboko.

— Chwała Bogu, żeś nam przybył, — rzekł odechnawszy, — a myślę żeś po tylu przejściach nieszczęśliwych, po tylu uniknionych niebezpieczeństwach, powrócił już do rodzinnego kątku na zawsze! Nieprawdaż?

— Któż to wie?

— Ba! wszystkoć w mocy Bożej, ale Bóg dał i wolę człowiekowi, a ona co właści powiada?

— Jeszczem jej o to nie pytał, — odrzekłem. Stary pokiwał głową.

— Czas by było posiedzieć spokojnie, gospodarzyć,

ożenić się i jeść swój kawałek chleba, panu Bogu zań dziękując. No! ale powiedz naprzód jakże mi się masz?

— Jak widzicie! ni źle, ni dobrze.

— O! o! to coś po mojemu odpowiadasz! Młodemu się to nie godzi. Ot... ja... siadłem makiem w krzesło i gdyby nie ta pocziwa Cesia, niech jej Bóg szczęściem płaci, kochane dziecko.

Cesia się zarumieniła i ucałowana przez ojca wybiegła, aby ukryć pomieszanie; podkomorzy wskazując na drzwi mówił dalej.

— Skarb panie, dziewczyna! skarb, jak pana mego kocham.

— Widzę i czuję to.

— Poświęcenie bez granic. Czas by już przecie aby o sobie pomyślała; ale com jej uczciwych, statecznych i co się zowie do ludzi konkurentów dobierał, nikogo nie chce. Rozumiem! Nie chce mnie osierocić, niech jej Bóg płaci, choć czas jej i o sobie pomyśleć. Ale uparta!

— Mało ojców może się tak poskarżyć!

— Mało?... nikt! — z zapalem przerwał stary, — nie ma i nie będzie takiej kobiety drugiej. Bez wady, bez żółci, a pracowita, a wylana dla wszystkich; słów nie ma na opisanie.

Długo jeszcze stary, choć wiedział że się to opisać nie daje, starał się mi wystawić swoją Cesię czem była dla niego. Zakończył życzeniem.

— Cały mój niepokój, cała moja troska, żeby się to komu pocziwemu dostało, coby jej mój dług spłacił!

I westchnął sparsłszy się na stole.

Myślałem, że to wzruszenie zatrze w pamięci jego dawny niepokój o nowiny polityczne. Ale nie! Jesteśmy

niewolnikami nałogów naszych. Ledwie się nieco uspokoił, zbliżył swe krzesło do mnie i szepnął.

— Nie słyszałeś co o kongresie?

— Nic.

— Ważna i wielka nowina... z najpewniejszego źródła... od żydków z Pińska. Kupcy mają swoje wiadomości! Najlepsza gazeta! Wszelkie podobieństwo za tem; znalazłem nawet alluzję w kurjerze.

I rozwinął bibulastego kurjera, aby mnie o swych wnioskach przekonać! W istocie stało czarno na białem w Kurjerze, że gdzieś tam najem domów podróżał, dla podkomorzego był to symptom kongresowy! Musiałem blisko godziny pływać z nim w morzu domysłów, nadziei i zbieranych pokątnych nowinek.

Na widok dopiero wchodzącej Cesi i pani krajczynej, która już hebanowej laseczki ze srebrną skówką używać poczyniała, rozmowa *de politicis* ustała; wziął się stary wychwalać gospodarstwo i zabiegłość córki; liczył stojące w polu i na gumnie styrtły, zsypane po magazynach zboże, zapracowany grosz.

— Wiesz waść, że Bóg mnie skarż, kiedym sam gospodarował, nigdy lepiej nie było. A toż kobieta! I dodaje, że się nigdy nie pogniewa, nie połaje, wszystko łagodnością a pilnością robi.

Cesia całując go w rękę starała się odwieść rozmowę w inną stronę; ale staremu łzy z oczu płynęły a z ust pochwały, że ich wstrzymać nie mógł.

Wyszliśmy do ogrodu pod pozorem przechadzki; myślę że córka umyślnie mnie odwiodła, aby ten potok pochwał odwrócić.

W milczeniu mijaliśmy długie szpalery lipowe i ciemne altany, żadne z nas nie miało się o co pytać, o

czem uwiadomić. Cesia bała się mówić mi o matce, ja także nie chciałem wspominać jej, bo wiem ile i ona łez po niej wylała.

— Widzisz Julku, — odezwała się weselej, — gdyśmy nad kanałem olchami ocienionym stanęli, widzisz żem dotrzymała mojego słowa. Pamiętasz, żegnając cię mówiłam, — zastaniesz mnie jakieś porzucił. Prorokowałeś inaczej, ale się nie ziściło proroctwo.

— Jesteś wzorem córek, kuzyneczko, — odpowiedziałem.

Ona spuściła głowę i przerwała mi smutnie.

— Jednego też mam ojca, co mnie prawdziwie kocha.

I łzy zamgliły jej oczy.

— Któżby cię nie szanował, nie kochał! — odparłem roztargniony. — Przynajmniej na liczbę kochających poskarżyć się nie możesz.

— O! takie kochanie! — odpowiedziała.

— A Artur?

— Słyszałeś o nim? — spytała rumieniąc się.

— Mamże ci powiedzieć szczerze?

— Szczerze, moja Cesi, jesteśmy jak brat i siostra, nieprawdaż?

Zarumieniła się znowu i podała mi rękę drżącą.

— Powiem więc szczerze. Artur dokazywał wiele, może prawdziwie mnie kochał, nie mogę przypuścić takiego udawania; ale mój Julku, nie wiem czemu, ja nigdy w to przywiązanie nie wierzyłam.

— Dla czegoż?

— Ja mam sobie chłopski rozum, braciszku, i jakieś serce, co mi szepce do niego, czemu mam wierzyć, a czemu nie ufać. Twój Artur z całym zapalem swoim zdawał mi się fałszywym. Ot tak! sama nie wiem

czemu? Patrzałam na niego, jakbym patrzała na aktora w teatrze.

Uśmiechnąłem się; serce jej proste dobrze jej doradziło.

— A inni? — spytałem.

— Inni?... kochali mój posag. Wszak był i książę, co się o mnie starał, z tych długich, długich bladych książąt co to wszędzie posagów szukają, ałem mu powiedziała że księżną być nie mogę, że musiałby się za mnie nadto często wstydzić. Jam sobie prosta szlachcianeczka.

— Ależ tak zawsze nie będzie?

Zamyśliła się...

— Któż to wie? — rzekła cicho, spoglądając w niebo dalekie, któż to wie? A po chwili zwróciła się do mnie i biorąc za rękę. Zostaniesz z nami Julku? — spytała, nieprawdaż?

— Któż to wie? — odpowiedziałem z kolei, uśmiechając się, — na com ja wam potrzebny?

— Niedobry! — zawołała, — zawsze niedowiarek; powiedziałby kto, że go nie kochamy! Tobie tam musi być nudno, w pustym domku, tęskno, nieprawda? Czemu byś nie pomieszkał trochę u nas? Papa byłby ci tak rad! pomysł!

— Potrzebuję samotności, — odpowiedziałem; — ale moja Cesi, będziecie mnie mieli aż nadto często!

— Nadto! o! to być nie może. Powiedz mi co robisz w domu? — spytała gdyśmy się zawrócili ku domowi ulicą.

— Na co ci ta ciekawość?

— Byłoby to nieprzyzwoitością?

— O! bynajmniej, powiem ci zaraz jeśli cię to choć trochę zająć może. Wiesz żem był ranny w rękę.

— A jakże nie wiem! — odpowiedziała — albo mnie to mało leż i strachu kosztowało!

— To największa dla mnie przykrość, żem władzy w niej całkowicie odzyskać nie mógł. Wiesz jak lubię muzykę.

— Wiem, bom nawet nie raz spodziewając się ciebie, fortepjan nasz stroić kazała.

— Gram więc, o ile pozwala mi ręka.

— I malujesz.

— Trochę, czasem. I czytam. Resztę czasu, to starania domowe, to długie konne zajmują przechadzki.

— A nigdy ci nie tęskno?

— Zawsze Cesi! ale mi tęskno za tymi, których już zobaczyć nie mogę!

Spuściła głowę i westchnęła. Szliśmy dalej w milczeniu, a wieczór był tak cudowny, jak gdyby naumyślnie chciał mi wspomnieniem kołatać do zbolalej duszy. Cesia może dla tego, aby mnie się nie przeciwieć, także była smutna. Wróciliśmy do podkomorzego, który w otwartem oknie pacierz wieczorny odmawiał. Pogodne czoło jego ozłoczone ostatnim promieniem zachodzącego słońca świeciło spokojem duszy. Zatrzymaliśmy się we drzwiach, póki modlitwy nie skończył.

— Chodźcie, chodźcie, — rzekł, — domawiałem Anioł Pański za duszę pocziwej Reginki mojej. Mój Boże, — dodał, — tyle lat, a przeszły jak błyskawica! Przypomniałem sobie ów maj pierwszy, gdy w kilka niedziel po ożenieniu z nią tu przyjechał! Ha! ha! taki porządek! jedni w grób, drudzy na świat! I mnie już nie

długo wypadnie wam powiedzieć: kłaniam uniżenie; do zobaczenia!

Ostatnie wyrazy wymówił stary z tą żartobliwością smętną, tylko jego wieku ludziom właściwą, która ma powab nieskończony; coś nakształt promienia słońca świecącego na złane deszczem liście.

Weselsza jakoś zawiązała się rozmowa, ale mnie stary rozruszawszy się puścić do domu nie chciał, musiałem zanocować.

Nazajutrz rano, widziałem z okna pokoju, który mi na salce górnej z balkonem dano, cały ranek Cesi. Z ciekawością wpatrywałem się w jej zatrudnienia. Słońce wschodziło, gdy wstała i wyszła modlić się do ogrodu, spokojna, ale jakby smutna; podniosła oczy na okna mego pokoju, widzieć mnie jednak nie mogła. Pewnie troskliwa gosposia badała, czy mi żaluzje zasunięto. Z za nich właśnie poglądałem na jej pochód po ogrodzie, jak się schylała nad kwiatkami, prostując skrzywione gałązki, przywiązując je do kołeczków, pieląc chwasty; wpatrując się w przygotowane do rozpęknięcia zawiązki. A te kwiatki tak troskliwie przez nią pielęgnowane, nie były jak gdzieindziej kosztownemi osobliwościami, rzadkiemi innego nieba wygnańcami. Proste, zwykłe, oswojone z nami, lub nasze własne, irysy, niebieskie hjacynty, tulipany i narcyzy; proste akwilegie z lasów dobyte, migdałem pachnąca czeremcha, bez liljowy i biały; kwiaty jak ogród stare, niewymyślne i proste jak ona.

Ale wkrótce znikła mi z ulicy.

Widziałem ją dalej w podwórku, dającą rozkazy, chodzącą z kluczami; a gdy wróciła z tej gospodarskiej przechadzki, słońce już było dobrze podeszło na niebie,

u podkomorzego otworzyły się okna i głośno wymawiany pacierz dawał się słyszeć.

Dumałem... Boże, Boże! wszędzie więc gdzie jest żywsze życie, gdzie życie wrzące, gdzie myśl bujniejsza, tam za nią, z nią zniszczenie, zmiany; wszędzie gdzie powolniej krew i idee krążą, spokój i ta szczęśliwość? Więc potężniejsi z nas, paść muszą trawieni gorączką, zabici losami; a ci prości, wszystkie burze przetrwają nie czując, bez zmiany? Dałżeś mi Panie w zamian za myśl wielką, spokój wielki, spokój do zazdrości?

Nie wiem jak począłem prawie zazdrościć im czego? pokoju, w którymbym nie wyżył może.

Kto wie, idąc takim życiem po powierzchni gładkiej, myślą bym moją rył przepaście pod nogami! Nie! nie! nie ma na świecie szczęścia, ale pojmuję teraz raj, stracony przez owoc wiadomości. Owoc wiadomości jest niszczycielem szczęścia. Błogosławieni ubodzy na duchu a! i tam i tutaj!

O jak fatalny dar ten rozum którym się chlubim, przezeń tracim nieomylny instynkt, a nim niemylnie kierować się nie umiemy; przezeń dopatrujemy się ułomności i niedoskonałości naszej i smak do życia tracim; przezeń myśmy wygnać z niebios, wygnać wzdychający za ojczyzną, a zawsze pozyskania jej niepewni. Rozum, wielki dar a fatalny! Biada niespokojnym, biada! Myśl nasza wyżej sięga, abyśmy Ikarem upadli z niebios obciążeni ciałem.

Tak myślałem wpatrując się w spokojne życie tego domu, życie materialne a przecież czyste, poziome, ciche, prozaiczne a nie brudne i tonąłem w rozważaniu odcieni, jakie przybiera dusza nieśmiertelna, wlana

w znikome ciało! O! wszystko jest cudem! co chwila uderzamy się o ściany więzienia, tak mało jego obszerność znamy.

28. *Maja.*

Jest nas teraz dwóch w moim domku. Stary mój przyjaciel wspomniał na mnie, dowiedział się, że przepłynąłem, przebywszy różne koleje, zdrowo do Jedlina, i z dawną troskliwością pospieszył ku mnie. Wczora wracając od podkomorzego postrzegłem kogoś siedzącego w ganku, spartego na rękę i zadumanego głęboko. Po szaraczkowem ubraniu i palonych butach poznałem mojego Wrzosa. O! jakże serdeczny był nasz uścisk milczący. Teraz, nie tając się płakał. Nie mówiliśmy nic o matce, aleśmy oba o niej tylko myśleć musieli. Wiele a wiele miałem mu do wypowiedzenia. Tyle przygód zaszło ze mną od czasu jakieśmy się nie widzieli. Musiałem mu szczegółowie moje pochody, niewczasy, bitwy, chwilowe wygnanie, wszystko a wszystko opowiedzieć. Gdym skończył stary uściśnął mnie.

— Słuchaj, — rzekł, — nie tęskno ci w domu?

— O! nie pytaj o to, — odpowiedziałem z boleścią. — Myślałeś dawniej, żem młodzieńczo i płocho tylko kochał Marję. Ja ją kocham po dziś dzień i po dziś dzień płaczę... modlę się codzień za jej czystą duszę, nie żeby jej dopomódz, lecz żeby się zbliżyć do niej.

Wrzosek milczał.

— Niedostaje mi matki! nie mam nikogo; jak chcesz by mi nie było tęskno?

— Ożenisz się, — rzekł.

— Nie, — odparłem.

— Nie? Powinieneś wać! powinienes! — zawołał — i ożenisz. Co innego jest owa waszecina eteryczna miłość, co innego uczucie spokojne, szlachetne, rozważne, na którym buduje się związek małżeński. Szczęśliwszy jesteś niż myślisz.

— Ja?

— Tak, wać; miłość tamtą niepokalaną poniesiesz do grobu bez rozczarowania, a w małżeństwie znajdziesz szczęście, jakiego Bóg dozwala.

— Nie mów mi o szczęściu, ani o małżeństwie.

— Z samych nudów wać się ożenić musisz, a potem to taki porządek na świecie. Zechcesz mieć dzieci, a...

— Dzieci! I nie wiedziałem co odpowiedzieć na to, pierwszy raz w życiu pomyślałem, że mogę mieć dziecię, nadzieję.

— A póki się nie ożenisz? Jakby to waści powiedzieć? hm. Co u diabła, nie domyślasz bo się nic?

Nie mogłem domyśleć się nic przecie.

Wrzosek ruszył ramionami.

— Ludzie genjalni, — rzekł, — wedle wyrażenia waszego, są często głupszy od największych prostaków. Muszę więc wszystko sam powiedzieć. Nie chcesz mi widocznie dopomódz! Ot! myślałem, — mówił dalej, — żeby ci może nie zawadził, gdybym tu zamieszkał przy waści.

Pobiegłem uściskać starego; ale mnie wstrzymał i dodał:

— Najprzód moje warunki. Nie chcę być ciężarem, żyję ze swego, żyję o tyle tylko z tobą, o ile to nam obu dogodnem być może. Dasz mi jakich parę pokojów czystych a ciepłych. dla mnie i moich sobaczek.

Majątki puściłem dzierżawą uczciwemu człowiekowi, jestem swobodny, czasem ci jaką czarną chwilę rozerwę. Ale jak ci się da Bóg ożenić (bo taki mam nadzieję, jeśli imość pani Kostecka pozwoli, kołysać wacine wnuki na kolanach), to sobie pójdę precz. Wówczas wezmę gdzie w sąsiedztwie folwareczek i...

— O! to dalekie projekta! — rzekłem. — A tymczasem bądź jak w domu. Niepróżne to są słowa. Wybierz mieszkanie, urządź jak ci się podoba. W końcu ogrodu, nad rzeką jest domek.

— Albo go nie znam! mieszkalem ci w nim i zapisuję tam kwaterę. Będziemy razem a sami i swobodni. Ot i dobrze! Ale waruję wszystko swoje, aż do kuchni.

— Chcesz mnie upokorzyć?

— Daj mi pokój. To moja fantazja. Muszę gotować dla siebie i dla psów, bośmy wymyślni, a nie lubim być ciężarem nikomu. Dasz mi znać gdy zechcesz być u mnie na obiedzie.

Cały wieczór zszedł na rozmowie o przeszłości; zostaliśmy się późno w noc. Otóż nowa i niespodziana pociecha. Już nie jestem tak bardzo sam na świecie.

1. *Czerwca.*

Wczoraj byliśmy razem u podkomorzego. Wrzosek i on, starzy znajomi; to też za pierwszym zetknięciem, zagawędzili się aż do utraty przytomności, nikt z nich na mnie nawet uważać nie chciał. Podkomorzy częstował starem winem, którego sam tylko maleńki kieliszczek wypić może. Przysłuchiwałem się długo ich ciekawym przypomnieniom ostatniego panowania; gdyby który z nich po trochu spisał co widział i słyszał,

książka by to była ciekawa. Jeden z nich, podkomorzy, służył wojskowo, tułał się i po obcych krajach; drugi długo był przy dworze, znał króla i był świadkiem wszystkich przygód Stanisława. Oba jednak teraz, pomimo że dawniej w dwóch przeciwnych partjach miescili się, jeden mieli sposób widzenia rzeczy, jedno prawie o przeszłości zdanie; pozostały tylko niezgluzowane przekonania o osobach, o które uparty spór wiedli. Dla Wrzoska król był zawsze owym nieporównanej słodczy i dobroci Augustem, w którym nieszczęścia widząc, wad nie chciał się dopatrzeć.

Widząc ich tak silnie sobą zajętych, odszedłem do Cesi, która siedziała w salonie przy otwartym fortepianie.

— Kazałam go znowu nastroić, — odezwała się, — może grać będziesz? Ja lubię muzykę także, ale jedną tylko, prostą, wiejską, piosenkową. Nie znam się na uczonej.

Począłem grać *Ständchen* Schuberta. Słuchała z zajęciem, czy przez grzeczność? Zdawało mi się wszakże, że ten tęskny rozchodzący się wśród cichego wieczora śpiew zapadał w jej duszę.

Co za szkoda! co za szkoda tak miłej, dobrej, a tak prozaicznie wychowanej kobiety! dla niej to może szczęście. Wszak i dla tego z kim żyć będzie, to szczęście także; nie wybierze zapewne chyba takiego, co jej do myśli i sposobu widzenia przypadnie; będą żyć w kątku, spokojnie, prozą, szczęśliwie!

Wyszliśmy potem do ogrodu i mówili długo. Dziwiłem się prostemu rozsądkowi Cesi. Ale sposób w jaki się zapatruje na świat, tak odmienny od mojego! Po-czcziwa Cesia nie ma skrzydeł, żeby nieco wyżej nad

ziemię i rzeczywistość podlecieć; przywykła mierzyć wszystko miarą tego co jest w istocie, nie obiecuje nigdy sobie, czego ściśle biorąc mieć nie może. Rachuje zawsze kładąc w rachunek wszelkie trudności i niepodobieństwa. Jakże się ma zawieść? Niechże ją nikt z tego słodkiego nie wyprowadza uśpienia. Ona jest zupełnie szczęśliwa.

Przebawiliśmy tak znowu dwa dni, które dwaj starzy na jakichś tajemniczych spędzili rozmowach; ja z Cesią w ogrodzie, przy fortepianie. Mój stary przyjaciel lokuje się w ogrodowym domku i urzęda. Posłał po swe psy, książki i ludzi, których potrzebuje; zdaje się co chwila weselszy.

3. Czerwca.

Z ogrodowego domku widok prześliczny! Przecież mój stary przyjaciel nie lubi nań poglądać. Dziwna! są ludzie dla których natura całkiem jest obojętną. Tego ja pojąć nie mogę. Wrzosek zabił w sobie uczucie piękności natury długim w mieście mieszkaniem; wątpię żeby to pochodziło z innych przyczyn. Ludzie tylko suchego serca obojętnie patrzą na cudny Boży świat; a tyle mam dowodów, że mój stary pełen jest uczucia. Może pobyt na wsi zwróci go do zapatrywania się na te cuda powszednie, które tłumowi tylko są obojętne.

Ciągle od swego przybycia Wrzosek namawia mnie do ożenienia. Napróżno zbijam go, że nie kochając żenić się nie mogę; on mi odpowiada że ożenienie z miłością i z miłości jest najniebezpieczniejszą w świecie rzeczą, że właśnie żenić się potrzeba chłodno, rozważnie, z szacunkiem tylko.

— Śmiejecie się ze starego naszego świata, a co gorsza wzdrygacie się z ohydą na to, czego w nim pojąć nie możecie, na dawne narzucane i układane małżeństwa. Były przecie w ogólności lepsze pożycia, starzały się stada w zgodzie, choć ich nie kojarzyła miłość, ale poważny dobór rodziców. Nie myślcie, aby tam zawsze grosz i rachuba pieniężna były na pierwszym miejscu; ród, pobożne wychowanie, przykład domowy, stosunki rodzinne, więcej łączyły ludzi, niż wszelkie posagi i rachunki na fortunę.

A i ów grosz, którym udajecie, że gardzicie tak bardzo, panowie młodzi; grosz, bez którego wszakże obejść się nie umiecie, wart coś. On jakoś reprezentuje pracę, zasługę. Nie mówię o wydartym, bo *male parta* do czarta, jak wiesz; a na te nikt się nie połakomi. Ale grosz poczciwie zapracowany, czemu by smakować nie miał? Nie chcesz go dla siebie? Staraj się o niego, byś nim drugim mógł być użytecznym.

Potem prawił mi wiele o przymiotach żony i rozśmieszył, bo wyraźnie, zda się, malował mi Cesię, jako ideał małżonki. Powiedziałem mu to.

— Ba! nie zapieram się wcale — odparł — że życzyłbym ci, jeśli nie ją, to jej podobną. O Cesi nie myślałem, bo wątpię, czyby to do skutku przyjść mogło.

— Dla czego? — spytałem ubodnięty.

— Naprzód, że podkomorzy ceni grosz, a tyś za ubogi dla jego córki; powtóre, żeś krewny bliski. Gdybym miał syna — westchnął biedny na wspomnienie straty — o! na kolanach prosiłbym dla niego o Cesię. Ale nie mówmy o tem.

Wieczorem wywiodłem go na przechadzkę. Cudny był wieczór! Trzeba malarza, aby to niebo tylu świe-

żemi tonami, barwy rozmaitemi wysadzane, pochwycił; słowa tu nic nie mogą.

Jakże majestatyczna natura! jak wspaniała ze swą obojętnością dla jednostek, piastując na łonie niepojędych znikome, ale wiekuiste rodzajów i pokoleń idee.

30. Czerwca.

Pięć dni bawiliśmy znowu u podkomorzego, przepędziłem je prawie ciągle z Cesią na przechadzkach, na oglądaniu gospodarstwa, na rozmowach długich. Co dzień więcej ją cenię. Trzeba ją znać bliżej, blisko, poufałe, aby pokochać; z pierwszego wejrzenia fałszywie ją osądziłem. Głębokie uczucie, zdrowy rozsądek kryją się pod jej pozorną prostotą. Skromna, dobra, cóż winna, że jej wychowanie nie rozwinęło? Może jeszcze-by zakwitł ten pączek pod słońcem ożywniejszym?

Mówiliśmy kilka razy o Marji, słuchała ze łzami opowiadania mojego; a gdym skończył szepnęła: — Nie płacz jej, poszła szczęśliwa na lepszy świat; a wiele na pozór jaśniejszych losów, ciemno i brudno przy jej życiu i śmierci by się wydały! Dobrze jest umrzeć tak kochaną i żalowaną.

— Przyszło-by ci łatwo kuzyneczko nie umierać ale żyć tak kochaną jak ona. Tyś warta tego.

— Ja? o! mój Julku — odpowiedziała — któżby tak pokochał biedną, prostą wiejską dziewczynę? A potem, ona mogła być przekonaną, że ją kochałeś dla niej; mnie wszyscy udają przywiązanie dla tych nieszczęśliwych pieniędzy.

— O! nie posądzaj-że Cesiu.

— Po co tu posądzać, kiedy to tak jawne! — Zamilkłem.

— Jednemu tobie bym uwierzyć mogła — dodała.

Żywy rumieniec twarzy jej pokrył, a ja całując rączkę, wesoło odpowiedziałem: — Pamiętaj, może ci to przypomnę.

Zmieszani byliśmy oboje.

Gdybym myślał się kiedy żenić, nie uczyniłbym pewnie innego wyboru nad nią. Po moich ideałach, to pierwsza kobieta, co z ziemią i rzeczywistością pogodzić może.

Wieczorem.

Podkomorzy zwierzył mi się, że hrabina O... swata swojego syna do jego córki. Stary zdaje się nie bardzo temu przeciwny; oczekują pretendenta, aby kota w worku nie targować. Odjeżdżam do domu, nie chcę być przytomnym tej niedorzecznej jarmarkowej wizycie. Mówiłem o tem Cesi, potrząsnęła głową i odezwała się stanowczo: — nic z tego nie będzie.

— A jeśli ojciec tego zechce?

— Wyproszę się u niego.

— A jeśli ci się podoba?

— O! co to, to być nie może.

— Czemu siostrzyczko? miałżeby już kto inny?...

Zarumieniała się bardzo i śmiejąc się przerwała:

— Wiesz, zgadłeś.

— Doprawdy? ktoś inny? I dawno?

— O dawno! Julku, bardzo dawno. Ale — dorzuciła smutniej — z tego nic nie będzie, on na mnie i patrzeć nie chce.

— Powiedz-że mi tę tajemnicę całą.

— Nie mogę.

Nie od niej dowiedzieć się nie mogłem; któżby to był taki?

1. Lipca.

Hrabia miał być wczoraj: cały dzień mówiliśmy o tem z Wrzosem, który zna ród, związki, położenie majątkowe, słowem wszystko, co się go tycze. Lepiej od Niesieckiego, którego w wielu miejscach prostował, wypisał mi *ex abrupto*, wszystkie ilustracje familijne mniemanych hrabiów: laski i krzesła, infuly i pieczęcie w ich rodzie, stosunki ze znacznymi domami litewskimi, w ostatku tajemniczą historję ostatnich dwu pokoleń. Ta była najciekawsza. Wrzosek sądzi, że Cesia pójdzie za pana O... nie mogąc się oprzeć potędze pięknego imienia; alem mu przypomniał, że przecie nie poszła za księcia, który się o nią starał.

Chciałbym tam być prędzej, żeby się dowiedzieć coś o odwiedzinach; ciekawym wrażenia, jakie pretendent uczyni. Wrzosek mnie namawia, abyśmy jechali jutro. Żał mi dobrej mojej przyjaciółki Cesi, żeby się w ręce jakiego wykwintnisia dostać miała, coby się na niej nie poznał.

2. Lipca.

Hrabia nie był! coś mu tam przeszkodziło... Podkomorzy nie bardzo się tem smuci, a Cesia się śmieje szczerze i otwarcie. Będzie czy nie? nie umięją powiedzieć sami! Znowuśmy wieczór spędzili razem z Cesią,

a Wrzosek z podkomorzym; rozprawiali tak żywo, że ich głos dochodził aż do salonu. Nieszczęsna polityka musiała być w robocie. Arędarz przychodził do dworu z cieleciną i plotkami: a żydowskim najlepiej wierzy podkomorzy.

15. *Sierpnia.*

Nie tknąłem dawno tych kartek, czasu nie było, ani ochoty. A potem, co na wsi pisać? Dziś przecie mogę, jak dawniej zapisywali ojcowie nasi na biblji lub do na-bożeństwa księdze, zanotować wypadek pamiętny i sta-nowczy. Cesia będzie moją. Jak do tego przyszło? nie wiem. Była mi przeznaczoną wedle dawnego przysłowia; przeznaczoną życzeniem macierzyńskim, opatrzoną przez Boga.

Nigdybym ubogi nie pomyślał o tak bliskiej i tak bogatej, ale ludzie myśleli za mnie. Zdaje się że stary Wrzosek nie darmo tu przyjechał, a z jego tajemni-czych zwyciężkich uśmiechów wnoszę, że rzecz ta nie była mu obcą.

Nie darmo siadywał długie wieczory z podkomorzym. Byliśmy sami z nim, gdy Wrzosek mrugnawszy nań, opuścił nas pod jakimś pretekstem. Zostałem więc oko w oko z wujem; długo rozmawialiśmy o rzeczach obo-jętnych.

— Cóż wać myślisz?— spytał podkomorzy po chwili
— co myślisz o swojej przyszłości?

— Bogu ją polecam — odpowiedziałem. — Nie bo-gaty, prawie kaleka, nie zdatny do szumnych towarzystw, zdziaczały po trochu, mogę powiedzieć, że nie mam przy-szłości.

— O! cóż to mi znowu prawisz? A żenić się nie myślisz?

— Gdybym znał drugą Cesię, kto wie? — odpowiedziałem żartem prawie.

— A czemużbyś nie chciał pierwszej? — rzekł stary — hę?

Sam nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Toć to stary projekt przecie.

— Byliśmy w lepszym bycie.

— O! porzuć-że waść! albo to ona nie ma za dwoje?

Podkomorzy wyciągnął ku mnie ręce, wszystko się w kilku słowach skończyło.

— Ale Cesia — rzekłem opamiętywając się nagle — ona nie zechce!

Weszła jakby na zawołanie w tej chwili.

— Mościa panno, nowy pretendent! — rzekł podkomorzy.

— A! któż taki?

— Ba! zgadnij?

— Hrabia przyjechał?

— Nie, ktoś inny.

Spojrzała na mnie, zmieszkała się, odgadła.

— A taki osobliwszy, że go sam musiałem ośmielić i zapewnić, iż mu nie dasz odkosza. No! cóż u licha! kończcie bo sami! — zawołał głośniej.

Nie mogę opisać końca tej sceny. Dobra Cesia podała mi rękę i pocałowała ojca w kolana, a on nas ze łzami pobłogosławił.

Zaturkotało przed gankiem. Gość wcale nie w porę nadjechał. Poznaliśmy, że to był od tak dawna zapowiedziany hrabia, z wiodącym go krewnym prezyden-

tem D... Cesia uciekła ubierać się, my oczekiwaliśmy. Podkomorzy zatarł tylko włosów i pokręcił wąsa.

Olbrzymiej postaci wtoczył się prezydent naprzód, barczysty, otyły, z rumianą twarzą, włosom krótko ostrzyżonym, orderami na piersiach i kapelusz w ręku. Znać było na pierwsze wejrzenie człowieka, co sobie nikomu po nosie jeździć nie dał, ale za to wszystkim po nosach jeździć miał ochotę; przekonanego o swej potędze, znaczeniu, ważności. Trzy klucze dziedziczne, znaczne dobra po żonie, niezmierne kapitały, nadawały mu ten ton, który przybierają ludzie wierzący we wszechwładność grosza. Spojrzał z góry i wargę dolną pogardliwie unióśł. Za nim jakby antyteza umyślnie dobrana, cieninchny, wyfryzowany, ubrany jak lalka, świeży gdyby z pudełka, z nśmiechem wyczynonym, z plecami już do ukłonu wpół usposobionemi, wsunął się hrabia. Słyszał on gdzieś, że wielcy panowie powinni być bardzo a bardzo grzeczni; a że miał być panem, był aż do przesady grzecznym.

— Kochanego podkomorzego! — wykrzyknął głosem tubalnym prezydent. — Jakże zdrowie? Mam honor prezentować mego przyjaciela hrabiego O...

— Darnjcie, wybaczczie, że nie wstaję na powitanie tak zacnych i miłych gości, ale ta przekłeta podagra nie puszcza. Nie umiem wyrazić mojej radości, wdzięczności. Raczież siadać.

Tu mnie gościom przedstawił, jako bliskiego krewnego. Prezydent kiwnął głową. Hrabia podał mi rękę do angielskiego przywitania, poczem usiadli: pierwszy na kanapie, drugi na rożku krzesła.

Tylko co się poczęła, a raczej poczynać miała rozmowa, gdy Wrzosek z nachmurzoną miną, rękoma

w kieszeniach i postacią, jaką spotykając się z obcymi zwykł przybierać, wtoczył się do pokoju. Zaprezentowanemu znowu, prezydent nie raczył podać ręki. Oczywiście wziął go za rezydenta domowego.

Byliśmy wszyscy jak na szpilkach; jeden tylko podkomorzy całkiem swobodny i pan siebie. Prezes rozpowiadał nowiny gubernjalnego miasta, hrabia treść gazet zagranicznych (bo go widać uprzedzono o politykomanji przyszłego teścia). Wrzosek siedział cicho i czmychał ze złego humoru, ja milczałem także.

Gospodarz sadził się na nadzwyczajne grzeczności dla przybyłych; widać było na ich twarzach wstępującą nadzieję. Prezes dawał wyraźnie znaki hrabiemu, jakby mówił:

— A co? albowiem nie prawda? nie takżem obiecywał?

Przyszło do oświadczeń, uścisków i rozczulenia staropolskiego.

— Wina! — zawołał podkomorzy. — Niechże wypiję zdrowie szanownych gości moich!

Wrzosek, który, jak widać; nie wiedział o tem co między nami zaszło, a nie pojmował wielkiej radości i uniesień podkomorzego, tłumacząc je sobie całkiem inaczej, wparł ręce w boki, usta zaciął i bił nogą o nogę, poglądając na kutasy od butów.

Podano tacę i wiewatowe kielichy.

— Zdrowie prezesa!

Pijemy wszyscy.

— Zdrowie hrabiego!

Pijemy znowu. Wrzosek niechętnie i wzruszając ramionami

— A teraz — dodał podkomorzy — pozwolicie mi panowie wypić przyszłego zięcia mego.

Prezes chciał myśleć, że to jakaś przedwczesna aluzja, hrabia zarumienił się nad niestosownością wykrzykniku, Wrzosek spojrzał surowo w oczy staremu.

— Nie ma godziny, jakem zapewnił szczęście mojej córki. A zatem Julusza i Cesi, błogosław im Boże!

Błyskawicą zmieniły się wszystkie twarze. Prezes osłupiał, hrabia uśmiechał się wymuszenie i spieszył do kieliszka przez grzeczność, Wrzosek porwał się z kanapy z wykrzykiem.

Goście mieli jeszcze tyle panowania nad sobą, że udawali wesołość wcale znośnie. Ale nie długo zabawiwszy odjechali.

Biegłem do Cesi, którą zastałem w ganku, samą jedną, zamyśloną.

— Wytlumacz mi proszę jedno — spytałem wręcz — o kim to mówiłaś wówczas, gdyś mi się przyznała, że kochasz od dawna?

Spojrzała i nie odpowiedziała, ale podała mi rękę i ścisnęła moją. A po chwilce milczenia:

— Mój Julku — rzekła — mógłżeś nie wiedzieć, nie poznać, żem była twoją, nawet wówczas gdy ty o mnie myśleć nie mogłeś? żem powiedziała sobie od dawna, jego żoną lub niczyją? ale ty mnie nie kochałeś i nie kochasz.

— Cesi! godziź się tak mówić?

— Ty jeszcze kochasz Marję?

Zamilkłem.

— Żadnej kobiety na świecie więcej nie kocham nad ciebie, więcej nie szacuję. Skłamałbym nie potrafił; a obiecałaś mi wierzyć, przypominasz sobie?

— Pamiętam. O! chcę wierzyć, wierzę! Pójdę się

pomodłę! Jestem tak szczęśliwa. — I zakrywając twarz uciekła.

Podkomorzy z Wrzoskiem tymczasem, opisując sobie wzajemnie całą scenę poprzedzającą, śmieli się do rozpuku; aż krajczyna mimo głuchoty, posłyszawszy śmiechy, poszła się dowiedzieć o ich przyczynie. Z trudnością potrafililiśmy jej wytłumaczyć o co chodziło.

16. Sierpnia.

Musiałem pospieszyć do domu dla przygotowań koniecznych. Podkomorzy żąda i wymaga pospiechu, kwituje z wszelkich formalności, przyborów, sam ofiaruje się zastąpić mnie, w czembym miał trudność i własnego plenipotentą posłał po dyspensę. Wrzosek pomaga mi jak może: radą, głową i workiem. Pocziwy stary nie daje sobie wyperswadować, że teraz nie w modzie wcale podarki, a zwłaszcza kosztowne; gniewa się w ostatku, gdy mu się w czemś przeciwie, tak, że poddawać się muszę. Mówiłem z Cesią o domku moim, ale dla ceremonji tylko, żeby ludzie szydzić nie mogli, żem nie miał dokąd bogatej zaprowadzić dziedziczki, odbędą się przenosiny, przyjeździem na dni parę do mnie. Podkomorzy chce, żebyśmy mieszkali razem; niepodobna mu tego odmówić.

Znowu tedy, znowu raz drugi rozwija się przedemną przyszłość jasna, uroczą; a! nie tak już jasna jak pierwsza, bo nie mam wiary w szczęście; ale komużby i to nie wystarczyło, co mnie czeka. Spokojne życie z Cesią, w dostatku, wśród kilku przyjaciół; alboż to nie dosyć?

Na Boga, więcej to, niżem się mógł kiedy spodziewać, i strach mnie przejmuję. Nie jest-że to marzenie, złudzenie; nie przyjdzież znowu co rozbić nadzieje?

Dla czegoż dotąd, do ostatka nie domyślałem się przywiązania Cesi? Ona biedna zmuszona była z niem się taić, kryć je i czekać.

Byłem więc jej przeznaczony?

Wielki, tajemniczy wyraz: przeznaczenie! Cała starożytność w nie wierzyła, cały Wschód na niem stoi. W niedostatku lepszej wiary, wiara w przeznaczenie uspokaja i zbroi. Ale jak bezsilny to dogmat przy naszej woli swobodnej człowieka!

Pocziwy Wrzosek wywołuje mnie do ogrodu, którym się zajął; widzę siekiery przygotowane, drzę o moje drzewa, które tak kocham.

17. *Sierpnia.*

Zasnąć nie mogę, siadam pisać, chociaż doprawdy dziennik mój od dawna stał się nieużytecznym. Co weń wpisać? Chyba po staremu, dyspozycje wydane włodarzowi, urodzone źrebie i sprzedaną pszenicę lub wełnę. Na wsi jednostajne ciągle towarzystwo, brak nowych zatrudnień, cóż pisać? I w duszy jedno ciągle; jeśli jej coś wielkiego, strasznego nie zamąci, płynie po niej czas przezroczyстым strumieniem.

Cesia zawsze taż sama, ja co dzień więcej ją cenię. Nie zrozumiemy się wprawdzie nigdy może; ale dwóch dusz braterskich, nastrojonych na jedną nutę, tak mało! Kocham ją, ale kocham miłością spokojną, chłodną, czystą, jak ona mnie. Kiedy czasem wyrwie mi się wyraz z głębi serca, pyta mnie ciekawa, pyta i długo

tłumaczyć go jej muszę! Cóż, gdy wytłumaczony, wydaje się jej śmiesznym! Sztuka jest dla niej zagadką, poezja zabawką, a książka zabiciem chwili, której już inaczej użyć nie można.

Moja egzaltacja ją rozśmiesza. Nazywa mnie często dziecięciem i prawie lituje się nademną. Daleko, daleko stoimy od siebie, a przecież ja ją kocham więcej niż którąkolwiek kobietę w świecie. Kocham ją i miło mi gdy jej spokojny, dźwięczny głos słyszę i ciężko rozstać się z nią i boleśnieby było teraz być od niej oderwanym.

Dziwne postacie zaludniać poczynają dom podkomornego od niejakiego czasu; są to krewni nasi, których po większej części nie znałem, mający dopomódz Cesi do przygotowań weselnych. Zajmujące mogą być studja. Codziennie oczekują pani Izy, ale jej dotąd nie ma. Ciekawy jestem; tyle o doskonałościach słyszałem, tyle mi ją wychwalano. Tymczasem pocieszam się przybyłymi. O! gdybym doprawdy pisał dla ludzi nie dla siebie tylko, mógłbym wyborowy zrobić obrazek. Ale dla siebie, czy warto? Zachowam go i tak w pamięci.

18. Sierpnia.

Otoż przybyła wreszcie zawołana doskonałość, owa pani Iza: widziałem ją dziś, ale osądzić nie umiem. Są ludzie, których poznasz z wejrzenia; są drudzy, którym się długo, długo przypatrywać potrzeba, - aż rysy charakterystyczne postrzeżem. Jeden dowcipny, a kilku mniej dowcipnych podróżnych piszą, że łoża watykańskie Rafaela na pierwszy rzut oka nie wydają się pięknymi. Trzeba się w nie wpatrzeć, rozmyślać w nich, aby

ocenić. Dla mnie nie jest to właściwością malarza, ale skutkiem przedwczesnych pochwał. Umysł ludzki skłonny jest do przeczenia. Najpotężniejsze głowy mają tę słabość nieszczęsną, że mimowolnie prawie przeczą. Myśl jedna budzi w nich przeciwną. Są co metodycznie tak zawsze idą i wiedząc o tem, łatwo wczesnem przeczeniem wywołać z nich żądane twierdzenie.

Nie powiem więc nic o Idzie, ale ją opiszę.

Naprzód, nie domyśliłem się w niej wcale ani męzatki, ani wdowy, tak młodo wygląda. Mała, zręczna, prześlicznych form, ale nieco sztywna; oczy szafirowe ciemne, rzęsy długie czarne, brwi zarysowane śmiało, czoło białe i wyniosłe, owal twarzy czystych linii; ramiona kształtne, ręce toczono, nóżka niepostrzeżonej małości. Głowa zdaje się ugiąć pod ciężarem ogromnego włosów warkocza, mimowolnie przychodzi ci na myśl, że gdyby go rozpuściła, okryłaby się nim cała jak płaszczem.

A z temi wszystkimi wdziękami ma! coś w sobie, co odstręcza. Zimna prawie, nadzwyczaj przytem śmiała (co trudno pogodzić, ale tak jest), odpycha wejrzeniem, mięsza mową swoją. Na widok jej ruchów męzkich, gestów rozkazujących Junony, przychodzi na myśl coś przeciwnego, miękkiego, łagodnego, potulnego, a nierównie bardziej niewieściego. Czujesz, że kochać ją można, ale i bać się jej razem. Jest to prawdziwa *towarzyszka* człowieka, co z nim wszystko podzielić potrafi aż do śmierci, gdyby potrzeba.

Historja Izy, którą słyszałem z ust podkomorzego i Cesi, wydaje się powtórzeniem nieraz czytanej w książce powieści. Młodziuchna a piękna, oddana została starcowi zgrzybiałemu prawie, który jej ogromną zapisał fortunę.

Dwóch lat nie przeżyła z nim i odzyskała swobodę. Wychowanie odebrała staranne powierzchownie, w istocie nie gruntowne, żadnych zasad nie wpojono jej za młodu: powiedziano, że była piękną, nauczono korzystać z piękności, sprzedano nareszcie, obiecując wolność rychłą, każąc się jej spodziewać jako jedynej pociechy. A przecież mimo to wszystko, Iza sama pracując nad sobą, pojęła życie inaczej; była najlepszą żoną dla starca, i co jej brakło, nabyła z książek i rozmyślania. Najłżejsza płochosć nie skałała jej wdowiego życia. Sama, zupełnie swobodna, pani wielkiego majątku, młoda i piękna, rachując się tylko z sumieniem i Bogiem, nie wystąpiła na włos z granic najsurowszej cnoty, najściślej zachowywanych przyzwoitości. Mnóstwo pretendentów ciśnie się do jej ręki, ale Iza z uśmiechem i delikatnem sztyderstwem odsyła ich gdzieindziej.

— Jeśli kogo pokocham — powiada — sama się o niego starać będę.

Tymczasem zdaje się być szczęśliwą; czyta, malować się uczy, lubi muzykę, namiętnie zakochana w kwiatach i ogrodzie; i powiadała mi wczoraj przy pierwszej znajomości, że nie pojmuje szczęśliwszej i swobodniejszej nad swoją terażniejszą egzystencją.

— Bardzo się dziwuję Cesi — dodała z pół uśmiechem — że idzie za męż. Niech by to była odłożyła na później. Mąż zawsze jest jeszcze panem po staremu; może być najlepszym, najukochańszym, ale nas więzi i przykuwa do siebie, a po trochu do swojej woli. Co do mnie, będę jak najdłużej swobodną; nie chcę pana.

Dziwić się musiałem szybkości, z jaką ona stroi się do każdego charakteru. Z krajezyną rozprawiała o wszystkich podczaszych i wojewodach, o których staruszka

mówić lubi; z podkomorzym o gazetach, nowinach i polityce; z Cesią o gospodarstwie, ze mną o muzyce. W każdej rzeczy ma swój sąd własny, ale nim nie zabija cudzego sądu; owszem, tłumaczy go sobie łatwo i ma dla niego zupełną wyrozumiałość. Cesia, jak widzę, boi się jej, i cała przy niej zmięszana; wszyscy się płaszczą przed nią, jej to się zdaje całkiem naturalnem, bo nawet nie uważa na to. Najdłużej i z największem upodobaniem rozmawia z Wrzosem, któremu tak się umiała przypodobać, że ją pod niebiosa wynosi. Iza śmieje się z tej niczem nie grożącej zdobyczy starego serca.

— Zmiłuj się — szepnęła mi Cesia, wyprowadzając mnie w ganek — przyjedź do nas; może potrafisz zająć, zabawić Izę. Ja nie umiem zupełnie, papa nie do jej wieku i wyobrażeń. Wcześniej więc weź na siebie urząd gospodarza, bo doprawdy nie wiem jak z nią sobie rady damy.

Zdaje mi się, że niepotrzebnie troszczy się dobra moja Cesia o przyjęcie Izy, gdy ta umie się sama bawić i tak swobodną jest tutaj, jak we własnym domu. Zrana biegnie sama do lasu zbierać kwiaty lub czytać, potem gra długie godziny; a wreszcie lubi nawet opowiadać podkomorzemu o konfederacji barskiej. I to ją zajmuje.

20. Sierpnia.

Dla czego ludziom tyle potrzeba przyborów i przygotowań, gdy krok w życiu uczynić mają? Nie pojmuję! Oto dwa nasze domy, oba zupełnie przewrócone, zwichnięte dla tego tylko, żebyśmy w nich przez kilka

godzin, pochłubić się mogli przed przybywającymi czemś nowem. Bo dla nas nie dosć żeby było tego co jest, tak jak było? Mówiliśmy o tem z Cesią i ubolewali razem. I możebyśmy wyrzekli się połysku dla kłopotów, gdyby nie dawała tyle czasu dyspensa, której, pomimo najusilniejszych nalegań, uzyskać dotąd nie mogliśmy. Mamże powiedzieć szczerze? mnie te tak długie przygotowania męczą i niecierpliwia. Szkoda mi mego domku, tak jak był dawniej, przywykłem do niego, każdy kątek pamiętkę miał jakąś; teraz się w niem, w ogródku rozpoznać mi będzie trudno. Nie umiem wypowiedzieć, jak mi żal było starej ławki, która stała pod lipą, drugiej pod kasztanem. Obie pamiętały szczęśliwe dzieciństwo moje; na drugiej siadała modlić się nieraz matka Kochana.

Na miejsce tych stoczonych od robactwa i popróchniałych prostych ławic, Wrzosek sprowadził z Pełczy kamienne dobrego rysunku siedzenia. Zdało mi się, że z tą małą odmianą miejsce się zmieniło; żal mi popróchniałych szczątek. Toż samo w domu. Stare pocziwe sprzęty ojca i matki musiały ustąpić miejsca nowym nieznanym, na których usiąść nie umiem.

Niech tylko minie tych kilka dni ceremonjalnych, a powrócę pewnie do starych znajomych.

Wyłączając Cesię, zawiozłem dla zajęcia Izy wszystkie moje dawne nóty i kilka książek. Zdziwiła mnie zastrzeżeniem, że romansów nie czytuje.

— Przynajmniej owych pospolitych, bezmyślnych powiastek i romansów, owych fałszywych historycznych obrazów, które się budują tandetnym sposobem, tuzinami, bez żadnej myśli. Dzieło powinno być jak orzech; biada dziurawemu i bez ziarna. A ileż to książek, nie wyjmu-

jąc bardzo serjo i niezmiernie uczonych, w których tylko łupina i próżnia!

Nie wiedziałem już co dla niej wybrać: szczęściem czyta po niemiecku i lubi niemiecką literaturę, mogłem jej dać Goethego, Schillera i pieśni kilku nowych poetów. Są to jej ulubieńcy. Francuzi śmieszają ją niewymownie. Coraz bardziej dziwi mnie ta kobieta. Wczoraj wpadliśmy na historję cywilizacji Guizota. Sądzę o tem dziele zadziwił mnie.

Spodziewałem się bezwarunkowych pochwał, trafiłem na ciekawe ocenienie. Weź pan, rzekła, jakiegokolwiek dzieło historyczne, planem i przedmiotem podobne do utworu pana Guizot, ale niemieckie, połącz je obok tego, a zgodzisz się ze mną, że nie w świecie bardziej deklamatorsko-próżnego, tubalnie zapowiadającego wielkie rzeczy, a dotrzymującego dziesiątą część obietnicy zaledwie, nie bardziej powierzchownego, takiego rozgłosu i sławy pozyskać nie mogło. Są tam wysoko przez autora wyniesione ocenienia ludzi, rzeczy, tendencji, które przecież ani nowe, ani uderzające, ani trafne nie są. Połowa twierdzeń nie dowiedziona, a zawsze profesor wymawia się przed słuchaczami, że ich zadługo nudził może suchem poszukiwaniem! Zagadnienia najważniejsze ledwie usunięte i minione; w ogóle myśli głównej nie dopatrzysz i dziwić się musisz okłaskom dobrodusznej publiki, która takie improwizacje z zapalem przyjmuje!

Sądzę Izy podzielać zupełnie; ale z kądem jej cierpliwość do czytania dzieł tego rodzaju i zastanowienie tak głębokie nad niemi? kobiecie? Kiedym jej to powiedział, uśmiechnęła się.

— Gdybym miała obowiązki, dzieci na przykład, męża, familję, miałbyś pan prawo wymawiać mi że tak czasu

używam; alem swobodna i *choć kobieta*, mam zdaje mi się prawo sądzić o rzeczach, wedle mojego przekonania; wyrabiać w sobie ten sąd na pewnych zasadach.

Niemniej głębokie były jej uwagi o muzyce. Zgodziła się ze mną na wzgardę, która słusznie należy owym wyrobom muzykalnym tuzinkowym, co tylko głaszczą ucho; sądziła utwory Beethovena ze znajomością i uczuciem. Czyta partyturę z łatwością i długie godziny prześiaduje nad danem jej przeze mnie Oratorio mego ulubieńca: *Chrystus na górze Oliwnej*.

W istocie dziwna i warta zastanowienia kobieta!

Wrzosek chodzi zamysłony od kilku dni, i słowa do mnie nie mówi; coś go gryzie, nie wiem.

21. Sierpnia.

Teraz gościem jestem w domu, wyjeżdżam rano, powracam w nocy; całe dnie siedzę z niemi. Cesia zajęta przygotowaniami, urządzeniami, kupnem, mnie polecono zabawiać Iżę. Jesteśmy więc ciągle razem. Tak dziwnie różny od znajomych kobiecych charakter wart jest szczególnego zastanowienia; jestem jak naturalista co nową całkiem schwytawszy istotę, zewsząd ją dla klasyfikacji opatruje i jako ów naturalista, gotów jest może więcej w niej widzieć niż jest. Dwóch liści na drzewie, dwóch tworów podobnych na ziemi nie znajdziesz. Dziwna potęga wlanego w materję ducha, który ilekroć na zewnątrz się objawia, w coraz innej formie!

Dowiedziałem się od Izy, że moja dawna znajoma rozstała się już z Jasieńkiem swoim.

Ta nowa próba najinniej się jej podobno udała; żądali oboje rozwodu i otrzymali go.

Emma stała się wielce nabożną i powiada że porzucić chce świat, a więcej nie będzie próbować szczęścia. Iza widziała ją niedawno, czarno ubraną, smutną i niespokojną. Śmieje się ona, mówiąc, że tak długo nie wytrwa. Wiele zawodów, wiele nieszczęść pochodzi z błędnego wyobrażenia o możliwości szczęścia na ziemi; ale ciężko to ludziom wmówić, że szczęśliwymi być nie mogą!

Iza trzyma ze mną, że życie nie jest pogonią za urojoną szczęśliwością, ale spełnieniem ciężkich obowiązków i drogą udoskonalenia; dodaje wszakże, że błyskawicą przelatują przez nie chwile jasne, za którymi tęsknić, których spodziewać się wolno. W trwałość tylko szczęścia nie wierzy; wszystko bowiem indywidualne, zmienne jest i przemijające; ale nietrwałe dla pojedynczości, wiecznem jest dla pokoleń, w których losach powtarza się co znikło i odrasta co uszło wprzód. Tak człowiek jest dalszym ciągiem człowieka, pokolenie pokolenia; i nie powinniśmy się uważać nigdy sami z osobna, ale w tej potężnej społeczności i wieków całości. Jakiejże siły duszy potrzeba, aby się zaprzeć na ziemi siebie. Bo w innem życiu, do którego to pierwsze jest tylko przygotowaniem, wszelka pojedynczość zleje się z ogółem, a przecież pojedynczością samą sobie zostać potrafi i czuć się będzie. Iza ma li uczucie religijne? Nie wiem i mówić stanowczo nie mogę. Często zdaje się rozmijać z prawdami religijnymi; częściej jeszcze podpira się niemi i wyprowadza je w rozmowie.

Wczoraj wieczorem nadeszła straszliwa burza. Cesia z różańcem i świętościami w ręku, cała drżąca, tuliła się w kątek pokoju. Wszyscyśmy byli pod naciskającym wpływem tego szalonego zburzenia żywiołów, niespokojni,

przerażeni; wiatr łamał drzewa w ogrodzie, trząsał oknami i ryczał w kominach; piorun padał po piorunie, błyskawice rozświecały swem bładem światłem oblaną potokami ulewnego deszczu ziemię. Podkomorzy odmawiał spokojnie modlitwę w czasie burzy i cztery Ewangelje. Iza stanęła w oknie i milcząc poglądała chciwie na ten majestatyczny, straszliwy obraz; nie zleknioma zdawała się owszem napawać.

Spytałem jej, czy się nie boi?

— Czy się nie boję? — odpowiedziała mi z uśmiechem smutnym. — A czegożbym się bać miała, utraty życia? Jestem komu na co potrzebna? Zresztą śmierć niestraszna mi wcale. Lubię burzę! Jest to walka sił, niszcząca chwilę, a ożywiająca w przyszłości, jak wszelka walka i bój. Studjuję ją jako artysta; ciekawię się na nią jak dziecię.

Cesia z różańcem i świętościami wydała mi się daleko bardziej kobietą. Biedna moja Cesia coraz dziwniejszego wstrętu nabiera ku Izie, którą sądzi bezbożną, której zrozumieć zupełnie nie może.

One dwie stanowią najzupełniejszą antithezę. Jedna całem sercem wierząca. spokojna na duszy, chłodna a dobra; druga niecierpliwie rwąca się przeciw wszystkim tajemnicom, niepodległa w zdaniach i usiłująca dojść, wytłumaczyć rzecz każdą. Tamtej wystarcza modlitwa, wiara, praca; tej nie dość nauki, rozumowania i badań. Iza urodziła się na męczyznę, Cesia na kobietę i matkę.

Zaledwie niebo cokolwiek się wyjaśniać zaczęło i gwałtowność burzy ucichła, jeszcze błyskawice przelatwały widnokrąg a grom grzmiał w oddaleniu, gdy Iza

otworzyła drzwi szklanne na ganek i wyszła bliżej jeszcze wpatrzeć się w burzę już uchodzącą.

Obłoki płynęły po niebie mglistem, poszarpane, podarte, z szybkością ptaków, kłębiąc się, wywracając i gniotąc; ziemia parowała, z liści drzew spadały gęsto krople deszczu, a po równinach dalekich rozlegał się odbijający huk. Wsparta na balustradzie Iza z oczyma wlepionemi w niebo, dumiała długo a długo.

Cesia zaledwie ochłonawszy poszła z kluczami po domu; z przestrachu i modlitwy, przechodząc wprost do pracy.

22. *Sierpnia.*

Zwracam nieraz oczy na siebie i pytam własnego serca o przyszłość. To przywiązanie na szacunku oparte, umiarkowane, jakie mam dla Cesi, wystarczy-li nam na życie całe? Nieraz porównywałem gorącą miłość do tłusciuchnego dziecięcia, które chociażby zbyt wiele ciała miało z początku, będzie miało, jak pospolicie mówią, z czego wyrastać. Tak przywiązanie gwałtowne z razu, zmniejszając się potem i oziębiając stopniowo, pozostanie wszakże wystarczającym. A moje? Ja kocham Cesię, ale kocham ją jako siostrę, nie więcej. Ta miłość braterska czy nam wystarczy? Wszak ona nie żąda i nie pojmuje może innej. Ona mnie kocha, ale nie goręcej odemnie, głębiej tylko; bo codzień mi mówi, że miłość jej poczęła się z dzieciństwa. Jakie będzie życie nasze? Spokojne. Czyż nie dość spokoju, gdyby go mieć można? Nie będzież ona wymagać namiętności, kiedy nie w mocy mojej kochać ją namiętnie? Zamykam oczy i nie chcę badać napróżno przyszłości. Ile

razy obrachowałem wypadki z widzianych przyczyn i postawiłem obok nich, zdawało mi się, nieochybne skutki, tyle kroć się zawiodłem. Spuśćmy się na Opatrzność; to oko nie zamykające się nigdy, co pogląda nieustannie na drobnego robaczka, człowieka i światy.

Wszystko mija!

Czasem jest to zasmucającą prawdą, czasem pocieszającym przypomnieniem.

30. *Sierpnia.*

Wczoraj się spełniło, czego żądaliśmy oddawna; Cesia moja. Przyszłość określona i zamknięta i słup stanął na drodze życia mego, który nosi na czole: nie pójdiesz dalej.

Uroczyste chwile życia nie opisują się, bo się pomną z najdrobniejszymi szczegółami. Obraz to był powagi pełen; ten starzec przykuty wiekiem i słabością do krzesła, w staroświeckim narodowym stroju, błogosławiący nas wprzód nim kapłan pobłogosławił na nierozzerwany węzeł, płaczący od wzruszenia i śmiejący się wśród łez. Cesia z wypogodzoną twarzą, spokojna ale poważna, przyjaciele i znajomi z tyłą obliczów rozmaitemi wyrazy napiętnowanych, Iza wreszcie z chmurnem, głębokiem wejrzeniem, zamyślona. Jej zapewne przyszedł na pamięć podobny obrzęd, co ją związał z obojętną i niedobraną istotą. Wrzosek nie tak był wesół jakem się spodziewał, chodził z rękami pod frak schowanemi, spuszczoną głową i namarszczonem czołem.

Iza chce odjechać, podkomorzy i Cesia uporczywie ją wstrzymują, ja nie śmiem słowa dorzucić. Ta kobieta dziwne na mnie czyni wrażenie, przestach jakiś i nie-

pokój wywołuje we mnie. Jutro jedziemy do Jedlina; kilka dni jeszcze, może więcej, potrzeba przetrwać w tym wirze muzyki, tańca, pijatyki i tłumy, który mnie męczy. Potem zaczną się ceremonjalne odwiedziny w sąsiedztwie, w których ma nam towarzyszyć Iza.

Daleko rozumniej postępują sobie we Francji i Anglii, pozwalając państwu młodym wyrwać się zaraz po ślubie i ujechać w świat, ukryć się od oczów, dopóki ich małżeństwo trochę nie zestarzeje. Wszystko starzeje się tak prędko; o wszystkim tak łatwo zapominają ludzie. U nas dawniej wystawiano państwa młodych na ognistą próbę wejrzeń obojętnych ludzi, którzy szli aż do łożnicy i kalali wzrokiem poświęcone przez kapłana łoża małżonków. Prawda, że wówczas nie było namiętności w tem wszystkim, był obowiązek tylko.

Jakkolwiek bądź, wolałbym sam na sam z Cesią oddalić się gdzieś i chwilę spokojnie przesiedzieć nie postrzeżony.

Iza prawie ciągle chora i smutna; Wrzosek jakby z nią sympatyzował, smutny i także chory, jeden podkomorzy wesół i szczęśliwy. A! zapomniałem o nas dwojgu.

1. Września.

Czemuż nie ma tu już ciebie, droga matko moja, abyś mi pobłogosławiła na progu tego domu. A! ja tak potrzebuję twojego z niebios błogosławieństwa na nieodgadnioną przyszłość. Łzy mi się zakreśliły w oczach gdy we drzwiach nie było ciebie, abyś klucze nowej gospodyni podała. Cień twój stał tylko, ciągle byłeś mi

przytomna, widziałem cię wszędzie. głos twój słyszeć mi się zdawało.

Tłumem wybiegły mnie tylko witać wspomnienia w bramie i poczciwi wieśniacy z chlebem, solą i długą nicią symboliczną, mającą znaczyć życie nasze. O! moja matuniu, jakże mi braknie ciebie. Stało się, czego najgoręcej pragnęłaś, Cesia zajęła miejsce twoje: ale nikt miejsca w mem sercu twojego nie zajmie. Pozostanie ono, jak owo tajemnicze przy ucztach pogrzebowych siedzenie, które pozostawiali Litwini próżnem, w myśli sadząc na niem tego, którego między żywymi im brakło.

Wieczorem modliliśmy się z Cesią za ciebie, z Cesią, co twój relikwiarz oblała szczeremi łzami i przyjęła za dar najdroższy. Pobłogosław nam matko, pobłogosław! ty tylko i Bóg wiecie co się we mnie dzieje; dla reszty ludzi, jam szczęśliwy i tylu mi zazdrości!

2. *Września.*

Spokój! spokój! spokój! oto najwyższa ziemi szczęśliwość. Niech nas serce własne nie dręczy, niech nie gryzą ludzie, niech nie drze wewnątrz sumienie, a powinno nam być dosyć. Ale spokój jest-że życiem? Spokój taki jest przygotowaniem do śmierci; a tem właśnie powinien być cały żywot chrześcijanina.

Ale bój i chwile zwycięstwa, pomieszane z chwilami spodlenia, poniżenia, upadku; wielkie błyski przy czarnych ciemnościach; albo jednostajny mrok.

Natura nic nam innego nad to nie przedstawia. Po między dwoma ostatecznościami: życiem i śmiercią, absolutnym ruchem i zupełnym spoczynkiem, terminami abstrakcyjnymi. dwojako rozwija się żywot wszelkiej

istoty. W jednym przemiany szybkie, żywe, dziwaczne; w drugim niezmiennność prawie zupełna. Kamień trwa wieki; żaba zamknięta w nim żyje (jakiemże życiem?) lat tysiące, a wieleż to pokoleń efemeryd wyrывa się z łona ożywionej duchem materji, zarusza się na słońcu, odetchnie, pokocha i umrze przez ten czas?

Tak i ludzie: oni rozdzieliłby się dali na dwie wielkie klasy, połączone z sobą (jak w naturze łączy się i zlewa wszystko) pośredniościami. Jedna wojuje, zdobywa, traci, cierpi, używa: druga zamiera w skorupie i nie czując swego życia, spożywa je powoli, powoli. Natura, skłonności, przeznaczyły mnie do rzędu pierwszych; okoliczności stawiają mnie w drugim. Zrzućmy więc z siebie naturę a przybierzmy nową.

Dla czegoż jakby naumyślnie przeznaczenie (zawsze ten tajemniczy wyraz na pióro mi wpada) zesłało tę kobietę, aby mi spokój zamącić? aby wywoływać nie dogasłe myśli z duszy i jątrzyć nie zbliznowane rany?

Dla czegoż nie powraca nazad, nie porzuci nas? nie odjedzie? Dla czegoż tego początku nawet jasnego zwykłe małżeńskiego pożycia swobodnie skosztować nie mogę? Jakaś fatalność zsyła na mnie kobiety i niemi znaczy główne epoki życia. Emma, Marja, Cesia, Iza, cztery imiona z których jedno tylko dziś wspominać mi wolno; z których dwa jeszcze prócz niego cisną się na myśl i do serca. Między Marją a Izą jest-że najłżejsze podobieństwo? żadnego. Czemuż tamta, zmarła, zdaje się przekazała swe dziedzictwo dla tej i tak podobne uczucie skłania mnie ku Izie? Wyrzekłem wreszcie przed sobą, czego dotąd sam powiedzieć nie śmiałem: tak jest, cierpieniem zwiastuje się ten nowy życia mojego wypadek. Będę panem siebie.

A ona? Ona! Dla czegoż pozostała tu dłużej, dla czego długie godziny zapomina się ze mną, chce jechać i odkłada, smutna i wesoła na przemiany? Nie wiem, nie chcę wiedzieć. Moje przywiązanie braterskie dla Cesi wywołuje uśmiech na jej usta. Byliśmy sami nie dawno.

— Powiedz mi pan, — spytała szydersko, — jak to do tego przyszło, żeś się z Cesią ożenił. Wasze ożenienie wygląda całkiem na staroświeckie, dawne, ułożone familijnie. Kochacie się, ale powiem wam szczerze, nie waszej miłości zrozumieć nie mogę.

— Jak to? — spytałem rumieniąc się.

— Pan jesteś poważny, rozważny i chłodny. Cesia wyrachowanie czuła; oboje bez zapału, entuzjazmu, nawet w pierwszych chwilach.

— Zdaje mi się, — odpowiedziałem, — że Bóg tylko o sercach i przywiązaniu sądzić może; a im się co mniej objawia, tem silniej jest wewnątrz siebie, w sobie.

Poczęła obrywać różę, którą trzymała w ręku i dodała szydersko znowu:

— Będziesz się gniewał, — rzekła, — lepiej nie powiem co myślę.

— Nie posądzaj mnie pani przynajmniej o rachubę, — rzekłem, — do tej nigdy w życiu skłonności nie miałem. — Zamilkliśmy, ale zacięte usta i osłonięte wejście które rzuciła na mnie, okazały żeś może odgadł jej przypuszczenie dziwne i niesprawiedliwe.

Odtąd jesteśmy coraz gorzej z sobą. Czemuż widząc co ja widzę, przeczuwając wzrost tego co już egzystuje, nie oddali się?

Jestem na żarzących węglach; a kiedy Cesia pyta mnie wieczorem, co się ze mną dzieje, dla czegom

pomieszany, niespokojny i smutny? muszę na wspomnienie matki, której nam niedostaje, zrzucić wszystko. Niech mi to przebaczy Bóg; mamże jej powiedzieć straszną prawdę w kilka dni po ślubie!? Nie, nigdy! Odwagi, zwyciężym!

10. Wrzesnia.

Naumyślnie więc zgotowane mi były wszystkie próby, wszystkie ofiary, abym nie mógł umierając powiedzieć, że nie żył, bom nie cierpiał. O! żyłem!

Nigdy nie zapomnę wczorajszego wieczora; ognistemi głoski Baltazarowemi wypisał się w mojej pamięci 9. wrzesnia.

11. Wrzesnia.

Wczoraj dokończyć nie mogłem: głowa mnie piekła, ręka mi drżała; dziś siadam znowu posłuszny nałogowi, rzucić nową na papier pamiątkę. Cesia zajęta była domem i chorymi, którzy widząc w niej zastępcę matki mojej, tłumami idą prosząc o rady i lekarstwa; zosta-wiłem ją w ganku otoczoną kobietami i dziećmi i dzie-lącą między nie co znalazła w apteczce i spiżarni. Iza pociągnęła mnie do ogrodu.

— Przejdźmy ulicą, — zawołała chwytając mnie za rękę, — Wrzosek pójdzie z nami.

Ale Wrzosek zagadawszy się z ludźmi pozostał, musiałem jej sam towarzyszyć. Coraz ciemniejszy wieczór padał. Przeszliśmy w milczeniu prawie ulicę długą i zwrócili pod ławkę, z której ten piękny mój ulubiony widok na rzekę, na lasy, na błonia i dymiące sioła.

które sina mglista osłona pokrywa. Usiedliśmy, począłem wzruszony opowiadać jej moją młodość, moje uczucia, walki, wspomnienia, wszystko co mi się na usta cisnęło, czego powstrzymać nie mogłem, chociażem był obowiązany. Tak dawno nie zwierzyłem się nikomu, coby mnie pojmował.

Opowiadałem życie i śmierć Marji. Oczy jej zapłomieniły się w początku, zwilgotniały potem, pochyliła się na ramię moje i kryjąc głowę, wyjęknęła bardziej niż wyrzekła.

— Czemuż nie byłąm Marją!

Uczułem na twarzy, jakby gorące żelazo, pocałunek co mnie oblał płomieniem. Nie wiem, nie wiem co się działo ze mną; była to chwila przemijającego szału, w której straciłem przytomność, władzę nad sobą, pamięć. Wyrzekłem kilka słów, wyrzuciłem z siebie tajemnicę, co na zawsze powinna była pozostać w głębi serca; ale dźwięk wyrazów własnych obudził mnie i rozległ się w sumieniu. Uciekłem, odepchnąłem ją od siebie.

Nie widziałem jej aż wieczór: była surową i smutną, milczącą przeciw zwyczajowi. Cesia napróżno usiłowała ją rozweselić i dopytać przyczyny.

— Jutro jadę, — odpowiedziała — i nie dziwuj się, że mi porzucić was tęskno.

Schwyciłem jej wejrzenie, co go opisać nie można, zęgało mnie na zawsze; odpowiedziałem zimnym i rozkazującym wzrokiem: — Rozstałmy się... rozstałmy... potrzeba!

Dzisiaj wyjeżdża. Czemuż nie wprzód jeszcze? Nie miałbym na pamięci tego pocałunku wypieczonego, co

mnie gryzie i niepokoi, nie wiedziałbym że mnie kocha i nie miałbym więcej jednym żalem, na pełnem i tak sercu. Zostaniem więc sami, sami.

13. *Września.*

Iza śmiertelnie chora leży. Dwa dni już nie odstępujemy od jej łóżka. W chwili wyjazdu padła zemdlona; od tego poczęła się jej słabość; doktorowie wezwani czynią nadzieję, ale długą rokują konwalescencję.

Trzeba więc było, abyśmy byli razem, blisko oko w oko, przy sobie, nie mogąc się oddalić, przymuszeni cierpieć.

Wrzosek albo co słyszał, albo wszystko tylko zgaduje. Wczoraj wymyślił jakieś pilne interesa usiłując mnie oddalić z domu. Dobry pocziwy przyjaciel zagląda w głąb serc, starając się wszelkiemu grożącemu niebezpieczeństwu zapobiedz. Pojadę, odpowiedziałem mu.

Cesia nie chce mnie puszczać od siebie, płacze na myśl choć krótkiego rozstania, którego przyczyny pojąć nie może. Wrzosek obowiązał się wytłumaczyć jej interes dla którego odjeżdżam. Podkomorzy śmieje się swobodnie z córki i zięcia; dla niego cień procesu jest aż nadto dostatecznym powodem do podróży; poleca mi prócz tego swoje interesa do ułatwienia. Wyjeżdżam więc...

(W papierach które mamy przed sobą, nowa znajduje się przerwa, wedle wszelkiego podobieństwa, dosyć znaczna. Nie ośmielamy się jej żadnemi domysłami zapełniać. Pamiętniki naszego bohatera (jeśli go tak nazwać można), będące widocznie składem jęgo

myśli i uczuć najskrytszych, pisane w różnych czasach, rzućane na długo, ciągnięte znowu dalej, mają na sobie ten charakter rzetelności i prawdy, jakiej pomimo najstaranniejszego naśladowania nosisć nie będzie żadne podrobienie najrzęczniejsze. Nie chcemy psuć go sztukowaniem.

Arkusze poprzedzające od następnych, przedzielone są w rękopiśmie oryginalnym rozmaitemi notami, urywkowemi zdaniem i datami.

Noty po większej części odnoszą się do czytanych w tym czasie dzieł i odbytych przejażdżek po kraju i za granicą; uryrkowych zdań pochodzenia oznaczyć niepodobna; daty całkiem enigmatyczne. Jakkolwiek bądź z tego wszystkiego wnosić można, że Jnljusz wszedł w życie przeznaczone mu, z odwagą i chęcią silną spełnienia obowiązków. Kilka wmięszanych listów od żony do niego i od niego do niej pisanych świadczą o wzajemnem ich przywiązaniu szcunku i niezem nie zamięszanej spokojności pożycia.

Nowy dziennik rozpoczyna się następnacemi myślami rzucenemi bez daty, jak większa część dalszych).

Czegoż ci mam życzyć mój drogi mały Adasiu? Siedzę nad twoją kolebką, dumam i nie wiem. Genjusz! O! wielki to ciężar do dźwigania w ciągu życia. Genjusz co się nie zna czem jest, zapoznany też bywa przez ludzi i sam nie wiedząc czego mu braknie, czuje przecież jakby mu zbywało na czemś koniecznem. Genjusz co się czuje sobą, jak wielkie ma na barkach obowiązki! A uznanemu przez naród, ileż najrozmaitszych wykresłać dróg nalegając, aby szedł niemi koniecznie.

Genjusz winien się zabić na ołtarzu powszechnego dobra i poświęcić tym, nad którymi jaśnieć będzie; on nie należy do siebie, ale do ludu który przedstawia, co go uznał za wyraz swej myśli i uczuć. Nie bądź genjuszem! Adamie. W naszym kraju genjusz i talent zyskują

poklask przemijający, ale nigdy trwałej wdzięczności i sławy. Gdzieindziej są groby, które wieki szanują i czczą; są imiona niepokalanem uwielbieniem otoczone; u nas dziś podnoszą cię pod obłoki, jutro tarzają w błocie. Pokażcie mi jedno imię, jeden grób, na któryby kamieniem świętokradzkim nie rzucono. To też Adamie nie pracować ci na sławę. Sława jest czczą marą, jeśli nie jest narzędziem do czynu. Gdybyś miał genjusz, pracowałbyś z obowiązku, nie dla sławy.

Czego mam ci życzyć Adasiu? Cichego życia w mierności co graniczy z jednej strony z dostatkiem z drugiej z ubóstwem prawie; spokojnego serca i sumienia, jednego przyjaciela prawdziwego, jednej choć w życiu pamiątki, coby jak wstęga przepleciona przez warkocz kraśniała. Spokoju! spokoju! i rezygnacji.

Spisz Adasiu a nie wiesz, ile troski nad kolebką twoją; przyszłość cała na tych troskach i staraniu. Czem będziesz, jedna chwila może, jeden nadany kierunek stanowią. Życie jest ciągiem obowiązków surowych. Z młodu masz je względem swej przyszłości, względem ojca i matki; później dla społeczeństwa, którego jesteś częścią, dla familji której jesteś głową; dla domowników których być powinienes tarczą i przykładem, dla żony, dla dzieci. Żyć sobie samemu, dla siebie, jedna nie pozostaje chwila. Z wzajemnych ofiar składa się to co zwiemy życiem; szczęście tutejsze w sumieniu czystym, przyszłe? w wierze.

Powracam powoli do moich młodzieńczych zatrudnień; nauki, sztuka są wielką życia osłodą. Człowiek potrzebuje oderwać się od świata i rzeczywistości, bo przy-

Ignawszy do nich skrzywi się i skarleje; nauka podnosi go i oswobadza, daje mu cel zewnątrz pospolitych celów, wyższy, inny i niepodlegający zmianom.

Nie licząc najważniejszego że się doskonali, wiele już zyskuje gdy się wyrwał z zimnego objęcia dni troską ziemską poczynanych i kończonych. Gdyby nie była sobie sama celem, umiejętność byłaby jeszcze dobrodziejstwem dla tych, którym pasza bydłęcia nie wystarcza. Ze stanowiska wyższego drobnieje wszystko co się nas tyczy, co drugich żywo obchodzi, głęboko rani. Jak pszczoła wnosi człowiek z wszystkiego miód który składa w sobie. Nauka odkrywa nam *prawdę* świata; sztuka *piękność* jego; obie spajają się i łączą w jedność, a odrębnie wzięte, nie pełne są i ułomne. Prawda, piękność, dobro, są członkami jednej całości.

Kiedy myślą przebiegam ubiegłe życie z miejsca na którym stoję, gdy się zastanowię nad tem co przebolełem, pytam nieraz siebie: jakie korzyści i zdobycze moralne wyciągnąłem z tego co przetrwałem? Nic w życiu bezużytecznem być nie ma; przyjemność, cierpienia, myśli, wypadki, uwagi, powinien człowiek na korzyść duszną obrócić; a ten po którym spływa wszystko, jak potok po kamieniu, niezdolny jest do udoskonalenia i jakby umarły. Iść wyżej a wyżej coraz, to cel pojedynczego człowieka; iść wyżej a wyżej, to przeznaczenie ludzkości. Postęp! czarodziejskie słowo, jest ruchem ku doskonałości. Każdy wiek i każdy człowiek postępuje, ale w sensie jaki nadaje doskonałości ku której dąży.

Stary mój przyjaciel pożegnał nas na wieki. Braknie mi go; zdaje się że ostatniego opiekuna i opatrzne nad sobą oko straciłem. Pobłogosławić miał czas zaledwie mojego Adasia i poszedł na świat lepszy, w który wierzył. Ostatek jego myśli był jeszcze dla nas, dla ludzi. Z przytomnością rozporządził tem co miał; rozdając część ubogim krewnym, część ubogim obcym, resztę nam których kochał, jak familję serca.

Nigdy nie lękał się śmierci i widząc zbliżającą się, przyjął jak miłego dawno oczekiwanego gościa. Ostatek dni zajęły przygotowania do tej podróży ku wieczności; z łoża z którego wstać nie mógł, rozporządzał tem co miał. Uspokoiwszy duszę, rozdał majątność.

Książki pozostawił mi jako pamiątkę, ale napróżno prosiłem go o notatki i papiery. Kazał je przynieść, rozniecił ogień i powolnie palił bez litości.

— Nauka obejdzie się bez moich odkryć, — mówił. — Kto zresztą wie, czy nie odkrywałem nowych światów jak Ameryk Wespucjusz, w ślad za Kolumbem o którym nie wiedziałem, a który mnie poprzedził. Nauka była mi zabawą, zajęciem, pracą, co życie słodziła; owoce jej dla mnie tylko znaczenie mieć mogą, dla świata ich chować, pożałuj Boże! dumą by było.

Szły więc zwitki na ogień, jeden po drugim, a stary patrząc jak gorzały, uśmiechał się.

— Nie jeden z tych paczków kosztował mnie rok życia! — mówił wesoło. — Już do was nic nie dodam, bądźcie mi zdrowe. Idźcie w popiół, chwile mojego życia!

Sparty na chudym rękę nie położył się, aż wszystko dogorzało; potem usnął spokojnie. Przebudziwszy się zwrócił oczy na komin i odezwał się do mnie.

— Patrz waćpan, panie Juljusz, przeżyłem kilka dziesiątków lat, dobiłem się starości, ażebyś waćpan wiedział jak mi to migiem przeszło! Teraz kiedy spojrzę w tył, to sekunda! A moje radości i płacze, wesela i boleści, wszystko to mizerota! dzieciństwo! Spomnij na to, jeśli ci Pan Bóg da cierpieć. Nic tak nie podnosi człowieka, jak myśl znikomości własnej. Od dzieciństwa, które mi staje na myśli, jakby wczoraj słońce jego zaszło dopiero, do dnia dzisiejszego co będzie może ostatnim, chwila! I dla takiej chwili części tysiącznej, dla rokoszy co kropelką jest w kropelki oceanie, miałby człowiek poświęcić sumienie? Głupi ludzie, co za szczęściem i użyciem biegną. Nie widzą jutra.

Potem zaczął żartować, zwołał psy swoje na łóżko, pieścił się ze starą Harną, polecił mi ją; kazał okno otworzyć, aby powietrza wciągnął świeżego; usnął znowu, ale już się nie obudził. Dla niego błysk ten zwany długim żywotem, skończył się.

Nie odstępowałem ciała razem z wiernymi psami, które się od zimnych zwłok oderwać nie dały. Sam obilem przygotowaną wcześniej przez niego trunę, wysypałem ją kwiatami i dałem mu krzyż w ręce, ów kij pielgrzymi na drogę.

Bądź mi zdrów, stary przyjacielu młodości!

A! zobaczymy się kiedy?

Wszystko tak powoli opada jak liść w jesieni; tracim tych co nas otaczali i zostajem coraz bardziej, coraz ciężiej osamotnieni. Ci z którymi łączyły nas węzły najściślejsze latami związane, odchodzą i rzucają samych. Oglądamy się i widzimy, że nie ich nie zastąpi. Smutna pielgrzymka nasza!

Wrzosek był jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich

porodził wiek ostatni; przerósł on głową swój czas, przerósł go sercem, a przecież znać było, że do niego należał. Wstydził się swoich uczuć, wstydził myśli, które nie kwadrowały z będącemi w obiegu za jego czasów. Na ostatku spalił, nad czem długie lata pracował, bo się jeszcze wstydził może, i chciał zakryć głębie tajemniczą swej duszy.

Jedno wspomnienie krótkie jak moje życie, i wszelki ślad po człowieku zatarty. Tak rozstępują się na moment fale pod wiosłem, zaszumią, opadną i śladu nie dopatrzysz, którądy łódź przepłynęła.

Czerwiec.

Życie nasze wiejskie, jak je pospolicie pojmują i praktykują, jest nie do zniesienia. Kto w niem drugiego celu. zajęcia utworzyć sobie nie umiał, nie wiem jak wyżyć potrafi.

Gospodarstwo zajmuje cząsteczkę jego, reszta święci się próżnowaniu i odwiedzinom. Długie dni płyną przerywane gderaniem, snem, plotkami z sąsiedztwa znoszonymi. Nikt z nas nie pracuje jakby powinien, a każdy użala się na nudy. Musim się nudzić, bo nie nie robim. Gdybyśmy się zajęli czemkolwiek, praca odpędziłaby znudzenie i wiele złego odegnała.

Ta ziemia, którą tradycyjnym sposobem uprawiamy, nie zastanawiając się nad tem: czy nie możnaby większych z niej korzyści wyciągnąć, ludzkiej około niej ulżyć pracy, ta ziemia winnaby być dla wieśniaka pierwszym przedmiotem zastanowienia. Ale u nas pospolicie ulepszenia gospodarskie kończą się zaprowadzeniem gorzelni

na wielką skalę, tak jak przyjemności towarzyskie redukują się pijatyką i śmiesznemi balikami w zapusty.

To życie, pomimo książek, pomimo potworzonych celów w niem, zabija mnie. Gdzie się obróć, ocieram się o ludzi, z którymi rozumieć się niepodobna, sympatyzować nie umiem. W początkach to tylko niecierpliwi, na końcu ogłupia, a trzeba się zaszyć w siebie i żyć sobą. Kończymy jak jedwabnik, co obwinawszy się przędzą własną, zamiera w niej.

Iza wczoraj do nas przyjechała.

Wszystko uśpione i pracowicie w mem sercu spowinięte, ukołysane, rozbudzać się zaczyna. Oboje podobno wielceśmy się zmienili.

W pierwszej chwili objęliśmy się ciekawym wzrokiem, jakby szukając na sobie śladów przeżytych lat. Ona straciła wdzięk pierwszej młodości, świeżość prawie dziewczęcą, z którą ją pierwszy raz widział; ale zyskała na powadze i wyrazie siły. Widzę, że jest całkiem panią siebie. Ja? nie wiem jak mnie zmienionym znalazła, czuję tylko, że zmienionym. Wieczorem wyjechaliśmy z Cesią, Izą i jednym z sąsiadów do pasieki na podwieczorek.

Na chwilkę oddaliliśmy się od towarzystwa. Iza wpatrywała się we mnie uważnie.

— Powiedz mi — rzekła — jesteś szczęśliwy?

— O ile nim być można — odpowiedziałem — bo wiesz, że w szczęście jak ty nie wierzę.

— Ani ja, mój przyjacielu; ale jak mnie, nie cięży ci życie! Jestem sama, okropnie sama. Szukałam rozrywki, zapomnienia w sztuce, nauce, towarzystwach, podróży; próżno. Człowiek potrzebuje się związać silniejszymi węzły z towarzyszami pielgrzymki.

— Idziesz za męża? — spytałem.

— Ja? nigdy! — odparła oburzona. — Drogoby to było okupywać jedno cierpienie drugim większem jeszcze. Powiedz mi, powiedz, jak żyjesz; jak znośne ci życie?

— Nie mam tajemnic, patrz i sądź.

— O! szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy jesteś odemnie! Nie mam familji, nie mam nikogo.

— Od ciebie zależy mieć ją.

— Nielitościwy jesteś. Wielkie musiało być cierpienie, kiedy mnie tu przygnało, gdzie nie powinna być nigdy.

Spuściła głowę, szliśmy w milczeniu.

— Probowалаś modlitwy? — spytałem.

Nie odpowiedziała mi na to.

W tem spotkaliśmy się z Cesią, która z uśmiechem wesołym, wiodąc Adasia za rękę, szła przeciw nas. Ona ani się domyślała, co się działo z nami; swobodnie pokazywała nam zerwany w polu kłos pszenney niezmierniej wysokości i kazała się nad jego olbrzymim wzrostem unosić.

— Chodźcie na poziomki! — mówiła — herbata stygnie.

Iza spojrzała na nią, uśmiechnęła się przymuszenie i poszła.

Nieraz nie przyjdzie nam na myśl depcząc robaka, co się wykłut z ziemi, że śmierć zadajemy; a ile takich razów moralnych w słowach naszych, co lecą nie wiedząc że zabić mogą.

Wieczór był długi i ciężki do przebycia. Iza zamyślona milczała, Cesia napróżno usiłowała ją dziecięcym swem, jego zabawami i różnem opowiadaniem rozerwać.

Potrzeba mi całej mojej odwagi, całej siły jaką mam; oddałę ją ztąd. Razem być nie możemy. Gdybym

miał do wyboru? Trudnyby wybór był nawet. Przy-
sięga, którą człowiek składając rozmyślnie zawsze obo-
wiązany jest dotrzymać, wiąże mnie do niej; i dziecię i
lata przeżyte. Kocham ją jak siostrę. Winnaż ona, że
mnie nie rozumie i rozumieć nie może? Winnaż, że
przyszedł i powiedział: bądź moją! Tem słowem zarę-
czyłem jej przyszłość i zaręczenia dotrzymam. Nikt
wrócić nie może złamanego życia, nikt nagrodzić takiego
zawodu. Schylmy więc głowę i powiedzmy: obowiązek
przedewszystkiem! Niech nawet nie wie, niech się nie
domyśla, co się w sercu mojem dzieje. Dosyć jednej
Marji, której cień stoi widoczny między nami.

Piszę do Izy, oczekiwać będę odpowiedzi; proszę jej,
żeby jechała. Rozgniewa się, zapomni, wzgardzi? wszy-
stko przyjmę. Życie krótkie, wszystko minie.

Nie miałem odwagi oddać jej listu. Zawieszony mię-
dzy niemi dwoma, waham się i nie wiem co począć.
Jedna i druga mi drogą; ale pierwszej przysiągłem, do-
trzymam. Zwykle obowiązek i przysięga u ołtarza uwa-
żać się zwykły lekko i jakby niewymagające ofiar ża-
dnych, jakby coś czysto formalnego. To się nie godzi.

Byliśmy sami, mówili z początku o rzeczach obo-
jętnych; słowa zimne na pozór pokrywały inne wcale
uczucie.

— Izo — rzekłem nakoniec — ulituj się nademną.
Ja cierpię, bo ty tu jesteś; przytomność twoja jest mi
ciężką, jest mi słodką, ale zgryzota mięsza się do tej
rozkoszy nieprawej, kradzionej. Kto wie jak daleko
oślepiająca zaprowadzić mnie może namiętność.

— Ciebie? — odparła z uśmiechem szyderskim prawie.— Tyś tak panem siebie! Słucham twoich wyrazów, a w nich nie widzę namietności. Nie masz się o co lękać.

— Ale ja cierpię ciężko, ale ja gryzę się wewnątrz, między powinnością a sercem.

— Doprawdy?— spytała tym samym tonem urazy.— Nigdybym była nie domyśliła się tego. Tobie więc przystało wymawiać mi swoje cierpienie, tobie?! A jaż? Ja nic nie mówię, bo czuję więcej daleko. Egoista! nie chcesz mi więc pozwolić nawet uspokoić się widokiem waszego życia, przekonaniem twego szczęścia? Tych kilka chwil skradzionych ci cięży?

Zamilkłem. Cesia weszła na ganek.

W tem niebo poczęło się, kołyszac słońce do zachodu, stroić i ubierać w fantastycznych kształtów obłoki. Na tle niebieskiem rozwiły się pomarańczowe jakby pajęczne tkanki, po różnych stronach zaświeciły chmury ogrzane promieniami zachodu, odbijające żywo od chłodnych, sinych, w cieniu stojących obłoków. Oczy nasze obróciły się na ten widok cudny.

— A! — zawołała Iza — co za kolory! jakie barwy! jaka harmonja w ich zlanii! jaka rozmaitość kształtów. Nie są, nie mogą to być po prostu szmaty mokre sączące deszcz na ziemię. I w nich, jak we wszystkim stworzonym, objawia się którąś stroną idea piękności!

Cesia popatrzyła chwilę i dodała:

— Słońce zachodzi na deszcz i wiatr, a deszcz nam wcale niepotrzebny, kosowica się poczyną. — Iza spojrzała na nią i zamilkła.

Proszę jej, ale na próżno; odjechać nie chce.

— Nie mamy się lękać czego — odpowiedziała mi — oboje panami siebie jesteśmy. Ty głową się rządzisz nie sercem, myślą nie uczuciem; ja ochłodziłam od zaraźliwego zimna, które zewsząd na mnie wieje. Ostatni raz widzimy się z sobą, nie przyjdę więcej pokoju wam zamącić, aż gdy zestarzejem się, gdy palec czasu zdejmie z nas ostatnie piętna młodości, gdy będziemy łupiną żywą; wówczas powrócę jeszcze może i spytam cię znowu :

— Byłeś szczęśliwy? niczego nie żałujesz ?

— Odpowiem ci co dzisiaj: byłem spokojny na duszy i nie żałuję niczego. Będę mógł umrzeć wszystkiego wyglądając od drugiego życia, bom w pierwszym nic nie miał. Teraz jam już nie swój. Od kolebki począwszy, od samolubnej młodości, człek doskonalać się, z ciasnego swojego *Ja* wychodzi i uznaje się częścią całości, ale nie pojedynczą całością. Godzi się w szale pierwszych godzin życia wszystko chcieć sobie święcić; ale im dalej idziemy, tem mniej sobie celem i sobie panami jesteśmy. Wchodzimy w towarzystwo i święcić się musimy obowiązkom obywatela, męża, ojca. Odtąd cel człowieka zewnątrz niego; osobistość jego tonie w wielkim ogromie, którego się uznał potrzebną częścią. Zostaje mu w duszy jako ostateczna pociecha to, że się doskonalili, że się oswobadza od samolubstwa zwierzęcego.

Dziś jam mężem, ojcem, obywatelem! i nie godzi mi się wprzód myśleć o sobie, niżeli o obowiązkach moich. Ofiary ze strony człowieka są czynnymi dowody jego nieśmiertelnej duchowej natury. Zwierzę nie zna nic krom siebie, bo jest zwierzęciem, jest szczeblem tej drabiny, która od stworzenia do skończenia świata wyraża

jakaś myśl wielkiej księgi przyrodzenia, bez poznania siebie i wiedzy o sobie. Człowiek przeciwnie, doskonalać się sam, posuwa z sobą czasem wiek swój i następne pokolenia ku doskonałości. Stopniami postępu człowieka są ofiary.

Nikt lepiej nademnie nie uczuł, jak wiele kosztuje poświęcenie *siebie*, własnej myśli, uczucia, powinności. Czynię się zimnym, abym owiewające mnie zewsząd płomienie przetrwał nie spalony. Wreszcie, wszelkie tak zwane szczęście ludzkie, każda rozkosz ziemską, nie wie-dzież za sobą odczarowania, zawodów? Wszystko czegośmy nie użyli, nie zużyli, wydaje się nam w całej glorji i jasności swej. Zyskujem ideały wszędzie.

Oddycham nareszcie, jesteśmy sami; spokój powrócił, żal zagaśnie. Nie zobaczym się więcej. Iza jedzie do Włoch podziwiać Boże twory i ludzkie arcydzieła; zapomnieć tam zawodów życia, przeszłości. Kiedyśmy się rozstawali, Cesia pocziwa płakała ściskając ją.

— Zostań z nami — mówiła — nie wiem dla czego wyrywasz się i jedziesz tak daleko? Weselej byłoby nam z tobą, tobie z nami. Mieszkalibyśmy razem i tybyś mi Juljusza rozweseliła czasem rozmową, ja nie umiem. A tak często humor traci, tak często dnie całe słowa nie przemówi! Żal mi go biednego.

— Powrócę kiedyś do was — mówiła Iza — ale nie prędko może, tymczasem pisywać będę. Obejdziecie się łatwo bez Izy, która rozweselić sama nawet siebie nie-umie.

Wzięła na ręce Adasia i ucałowała go ze łzami.
— Bądźcie zdrowi — zawołała raz jeszcze, wzrok się
nasz spotkał. Nie ma jej. Usiadłem na progu z Cesią i
długo wpatrywaliśmy się w tuman pyłu, który uciekał
drogą.

Całe życie człowieka składa się z tych uciekających
tumanów.

Wielce się zawiódł kto siadał do tej książki w myśli, że w niej znajdzie powieść wydarzeń pełną, niepokojącą rozwiązaniem, wzbudzającą ciekawość, poruszającą serce do bicia. Dość zdaje mi się, nowych wyrobów podobnych, i mogliśmy się przesyć niemi. Pamiętniki te są prostem zdaniem sprawy z uczuć i myśli człowieka pospolitego, którego imię nawet nas nie doszło, którego dwie części życia są nam zakryte. Ale ci, których rozwijanie się człowieka zajmować może, co w uczuciu głębokiem dramat cały widzą, dostrzegą i tu dramatu, czynu wewnętrznego i nie jednej peripetji.

Dość innych malowało się namiętności i upokarzający stan człowieka, co jej ulega. Pamiętniki nasze zdają się dowodzić, że panem siebie być można i daleko jest wznioślej, szczytniej, duchowniej, że tak powiem.

Kto szuka w książce karui dla wyobraźni, wzruszenia sztucznego, niech tę porzuci. Komu myśl nie zdaje się być zawadą w powieści, wziąć ją może.

Nie będziemy oceniali pamiętników tych, bo to do nas tem bardziej nie należy, że pozornie musim się uważać za ich autora, choć może tak w istocie nie jest; postaramy się raczej kilka jeszcze słowy nieco je dopełnić.

Wielka przerwa w Pamiętnikach zajęta jest pamiętną epoką, która odmalowana tu być nie mogła. W niej Juljusz służył obywatelsko krajowi, dopóki usługi jego cel i znaczenie miały. Wypadki tego czasu pozostają okryte tajemnicą. Więcej wiemy o późniejszym życiu naszego bohatera; życie to było konsekwentnym ciągiem poprzedzającego.

Po oddaleniu się Izy, której listy z Włoch pisane mamy w rękę, Juljusz uczuł potrzebę silnego zajęcia, pracy, coby się sercu samolubnemu z piersi wyrwać nie dała. Gdybyśmy pracować chcieli! Ileż do tego pomocy, ile więcej niż gdzieindziej mamy zręczności. Wszystko, rzecz można, leży odłogiemi na użyźniającą *myśl* czeka.

Mieszkamy na ziemi, której materjalna uprawa zaniedbana; stoim obok ludzi, względem których najświętsze mamy obowiązki nauczycielstwa, opieki; żyjem w społeczeństwie, na które skutecznie wpływać możemy; ostatecznie mamy przed sobą pole nie obejrzane okiem, umiejętności, sztukę, rozmyślanie.

Biada temu kto u nas pracować nie chce, mówiąc, że praca niepodobieństwem. Nigdzie ona szerszego pola nie ma, większych nie obiecuje korzyści. Juljusz pojął jak wielostronnie użytecznym być mógł i wziął się do roboty. Jedno zajęcie było mu wytechnieniem po drugim; życie biegło jak strzała do celu, i czas, co drugim tak cięży, że go zabijać muszą, wydał mu się niepochwyconym. Nie jeden raz jeszcze ozwała się w sercu tęsknota, nie jeden raz łza potoczyła się po twarzy niewidziana, sen mu odnowił wrażenia młodości i nadzieje tamtego wieku; nie jeden ranek pochmurny zszedł na rozmyślaniu i wspomnieniach. Ale życie tymczasem upływało,

schodziło i zbliżało się do końca niepostrzeżenie. Coraz lżej było barkom, które je dźwigały.

Tak skwarny dzień chłodzi się wiatrem wieczornym i nadzieją ożywiającej nocy. Noc ta nadeszła bez burzy, bez wstrząśnień, ozłocona zachodem spokojnym.

Poczuł w sobie brak sił i powiedział, że praca się skończyła. Przejrzał myślą życie swoje i nic nie mając do wyrzucenia sobie, ufał w przyszłość. Wiara i sam rozum mówiły mu, że rozwinięcie człowieka, który z siebie doskonalszą czyni istotę, niżeli był w początku; że życie postępu nie może się kończyć nicością, zgonem. U wrót śmierci każdy jest tem czem się uczynił przez życie; a kto nie powie w sercu swem, że zdobył stanowisko wyższe, kto nie może ani myślą, ani czynem usprawiedliwić swych praw do innego żywota, ten zapewne nie posiedzie go. Śmierć człowieka, co spełnił lata swe w staraniu o doskonałość, o cnotę, jest usnieniem spokojnem.

Jest to anioł ów Jana Pawła, co na białych rękach niesie duszę-niemowlę kołysząc ją, w inne światy. A na czarnej ziemi przechadzając się, wiele dusz ciemnych jak ona, nie podniesie, bo ich nie widzi; błyszczące tylko jasno jak owe majowe robaczki w trawach, dusze promienne niebieskimi myślami zdejmując z pobojowiska.

Śmierć Juljusza była wesołem prawie rozstaniem z utrapioną pielgrzymką, prawdziwem do lądu przybiciem, zrzuceniem zapyłonych szat na progu gospody.

Pożegnał żonę, dziękując jej za wszystkie chwile jasne, które z nią przeżył; pożegnał dziecię, życząc nowemu zapaśnikowi odwagi i szczęścia.

— Adziu mój — rzekł — nie spodziewaj się szczęśliwości na ziemi, w rozumieniu takim, jak ją pospolicie

biorą. Gdybyśmy tu mogli być szczęśliwi, nie bylibyśmy gdzieindziej; *szczęście* tutejsze, to spokój sumienia, to zaparcie się siebie, to udoskonalenie duchowne. Innego wyglądać mogą tylko biedni ślepi, co omackiem idą. Nie patrz na przyszłość jako na wesołą przechadzkę, po której bokach rosną wonne kwiatki i szemrzą strumienie; ale jak na ciężką pielgrzymkę wiodącą do celu wielkiego.

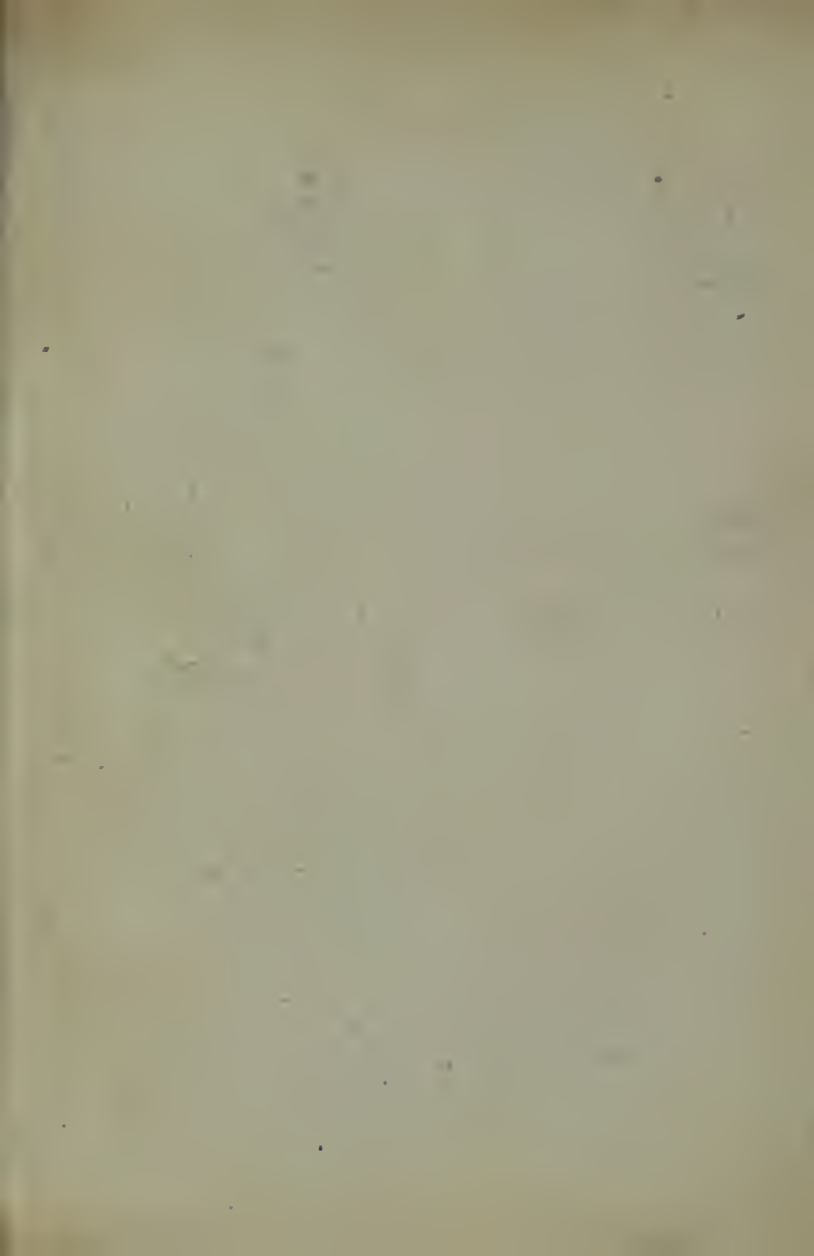
Nic poważniejszego, surowszego nad życie, a kto je chce zbyć żartami, ten go nie pojął. Bądźcie zdrowi!... pochowajcie mnie nie daleko jodeł, co rosną na grobie matki.

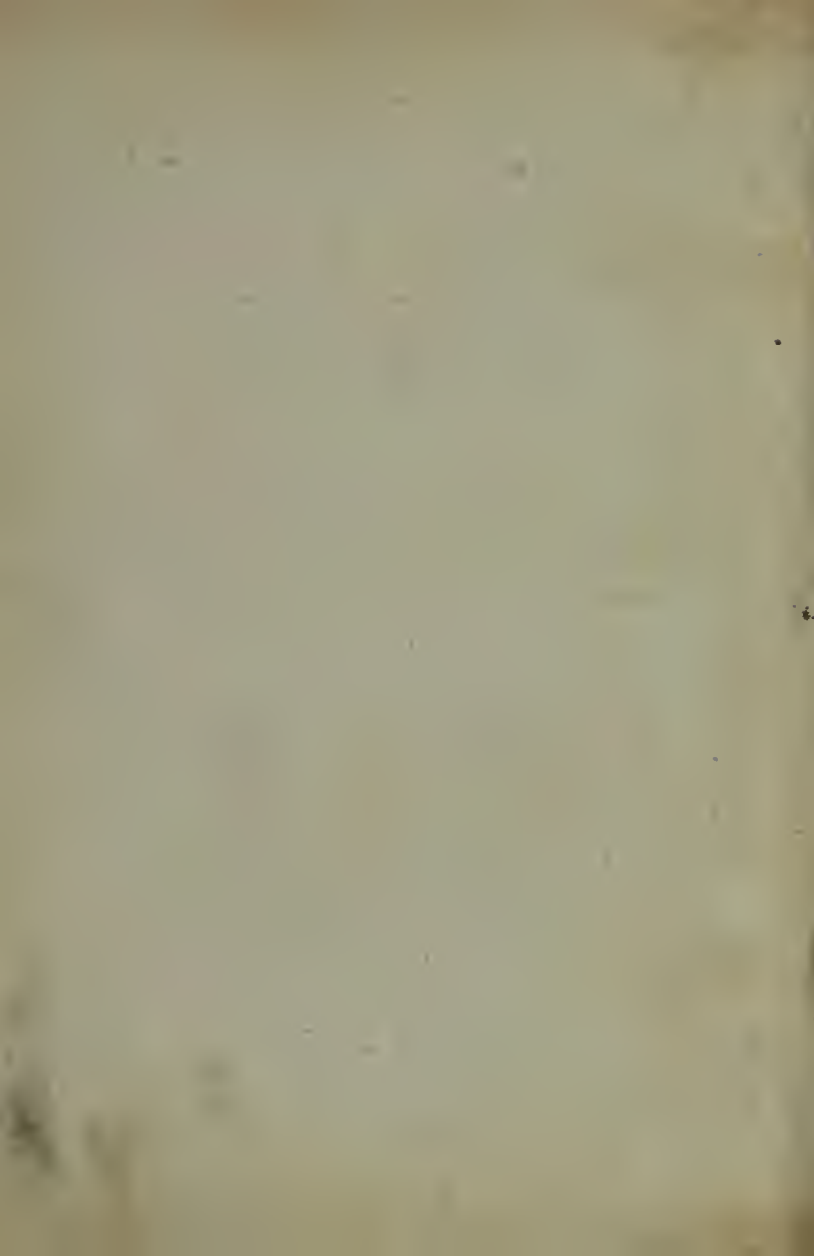
Tak skończył.

Wiemy z góry, że wielu a wielu wyrzucać nam mogą jako grzech, monotonię tej powieści (jeśli ją tak nazwać można) i ze stanowiska sztuki nie znajdą w niej, co im się zdaje, że być tu powinno. Podpisuję się na wszelki sąd jakikolwiek bądź, bodaj najsurowszy, mając nadzieję, że się znajdzie także ktoś, jeden może przynajmniej, co powie po cichu składając książkę: jest to historia nie jednego życia i nie jednego Juljusza!

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.







Y00-

Biblioteka Raczyńskich

JK 1469



JK1469